

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Tajemnica beziemiennej

Akapit

Katowice 1991



ROZDZIAŁ I

Dagmara stała przy oknie swego pięknego, przytulnego pokoju. Już samo wytworne umeblowanie świadczyło, że jego właścicielka umiłowiała harmonię, tak w formach, jak i w kolorze. Miły ten przybytek był jednak dla kobiety za poważny. Brakowało w nim nieco owych drobiazgow, zapelniających zwykle mieszkania dam światowych. Dagmara Ruthart zajmowała w domu ojca, tajnego radcy Klause Rutharta, szereg zbyt kownych pokojów.

Apartament Dagmary zdradzał, że jego mieszkanka nie jest przeciętnym człowiekiem, która chadza utartymi szlakami.

Sam zewnętrzny wygląd Dagmary świadczył o niepospolitości. W ubraniu stosowała się wprawdzie do wymogów mody, lecz nie nosiła nigdy rzeczy nie licujących z jej postacią, toteż jej powierzchowność czyniła oryginalne i nieprzeciętne wrażenie.

Piękna, młodzieżowa sylwetka była szlachetna i harmonijna. Elastyczne ruchy świadczyły o wyrobieniu sportowym. Uprawiała sport, lecz bez zbytnej przesady, jedynie w stopniu potrzebnym dla kultury ciała i utrzymania go w zdrowiu i dobrej formie.

Ręce i nogi nie były zbyt małe, lecz proporcjonalne do jej wzrostu.

Młodą sylwetkę wieńczyła głowa o subtelnych rysach. Cera była delikatna i świeża, usta wyraziste i pięknie wykrojone. Dziwnie pociągające były zagadkowe oczy, błękitnego koloru. Oczy te i bujne kasztanowate włosy stanowiły najcenniejsze szczegóły urody Dagmary.

Piękność jej nie była klasyczna. Nie miała posagowych rysów. Lecz klasyczna uroda bywa niekiedy monotonna, oblicze Dagmary zaś, pełne uduchowania i czaru, niewoliło wdziękiem. Dagmara weszła w dwudziesty drugi rok życia. Mimo wielu starających się o jej rękę, nie dała słowa nikomu, z czym na razie zgadzał się jej ojciec, wśród tylu bowiem zalotników, żaden nie był w stanie rzucić na szalę tego, czego ojciec dla córki wymagał. Nie kwapił się z wydaniem jej za mąż. Należało przedtem znaleźć odpowiedniego zięcia. Dagmara straciła matkę, mając zaledwie lat dziesięć, tkwiła jej w pamięci subtelna, cicha i zawsze smutna kobieta.

Radca handlowy Ruthart był wybitnym przemysłowcem. Niewiele czasu pozostawało mu dla córki, więc też po śmierci żony umieścił ją na wytwornej pensji w Genewie. Pozostała tam do ukończenia lat osiemnastu. W owych czasach nieczęsto widywała ojca, zaspakajał on

jednak wszystkie jej życzenia. Bogactwo umożliwiło jej zbytek, ale Dagmara łaknęła serdeczności.

Po śmierci jej matki, ojciec przyjął do prowadzenia domu baronową Steinberg, która o wiele lepiej reprezentowała go na zewnątrz, niż wątła, cicha pani Ruthart. Baronowa zajmowała tę posadę do ostatnich czasów, a po powrocie Dagmary pełniła równocześnie rolę jej towarzyszki.

Radca był człowiekiem zimnym, oddanym swoim sprawom handlowym. Dlatego też matka Dagmary nie miała następczyni. Chorowała latami, on zaś, ciesząc się żelaznym zdrowiem, nie pojmował u innych słabości organizmu.

Utrzymywał, że brak jej raczej energii niż zdrowia i delikatnie dawał jej odczuć, że go nuży ta wątłość i wrażliwość mimozy. Śmierć jej była dlań wyzwoleniem i nie pomyślał nigdy, że mógłby po raz drugi zakuć się w więzy małżeństwa.

Gdy Dagmara powróciła z pensji do domu rodzicielskiego, mogła swobodnie urządzać sobie życie. Ojciec pozwalał jej na wszelki zbytek, wymagając tylko stosowania się do trybu domowego. Prowadził dom otwarty i żądał, by Dagmara wyglądała na tym tle jak cenny, zbyt kowny przedmiot.

Zresztą mało się z nią liczył, a troszczył o nią wówczas tylko, gdy wiązał się z tym jego własny interes. Ojciec widywał się z córką jedynie przy posiłkach, gdy nie musieli spożywać ich oddzielnie, co rzadko się zdarzało. Wzajemny ich stosunek nigdy nie był serdeczny. Chłodne usposobienie ojca wykluczało poufałość, a jedynym uczuciem, jakie wzbudzała w nim córka, była niejaka próżność rodzicielska. Piękność i oryginalność Dagmary zapewniły jej przynajmniej zainteresowanie ze strony ojca. Jej uroda była dlań pewnego rodzaju szyldem, z którym zwykł się liczyć, więc też osoba córki o tyle skupiała jego uwagę. W każdym razie tysiące ludzi zazdrościło Dagmarze świetnych warunków życiowych. Mimo to jednak nie była szczęśliwa. Odziedziczywszy po matce gorące serce, tęskniła za miłością i ciepłem. Życie, jakie prowadziła, choć bogate i świetne, wydawało jej się dość puste. Obowiązki towarzyskie, którymi obarczył ją ojciec, nie zdołały jej życia zappełnić. Zajmowały wprawdzie dość czasu, lecz nie dawały radości. I teraz, gdy stojąc przy oknie patrzyła w świat dużymi, smutnymi oczami, czuła w sercu pustkę. Wreszcie odwróciła się z westchnieniem i machinalnie jęła gładzić wąskimi dłońmi białą suknię, która w miękkich fałdach spływała wzdłuż jej postaci.

Powoli odeszła w głąb pokoju. W tej chwili służący zapukał i wszedł do pokoju.

- Pan radca prosi panienkę do gabinetu.

Spojrzała nań zdumiona. Pół godziny temu wróciła z partii tenisa i sądziła, że ojca nie

ma w domu. O tej porze wychodził zawsze za interesami.

- Więc ojciec jest w domu? - spytała.

- Tak, proszę panienki, pan radca wrócił przed godziną.

- Dobrze, przyjdę zaraz.

Z tymi słowami Dagmara oddaliła służącego. Przeszła do ubieralni i badawczo spojrziała na swą postać w lustrze. Szybkim ruchem zarzuciła na szyję sznur pereł i wsunęła kosztowny pierścień na palec. Ojciec mierzył ją zawsze krytycznym wzrokiem nie znosząc prostoty, w jakiej się lubowała.

Skończywszy przegląd swej osoby, przebiegła pośpiesznie do drugiego skrzydła obszernej willi, by za chwilę stawić się przed ojcem.

Był to wysoki, imponujący mężczyzna, o twardych, sztywnych rysach i ostrym, przenikliwym spojrzeniu. Oczy jego chłodno i badawczo spoczęły na uroczej dziewczynie i zabłyśły zadowoleniem i próżnością.

- Wołałeś mnie, tato.

- Tak, prosiłem cię.

- Czego sobie życzysz?

- Usiądź, proszę, chcę z tobą pomówić.

Dagmara usiadła na krześle, które jej przysunął, ojciec zajął miejsce przy biurku. Przez chwilę bawił się rozcinaczem. Dagmara doznała wrażenia, że waha się w jakiej formie wyjawić swe życzenie. Dziwiło ją to u tego człowieka, zazwyczaj tak zdecydowanego i dążącego wprost do celu, więc w niemym zapytaniu skierowała nań zdumione oczy.

Wreszcie ojciec zwrócił się do niej z lekkim uśmiechem i przemówił niepewnie:

- Wyrosłaś na piękną pannę, Dagmaro, o wiele za piękną na tak bogatą dziedziczkę.

Twarz panienki spłonęła rumieńcem. Ojciec nie przyzwyczał jej do podobnych słów.

- Nie wiem, czy jestem piękna, papo - odrzekła zmieszana nie pojmując, do czego ojciec zmierza.

- Czyż nigdy nie powiedziało ci tego lustro - zapytał radca z krótkim, szorstkim uśmiechem.

Dagmara wzruszyła lekko ramionami.

- Lustro mówi mi, czy w tej lub owej sukni, w tej lub innej fryzurze jest mi do twarzy. Zapewne, mówi mi również, że nie jestem brzydka, że mam dość regularne rysy, jasne oczy i cerę bez zarzutu, lecz czy to wystarcza, by mnie nazwać piękną, tego doprawdy nie wiem!

- Zależy ci chyba na tej świadomości?

Spojrziała nań wielkimi, poważnymi oczami.

- Piękność nie zawsze daje szczęście, jak znowu brzydota nie zawsze je wyklucza.
- Cóż za poważna osoba? W każdym razie słuchasz niechętnie pochwał swojej urody.

A zapewne nieraz powtarzają ci to młodzieńcy, ubiegający się o twe łaski.

Usta Dagmary zadrżały.

- Nie biorę w rachubę zdawkowych komplementów.

Ojciec z zadowoleniem skinął głową.

- Pochlebstwa nie powinny przewracać ci w głowie, zachowaj zawsze zdrowy i trzeźwy rozsądek. Rozumnie postępujesz, drogie dziecko. Lecz skoro ja mówię ci, że jesteś piękna, możesz temu wierzyć. Nie uważam cię za tak nierozsądną, aby podobne słowa mogły obudzić twą próżność. Uroda jest darem natury, nie może iść na karb naszych zasług. Tylko głupim ludziom uderza taka świadomość do głowy, ciebie zaś nie uważam za głupią. Ale nie po to zawezwałem cię tutaj, aby ci to powiedzieć.

- Tak myślę, papo.

- Chciałem cię zapytać, czy który z młodych ludzi, ubiegających się o twoje względy, nie zrobił na tobie specjalnego wrażenia, innymi słowy, czy nie wyróżniłaś spośród nich któregoś, choćby bez jego wiedzy?

Dagmara zdziwiona tym pytaniem, spojrzała nań otwarcie i szczerze.

- Nie, papo, z tych panów, których dotychczas poznałam, żaden nie wydał mi się specjalnie zajmujący ani wart wyróżnienia.

- Brawo, to mnie cieszy. Córka Klause Rutharta winna być przekonana, że dar jej serca jest niezwykłym darem. Byłem dość pewien swego, gdyż obserwowałem cię dość bacznie. A zatem, nie myślę się sądząc, że jak dotąd serce twoje jest wolne.

Przez chwilę tylko zawahała się Dagmara, usta jej zwały się mocno, a oczy nieruchomo patrzyły przed siebie. Wyprostowała się i rzekła spokojnie:

- Moje serce jest wolne, lecz z pewnością nie po to przywołałeś mnie, ojczu, aby ten fakt stwierdzić.

Lekki, pewny siebie uśmiech przewinął się po twardej, ostrej twarzy radcy.

- Nie, nie po to, aby ten fakt stwierdzić. Jakkolwiek owo stwierdzenie wiąże się ściśle z tym, co ci chcę powiedzieć. Oznajmię ci więc bez ogródek, Dagmaro, że zawezwałem cię po to, aby cię uprzedzić, iż w tych dniach przedstawię ci młodzieńca, którego wybrałem na twego przyszłego małżonka.

Dagmara drgnęła i zbladła. Wielkie, szare oczy, pociemniałe ze wzburzenia wydawały się czarne pod łukiem czarnych brwi.

Podniosła się gwałtownym ruchem.

- Jak to być może, papo. Jak mogłeś przeznaczyć mi na męża nieznanego mi człowieka, o którym nie wiem, czy go będę mogła pokochać?

Klaus Ruthart wzruszył zniecierpliwiony ramionami i rzucił rozcinacz na biurko.

- Mówisz jak sentymentalny podłotek. Młode damy na twoim poziomie muszą stać ponad mieszczańską czułościowością. W pewnej mierze jesteś w położeniu księżniczki, która wraz z ręką oddaje sumę poważnych wartości, nie może więc, jak pierwsza z brzegu dziewczyna, iść za niedorzecznym porywem serca. Bogactwo nakłada obowiązki. Życzę więc sobie, abyś swą ręką rozporządziła w sposób, jaki dla mej dziedziczki uznaję za stosowny.

Słowa ojca do głębi zmroziły Dagmarę. W owej chwili więcej niż kiedykolwiek odczuła, jak bardzo dalecy byli sobie sercem, lub raczej jak obce było jej stanowisko ojca!

Myślą powędrowała do zmarłej matki. Matka okazywała jej zawsze najserdeczniejsze uczucie i Dagmara tęskniła za nim całym swym jestestwem. Teraz tęsknota ozwała się silniej niż zwykle.

- Kogóż to przeznaczasz mi za męża, ojciec? - spytała w stłumionym wzburzeniu, głosem jakby nieswoim.

Ojciec z pewnym siebie uśmiechem pominął jej niepokój:

- Nie możesz uskarżać się na mój wybór, był bowiem tak staranny, że sama nie wybrałabyś lepiej. Człowiek, którego przeznaczam ci na męża, jest sympatyczny i bardzo zajmujący. Ma lat trzydzieści cztery, więc stosowny dla ciebie. Rozumie się, że jest zdrowy i elegancki. Otrzymał nienaganne wychowanie, posiada prawdziwie rycerskie maniery. Co zaś dla mnie najważniejsze, nosi stare szlacheckie nazwisko i ma tytuł hrabiowski. Zwie się hrabia Ginter Taxenburg. Słuchaj teraz uważnie abyś wniknęła w powody mego wyboru. Ubiegłego roku, w przejeździe do Szwajcarii, gościłaś ze mną w zamku Taxenburg, gdzie poznałaś niedawno zmarłego hr. Herberta Taxemburga. Pamiętasz?

Dagmara milcząco skinęła głową. Nie mogła przemówić słowa.

Ojciec ciągnął dalej:

- Otóż hr. Taxenburg od wielu lat był moim dłużnikiem. Wiele dóbr otaczających główną jego posiadłość wysprzedał, zmuszony okolicznościami. Ja zakupiłem te dobra. Po śmierci hrabiego sam zamek wraz z otaczającymi go włościami również przeszedł w moje ręce, a raczej należał do mnie już przedtem, lecz za jego życia nie korzystałem ze swoich praw własności. Zostawiłem nawet hrabiemu część jego dochodów, za co on, ściślej biorąc, administrował mym majątkiem. Po jego więc śmierci stałem się nieograniczonym posiadaczem całego hrabskiego klucza wraz z zamkiem. Jest to prawdziwie książęca posiadłość lecz nie leży w mych planach, byś z mężem, noszącym pierwsze lepsze

mieszczańskie nazwisko, rezydowała na zamku Taxemburg, który wyremontuję i urządzę na nowo. Moja córka spędzi tam życie jako hrabina Taxemburg. To będzie uwieńczeniem mego życia. Wiesz, że ów zamek leży w północnych Niemczech, w idealnie pięknej okolicy. Muszę wyznać, że pomysł wydania cię za hrabiego Taxemburga przyszedł mi w ostatnich czasach. Hrabia Herbert bowiem nie wspominał mi nigdy, że ma syna. Poznałem go i spodobał mi się nadzwyczajnie. Od razu powstał w mej głowie projekt, by uczynić ciebie hrabiną Taxemburg. Pomówiłem z hrabią Herbertem. Chętnie przyjął ten pomysł i rzekł mi „Jeśli syn mój się zgodzi, z radością przystanę na pański projekt, gdyż myśl, że Taxemburg nadal pozostanie w rękach Taxemburga, jest mi nader miła”.

Dagmara słuchała w odrętwieniu. Po chwili zdołała się opanować.

- Cóż na to jego syn? - spytała bezdźwięcznym głosem.

Klaus Ruthart patrzył na swe starannie wypielegnowane ręce, uśmiechając się zwykłym, pewnym siebie uśmiechem.

- Syn jego zgadza się. Przyjeżdża jutro lub pojutrze i zjawi się tutaj. Przedstawię ci go i ufam, że zastosujesz się do mych życzeń, skoro jak ci mówiłem, uczyniłem pod każdym względem dobry wybór. Powinnaś się oswoić z myślą, że w najbliższych dniach staniesz się narzeczoną hrabiego Gintera Taxemburga.

Dagmara zacisnęła dłonie. Powstawszy chciała zaprotestować, lecz oczy ojca, surowe i nieublagane, utkwily w jej oczach, paraliżując wolę. Więc załamała się na duchu i zdołała wymamrotać tylko parę słów:

- Zostaw mi trochę czasu... ja... teraz nie jestem w stanie zdobyć się na decyzję.

Ojciec podniósł rękę.

- Pozostaw mnie decyzję. Będiesz rozsądna i uznasz, że w wyborze swoim pragnąłem twojego dobra. Moja córka nie ulegnie sentymentalnym mrzonkom. A zresztą przyjrzyj się hrabiemu Taxemburgowi, a łatwo przyjdzie ci poddać się moim życzeniom. Na razie rezygnuję z twojej zgody. Jestem pewien, że uzyskam ją potem. Teraz możesz wrócić do siebie i powoli oswajać się myślą o tym małżeństwie. Osiągnęłaś wiek stosowny do małżeństwa i chwała Bogu nie masz do zwalczenia komplikacji serca, zatem wszystko się układa pomyślnie. A teraz pozostaw mnie samego, przed posiłkiem bowiem chcę parę rzeczy załatwić.

Z tymi słowami Klaus Ruthart wstał i podał rękę córce. Uścisnęła ją, niezdolna dać odpowiedzi.

Dagmara wyszła w milczeniu, zmierzając do swego apartamentu. Skoro została sama i drzwi zamknęły się za nią, stała przez chwilę nieruchomo, jakby pod wpływem sugestii,

przejęta dziwną bezwolnością. Patrzyła tępo przed siebie, nie zdając sobie sprawy, co się właściwie stało.

Wreszcie oprzytomniała i z głębokim westchnieniem, jakby zbudzona ze snu, przesunęła ręką po czole. Stężała w nagłym porywie gotowa do obrony:

- Nie!

To „nie” zabrzmiało w pokoju tak jasno i twardo, że własny głos przestraszył Dagmarę. Przycisnęła rękę do serca.

- Nie, tu już kończy się władza mego ojca, musi się tutaj skończyć. Uspokoila się nieco i w głębokim zamyśleniu, wolnym krokiem jęła przemierzać pokoje. W ten sposób znalazła się w swoim buduarze. Przy oknie, na biurku stała oprawiona fotografia zmarłej matki. Dagmara wzięła drogie jej zdjęcie do ręki i wpatrywała się w jej smutne oczy:

- O twardą, nieugiętą duszę mego ojca złamało się twoje istnienie. Biedna, nie miałaś szczęścia w małżeństwie. Czy dla nas kobiet szczęście w ogóle istnieje?

Tak buntowała się w myśli. Pogłaskała fotografię i postawiła na miejscu, po czym usiadła przy biurku i otworzyła w nim skrytkę. Wyjęła z niej oprawną w zieloną skórkę szkatułkę. Była zamknięta. Kluczyk od niej nosiła Dagmara pod suknią na cienkim, złotym łańcuszku.

„Chwała Bogu, nie masz do zwalczenia komplikacji serca”... Te słowa ojca zabrzmiały jej w duszy. I dziwny uśmiech, tęskny, rozmarzony zaigrał na jej ustach. Niby rękę kochaną musnęła szkatułkę pieszczotliwą dłonią i westchnęła głęboko.

Zawierała ona listy. Dagmara wyjęła je, złożyła na dłoni i stłumiła łkanie, cisnące się jej na usta.

Te listy stanowiły idealną treść jej życia. Przechowywała je jak świętość. Co tylko idealnego drzemało w głębi jej duszy, miało z owymi listami związek. Historia ich była osobliwa.

Podczas gdy jej dłonie rozkładały je kolejno, myśl powędrowała do czasów, w których były pisane.

Obok listów spoczywały w szkatułce luźne kartki, skreślone jej ręką, brudnopisy odpowiedzi na owe listy. Nieraz, w cichych godzinach odczytywała te listy, oraz swoje odpowiedzi, przeżywając w ten sposób czasy, kiedy oddała swe serce.

„Ginter Friesen”. Taki był podpis na listach. Ginter Friesen? Zawahała się. Dziwne, i hrabia Taxemburg, z woli ojca kandydował do jej ręki, nosił to samo imię. Zbieg okoliczności doprawdy osobliwy.

Ginter Friesen!

Patrzyła w dal, zadumana, wsparłszy głowę na dłoniach. Sięgnęła myślą w przeszłość. Dagmara zawarła wielką przyjaźń z jedną z koleżanek na pensji. Nazywała się Kasia von Berndorf, a rodzice jej posiadali wielkie dobra w Turynгии. Dagmara na zaproszenie rodziców koleżanki za zezwoleniem ojca, dwa razy spędziła pewien czas w Berndorfie. Były to cudowne dla Dagmary tygodnie, po raz pierwszy bowiem poznała tam życie rodzinne, szczere i serdeczne.

Kasia, jedynaczka, była rozpieszczona w domu. Dagmara silniej niż kiedykolwiek odczuła tutaj na czym polegał brak w jej życiu.

W czasie jej ponownego pobytu w Berndorf nadszedł termin jej ostatecznego powrotu do domu. Na prośby Dagmary, ojciec udzielił jej dwumiesięcznego urlopu; wykorzystwała go na pobyt u przyjaciółki. Z Berndorf nie miała już wracać na pensję, lecz prosto do ojca.

Owe dwa miesiące miały w życiu Dagmary wielkie, przełomowe znaczenie. W tym właśnie czasie oddała swoje serce. Stało się to w ten sposób: z Berndorfem graniczyły dwa inne majątki ziemskie. Jeden z nich należał do pana von Thorau, drugi niedawno sprzedano właścicielowi fabryki, który postanowił porzucić pracę. Nazywał się Rothberg i miał córkę Lizę zaręczoną z młodym przyrodnikiem, doktorem Ginterem Fresenem.

Liza Rothberg była śliczną dziewczyną. Dagmara poznała ją w Berndorfie, gdzie Liza składała z rodzicami pierwszą wizytę. Pomimo urody, Liza Rothberg nie zrobiła sympatycznego wrażenia na Dagmarze. I Kasia Berndorf nie lubiła pięknej Lizy.

- Śliczna, ale nie budzi zaufania - powiedziała.

Dagmara odparła na to:

- Ma w sobie coś nieszczerego, sztucznego i mimo, że jest miła, nie chciałabym się z nią zbliżyć.

Jednakże narzeczony bardzo kochał Lizę, a wszyscy chwalili go, jako interesującego i bardzo miłego człowieka.

Dr Ginter Fresen poznał swą narzeczoną po powrocie z naukowej wyprawy. W pewnym towarzystwie odczytywał swoje wspomnienia z podróży i wówczas piękna Liza Rothenberg, zasłuchana w jego słowa i wpatrzona weń błyszczącymi oczami, zwróciła jego uwagę. Mało znając kobiety, nie wiedział, że Liza Rothenberg, biegła w kunszcie zalotności, rozmyślnie nastawiła na niego sidła. Czyniła to dlatego, że zalotność miała już we krwi, a sympatyczny uczoney zainteresował ją chwilowo. Ponieważ owego wieczora wielbiące grono otaczało młodzieńca, Liza Rothberg postanowiła zdobyć go dla siebie. Szybko osiągnęła swój cel. Zaręczyli się niebawem. Z uśmiechem zadowolonej próżności opowiadała o swoich triumfach Dagmarze i Kasi, dodając, że jej narzeczony zaprzyjaźnił się z panem von Thorau.

Tego ostatniego nie znała dotychczas osobiście, wiadomo jej było tylko, że podczas owej naukowej podróży, jaką jej narzeczony przedsięwziął, towarzyszył mu stale.

- Pan Thorau wraca w tych dniach do siebie, a mój narzeczony wybiera się do niego, by spędzić lato blisko mnie. Twierdzi, że tęsknota nie daje mu chwili spokoju - dodała z pewnym siebie uśmiechem.

Dagmarze i Kasi słowa te wydały się niedelikatne, pominęły jednak ten szczegół. Kasia wtrąciła tylko:

- A więc to traf szczęśliwy, że pan Thorau jest pani sąsiadem.

- O tak, bardzo szczęśliwy. Jakiż jest ten pan von Thorau? Nie znam go, choć mój narzeczony często opowiada mi o nim. Zdaje mi się, że go wysoko ceni, co nie znaczy jednak, by i mnie miał się spodobać. Kobiety inaczej zapatrują się na mężczyzn, niż ci między sobą na siebie. Dlatego rada bym usłyszeć od was, jakim człowiekiem jest pan von Thorau.

Kasia wzruszyła ramionami:

- Pan von Thorau jest bardzo wesoły i miły, nic więcej nie wiem o nim.

Liza Rothberg roześmiała się.

- Ale chyba wie pani, czy zajmujący i szykowny?

Dagmara i Kasia spojrzały na siebie zdziwione, że Lizę interesuje tak bardzo, czy pan von Thorau jest „zajmujący i szykowny”.

- Rzecz gustu - odpowiedziała Kasia.

Gdy później znalazła się sam na sam z Dagmarą, zwróciła się do niej z uśmiechem:

- Nie potrzebuję chyba zwierzać się panie Lizie, że kiedyś wzdychałam do pana von Thorau, prawda?

- Naturalnie, że nie - odparła Dagmara wesoło - to wyłącznie twoja sprawa. Więc jednak wzdychałaś do niego?

- Tak, nawet dość gorąco.

- Może ci to jeszcze nie przeszło, co Kasiu?

Przyjaciółka energicznie potrząsnęła głową.

- Och, nie, Dagmaro, przeszło, gdyż zapomniałam wkrótce. Ten pan, to błędny ognek.

- Błędny ognek?

- No, tak, jeden z tych ludzi, którzy miłą powierzchownością i ujmującym obejściem umieją ludzi oczarować, nie mając jednakże osobistej wartości. Wiesz przecież, wkrótce potem poznałam Kurta von Roschwitza, zaś porównanie obu wypadło na korzyść ostatniego. Czy nie zgadzasz się ze mną, że Kurta von Roschwitza warto darzyć sympatią?

- Owszem, pan Kurt podoba mi się i zauważyłam, że podczas bytności w Berndorfie

nie spuszcza z ciebie oka, a w Berndorfie bywa często - zażartowała Dagmara.

Kasia roześmiała się:

- No, tak, czemuż nie miałyby często bywać? Jego ojciec jest zaprzyjaźniony z moim, jest więc rzeczą naturalną, że przeniesiony do pobliskiego garnizonu odwiedza nas dość często. Inni oficerowie, jego koledzy, również u nas bywają.

Dagmara objęła przyjaciółkę żartobliwym spojrzeniem.

- Ale on zjawia się częściej od innych; w każdym razie, Kasiu, jestem zupełnie spokojna, że pan von Thorau nie może już być dla ciebie niebezpieczny.

Kasia objęła Dagmarę serdecznie.

- Ach, droga moja, zaczynam naprawdę przypuszczać, że Kurt von Roschwitz posiadał całe moje serce!

Dagmara spjrzała w zamyśleniu przed siebie.

- Chciałabym jednak wiedzieć, jakie to uczucie oddać komuś serce!

Kasia westchnęła cicho.

- Dziwne to uczucie. Nie wiadomo, śmiać się czy płakać... A zresztą, sama się kiedyś przekonasz.

Miało się to stać niebawem. Pewnego dnia obie panienki siedziały w berndorfskim parku, w altance na pagórku, przed murem ogrodzenia. Spoglądały w milczeniu na piękną okolicę rozpostartą u ich stóp. Za murem parkowym wiła się szosa. Dwóch jeźdźców w powolnym klusie ukazało się na niej. Pograżeni w rozmowie, nie zauważyli panienek.

Lecz one mogły przyglądać się im do woli. Oczy Dagmary, szeroko i ciekawie otwarte, spoczywały na mądrej i zajmującej twarzy jednego z panów, jadącego na koniu. Na widok tego obcego człowieka serce jej zabiło mocno. Z trudem oderwała odeń spojrzenie.

Mógł liczyć trzydzieści lat, osoba jego z pewnością była zdolna wyrzeć silne wrażenie na miękkiej duszy kobiecej. Smukły, lecz silny i barczysty, siedział jak wrośnięty na koniu. Miał rześkie, elastyczne ruchy, postawę naturalną i wytworną. Twarz o wyrazistych rysach, opalona, była bez zarostu.

Stalowo-niebieskie oczy pod mądrym, pięknie sklepionym czołem patrzyły zdecydowanie i jasno, ale nie bez dobroci. Linie twardej woli znały się wyraźnie wokół wąskich ust, które przy uśmiechu błyskały wspaniałą bielą zębów.

Gdy wierzchowiec jego uskoczył nagle w bok, twarz jeźdźca ściągnęła się energicznie. Zdradzała człowieka, nawykłego ciężką walką zdobywać do życia to wszystko, co innym rzuca ono lekko pod stopy. Czoło posępne, zmarszczone nadało całemu obliczu wyraz szorstki i twardy.

Lecz skoro tylko zdołał okiełznać wierzchowca, twarz jego wygładziła się, a oczy z takim błyskiem spojrzwały w dal, jakby szukały dla swych marzeń jakiegoś celu.

Dagmara nie mogła oderwać wzroku od tej ciekawej, męskiej twarzy. Krew napłynęła jej do serca, a oczy jak urzeczony przywarły do tego oblicza. Nie zauważyła nawet jego towarzystwa, jakkolwiek i on wart był zainteresowania. Był to stanowczo piękny mężczyzna, mniej więcej w wieku tamtego, lecz oblicze jego miało łagodność. Oczy wesoło i lekko patrzyły przed siebie. Na pierwsze wejrzenie był może przystojniejszy niż jego towarzysz, lecz tamten stanowczo wydał się człowiekiem o większej wartości.

Gdy obaj przejechali, Dagmara ocknęła się z zadumy. Z tłumionym wzburzeniem ścisnęła rękę Kasi:

- Kto to był?

Kasia spojrzała na nią z uśmiechem.

- To! Pan Thorau. A co, piękny mężczyzna? Lecz trzymaj ostro serce, Dagmaro, mówiłam ci przecież, że to błędny ogień! Ojciec mój tak się o nim wyraził: „Biega za każdą spódniczką”!

Dagmara wodziła oczyma za znikającymi jeźdźcami:

- Który z nich jest panem von Thorau, ten na kasztanku, czy ten na siwku?

- Pan von Thorau dosiada siwka, a drugi, to podobno pan Ginter Friesen, narzeczony Lizy Rothberg.

Dagmara drgnęła nieznacznie. Zabolą ją myśl, że ten człowiek był już zaręczony.

Kasia nie zauważyła stłumionego wzruszenia Dagmary. Powstała szybko:

- Chodź Dagmaro, wracajmy do domu. Prawdopodobnie panowie jadą z wizytą do Berndorfu. I nas nie powinno tam zabraknąć.

Dagmara podniosła się również i obie panienki parkiem podążyły do dworu. W przejściu ujrzały poprzez drzewa chłopców stajennych, odprowadzających kasztanka i siwka.

- Wejźmy bocznymi drzwiami - powiedziała Kasia - jesteśmy w porannych sukniach i należy się przebrać.

Pośpieszyły się wprawdzie, lecz kiedy przebrane, zeszły po chwili na dół, w salonie zastały już tylko pana von Thorau. Dr Friesen pożegnał się wcześniej, by udać się do narzeczonej, która na niego czekała. Tak się tedy stało, że Dagmara nie poznała doktora Friesena. A choć przyznawała w duchu, iż dla spokoju jej serca było zapewne lepiej, że go już nie zastała, uczyła pewien zawód.

Nie pomogła świadomość, że był to dr Friesen, narzeczony Lizy Rothberg. Oddała swe serce, a myśl jej wciąż była przy nim.

Pan von Thorau powitał panienki zwykłym, zwycięskim uśmiechem, smoląc cholewki do jednej, jak i do drugiej. Bez powodzenia jednak. Kasia zbywała go wesołymi żartami, Dagmara nie reagowała na jego zaloty. Była skupiona, chłodna.

Z całej paplaniny młodzieńca zajęło ją to tylko, co dotyczyło doktora Gintera Friesena. Dowiedziała się w ten sposób, że doktor całe lato spędzi u przyjaciela, aby codziennie dojeżdżać do swego przyszłego teścia i widywać narzeczoną. Droga jego prowadziła koło berndorfskiego parku. Od owego czasu Dagmara szczególnie upodobała sobie altankę na wzniesieniu przed murem. Stąd widywała codziennie przejeżdżającego młodzieńca. Niekiedy jechał sam, niekiedy z panem von Thorau. Ilekroć ukazał się jeździec na kasztanku, serce Dagmary trzepotało się w piersi, lecz wstrzymywała oddech, by jej nie spostrzegł przypadkiem. Zauważyła, że jadąc sam, zwykł patrzeć tępo przed siebie, a nawet twardy rys wokół ust zdawał się pogłębiać z każdym dniem. Szczęśliwe rozmarzenie spoglądających w dal oczu, jakie początkowo widywała u niego, znikło niebawem zupełnie.

- Nie robi wrażenia człowieka szczęśliwego - rzekła pewnego dnia Kasia, siedząca obok Dagmary w altanie.

Dagmara milczała, lecz w duchu zadała sobie pytanie: Czemu nie jest szczęśliwy? W każdym razie młodzieniec wywarł na Dagmarze silne wrażenie, jakkolwiek dotychczas nie zamieniła z nim ani słowa. Każdego ranka z drzeniem oczekiwała jego pojawienia. Zdarzało się niekiedy, że wcale nie przejeżdżał i wówczas dzień wydawał się Dagmarze stracony. Całe serdeczne uczucie młodego, nietkniętego serca, zamkniętego w sobie, nie miało bowiem na kogo przelać swych skarbów, objęło teraz żarliwie nieznanego człowieka. Wprawdzie mówiła sobie, że przecież nie powinna się zajmować narzeczoną innej, lecz nic nie pomagało, uczucie to było ponad jej siły.

Z gorączkową niecierpliwością wyglądała jego powtórnych odwiedzin w Berndorfie, lecz już się nie zjawił. Przyciągana niby siłą magnetyczną dążyła codziennie na wzniesienie przed murem i tam, utkwivszy wzrok w postać młodego doktora, śledziła, dopóki był widzialny. Jedynie pan von Thorau przybył parę razy, a na zapytanie pana von Berndorfa, czy jego przyjaciel nie wybierze się z nim tutaj, odpowiedział ze śmiechem:

- Dziwny z niego człowiek, dwie rzeczy tylko istnieją dlań na świecie - praca i narzeczoną. Aż do zaręczyn zajmowała go tylko praca.

- Taki jest pracowity? - zapytała Kasia.

- Straszliwie pracowity. A może nawet zdarzy mu się kiedy, że zapomni przy pracy, że ma narzeczoną. Gdyby nie był tak po uszy zakochany, pewnie zapomniałby już o niej. Panna Rothberg żaliła się nawet przede mną, że poświęca więcej czasu pracy niż jej osobie.

- No, jeśli panna Rothberg posiada tylko taką współzawodniczkę, nie powinna się żalić. Musimy się z tym pogodzić, że zawód męża stanowi istotną treść jego życia, rozumna żona nic nie ma przeciw temu - wtrąciła pani Berndorf z uśmiechem.

Pan von Thorau skłonił przed nią głowę:

- Łaskawa pani jest istnym wzorem małżonki i matki, tego zdania jest każdy, kto miał zaszczyt panią poznać. Lecz wracając do mego przyjaciela, mógłby doprawdy mniej poważnie brać życie. Dorastał w smutnych warunkach rodzinnych i to zaciążyło na nim. Obawiam się, że jego ponurość nieraz przestraszy pannę Rothberg. A ona jest tak wesoła i tak pełna radości życia!

- Wszakże i pan ma usposobienie wesołe, co panu nie przeszkadza zgadzać się doktorem Friesen - wtrąciła Kasia.

Thorau uśmiechnął się nieco z góry:

- O, miłość, to inna rzecz niż przyjaźń! Może dlatego łączą nas serdeczne więzy, że mamy tak odmienne natury. Rozsądek i powaga mego przyjaciela uchroniła mnie nieraz, przed lekkomyślnym czynem - mówię nie raz, nie zawsze - moja zaś beztraska wesołość ustrzegła Gintera od zbytnej ponurości. W głuszy, którą przemierzaliśmy i badali wspólnie, był często bardzo wesoły. Jest to człowiek czynu, w którym zwalczanie różnych przeciwności budzi ochotę życia. Wówczas jest w pełni sobą i godny podziwu. Ten człowiek dojdzie niewątpliwie do sławy. Niesłychane, czego potrafi dokonać, jego nieustraszona siła zwycięża każdą przeszkodę. Mimo najlepszej woli nie zdołam dotrzymać mu kroku. Na przykład teraz czuję potrzebę wypoczynku, gdy on pracuje nadal z żelazną wytrwałością.

Dagmara w napięciu przysłuchiwała się tym słowom. Wszystko, co pan von Thorau mówił o owym człowieku, zwiększało sympatię, jaką już dla niego czuła.

- Nad czym właściwie pracuje dr Friesen? - zapytała Kasia.

- Obecnie zajmuje się porządkowaniem materiału, zdobytego w naszej podróży. Właściwie byłem tylko jego pomocnikiem, biorąc jedynie wówczas udział w jego badaniach, gdy mnie zebrała ochota. Dlatego teraz niewiele mogę mu pomóc, w tym tylko będąc przydatny, że gdy on zbyt głęboko się w swej pracy, ja rozpraszam nudę jego narzeczonej.

- Ależ dr Friesen prawie co dzień odwiedza pannę Lizę! - zauważyła Kasia.

- Oczywiście. Ale jest zbyt poważny. Zamierza napisać książkę o swej podróży, ze szczególnym uwzględnieniem flory podzwrotnikowej dżungli. Na przykład za rok podejmie prawdopodobnie w tym celu nową podróż.

- Chyba ten projekt nie będzie na rękę narzeczonej - rzekła pani Berndorf.

Pan von Thorau z dziwnym uśmiechem wzruszył ramionami:

- Kto wie?

Dagmara nie odzywała się dotąd. Teraz wtrąciła żywo:

- Czy taka podróż jest połączona z dużym niebezpieczeństwem?

Pan von Thorau zwrócił na nią swoje wesołe oczy:

- Naturalnie, że nie brak w niej niebezpieczeństw rozmaitej natury. Co do mojej osoby, mam dość tej jednej podróży. Lecz doktora Friesena nie odstraszą niebezpieczeństwa, to człowiek niesłychanej odwagi. Każdemu niebezpieczeństwu potrafi stawić czoło. Nieraz w moich oczach opanowywał najcięższe sytuacje, w których każdy inny straciłby głowę. Zdawałoby się, że życie nie ma dlań żadnej wartości.

- Teraz, odkąd jest zaręczony, nabrało chyba wartości - rzekła pani von Berndorf.

Pan von Thorau musnął wąsy dłonią:

- Możliwe, że ceni je obecnie wyżej.

Dagmara zauważyła, że - nie zdając sobie sprawy dlaczego - wzbiera w niej wrogie uczucie dla pana von Thorau. Jego śmiech po prostu działał jej na nerwy, drażnił ją ton głosu, gdy mówił o swym przyjaciolem. Odczuwała niejasno, że pan von Thorau nie jest prawdziwym przyjacielem doktora Friesena.

ROZDZIAŁ II

Następnego dnia panie von Berndorf i Dagmara wybrały się z wizytą do państwa Rothberg. Dagmara przypuszczała, że spotka doktora Friesena u narzeczonej. Pragnęła go poznać, a równocześnie lękała się tego spotkania.

Ale doktora Friesena nie było wówczas i tylko pan von Thorau z Lizą wrócili z partii tenisa w ogrodzie. Trzy przybyłe panie zostały niemile dotknięte spostrzeżeniem, że Liza Rothberg wyraźnie flirtuje z panem von Thorau.

Dagmara usiłowała wyperswadować to sobie. Ze zwykłą sumiennością nie omieszkała stwierdzić, że zazdrość o doktora Friesena nie pozwalała jej na bezstronny sąd o panie Rothberg. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że jest o pannę Lizę nieco zazdrosna. Uświadomiła sobie, że kocha doktora Friesena, jakkolwiek nie zamieniła z nim ani słowa i chociaż był narzeczonym innej. Wstydziała się, nie mogąc opanować uczucia, które zdawało jej się nieprawne. Ale było ono silniejsze, niż wola. Nie mogąc mu przeciwdziałać, zawarła je w najskrytszych tajnikach serca. Liza Rothberg sprawiała dzisiaj gorsze niż kiedykolwiek

wrażenie. W powrotnej drodze do domu panie von Berndorf krytycznie wyrażały się o jej zachowaniu.

- Nie zniósłabym na miejscu doktora Friesena, by moja narzeczona tak wyraźnie zajmowała się innym - rzekła oburzona Kasia.

Matka uciszyła ją lekkim skinieniem ręki.

- Nie mów tak, moje dziecko. W takie rzeczy nikt wtrącać się nie powinien - upomniła ją. Lecz w duchu przyznała jej słusność.

Dagmara z każdym dniem stawała się bledsza i cichsza.

Gdy Kasia w swej troskliwości poczęła zasypywać ją pytaniami, czy jej coś dolega, odrzekła wymijająco:

- Obawiam się powrotu do domu. Po paru tygodniach rodzinnego pożycia w waszym gronie będzie mi podwójnie obco u ojca.

Była to prawda, jakkolwiek nie to stanowiło bezpośredni powód smutku Dagmary.

Dziwna, jednostronna miłość zapuszczała w jej serce coraz głębsze korzenie. Codziennie, wiedzona wewnętrznym niepokojem, wyglądała ze wzgórza przejazdu doktora Friesena. A twarz jego wydawała się Dagmarze coraz smutniejsza i bardziej ponura.

Dr Friesen raz jeszcze wybrał się w odwiedziny do Berndorfu, lecz właśnie tego dnia panie wyjechały po sprawunki do miasta.

Dagmara, usłyszawszy po powrocie o tych odwiedzinach, doznała dziwnego uczucia.

- Los nie chce, żebym go poznała. Niech i tak będzie - pomyślała. Pragnęła jednak stanąć z nim twarz w twarz. Ale nie doszło do tego. Jedyne Kasia poznała doktora Friesena na jednej z przejażdżek konnych z ojcem. Dagmara nie wzięła w niej wówczas udziału, gdyż tęsknota nieodparcie pociągała ją na wzgórze. Kasia, jadąc z ojcem, spotkała obu panów, o czym wspomniła jej mówiąc:

- Wiesz, Dagmaro, ten dr Friesen wydaje mi się zbyt wartościowym człowiekiem dla Lizy. Ma takie nieszczęśliwe oczy, jakby go nękało ciężkie strapienie. A może już uznał, że uczynił zły wybór?

Dagmarę zastanowiły te słowa. Skoro następnego dnia ujrzała przejeżdżającego młodzieńca, pomyślała z przykrością:

- Nie wyglądał na szczęśliwego człowieka, lecz na takiego, co dźwiga przykry ciężar życiowy.

I serce jej ścisnęło się współczuciem. Nie pomagało, że się buntowała przeciw swej nierozsądnej miłości.

I znowu pewnego poranka Dagmara wybrała się na pagórek, lecz tego dnia dr Friesen

nie ukazał się.

Nazajutrz przy stole usłyszała bardzo przykrą wiadomość. Pan Berndorf opowiedział, że przed paru dniami dr Friesen zastał narzeczoną w objęciach przyjaciela i to w pawilonie, gdzie nieraz już przedtem miewali ze sobą schadzki. Dr Friesen widocznie już dawniej powziął podejrzenia, gdyż po kryjomu dążył za przyjacielem, który wspomniał mu przedtem o jakimś ważnym zajęciu. Pan von Thorau pod pozorem jazdy do miasta udał się na miejsce schadzki, gdzie dr Friesen zastał niewiernego przyjaciela w serdecznym uścisku z niewierną narzeczoną. Doszło do przykrew sceny, po której nastąpiła nieunikniona katastrofa. Dr Friesen nie wrócił już do domu przyjaciela, lecz przeniósł się do hotelu w pobliskim mieście. Tam kazał odesłać swe rzeczy. Oddał narzeczonej pierścionek i zerwał zaręczyny. Następnego dnia poczyniono kroki do sprawy honorowej, a dziś rano odbył się w Amselgrund pojedynek. Dr Friesen zastrzelił pana von Thorau. Sekundant zaświadczył, że dr Friesen celował w ramię przeciwnika, lecz ten w ostatniej chwili poruszył się nerwowo i został trafiony w serce, wbrew woli doktora Friesena, głęboko przejętego tym faktem. Wyjechał niezwłocznie, lecz przedtem sam zameldował się władzom i pan Berndorf sądził, że zostanie skazany na twierdzę.

To wszystko usłyszał pan Berndorf z ust zgnębnionego ojca Lizy.

Przerażenie obezwładniło Dagmarę. Nie mogła ani kęsa przełknąć i pod pozorem bólu głowy usunęła się do swego pokoju.

Skoro została sama, niepokój o ukochanego człowieka powalił ją z nóg. W duszy tkwił głuchy żal do Lizy, której lekkomyślność i zdrada stały się przyczyną nieszczęścia. Dagmara odczuła instynktownie, że człowiek pokroju doktora Friesena niełatwo przejdzie do porządku nad faktem, że został zmuszony do zabicia przyjaciela. Jakkolwiek bez własnej winy, jednak uczynił to. Czowała, że zdrada i śmierć przyjaciela, zdrada narzeczonej, musiały wywołać w nim nastrój rozpaczny.

Cieszyła się, że nazajutrz upływa koniec jej wakacji. W stanie rozdrażnienia, w jakim się znajdowała, błogi spokój Berndorfu był dla jej nerwów nieznośny, zebrała więc wszystkie siły, by nie zdradzać się w ostatni dzień. Udało jej się to, bowiem i domownicy, w przygnębnionym nastroju z powodu nieszczęśliwego pojedynku, nie zwracali na nią tak bacznej jak zwykle uwagi.

Odjechała nazajutrz, serdecznie żegnana przez państwa Berndorf i Kasię.

ROZDZIAŁ III

W domu ojca otoczyła Dagmarę chłodna, duszna atmosfera, od której tam odwykła. Tym razem jednak pomogła jej odzyskać równowagę duchową. Lecz myśl jej nieustannie bawiła przy doktorze Friesenie. Miała nadzieję, że potrafi wczuć się w smutny stan jego ducha. We śnie i na jawie widziała go przed sobą z bladą, ponurą twarzą, z oczami rozpaczliwie utkwionymi w przestrzeń.

Ten zwid nękał ją bezustannie, nie mogła się go pozbyć. W kilka dni po powrocie otrzymała list od Kasi Berndorf. Między innymi przyjaciółka donosiła jej, że dr Friesem rozpoczął okres kary więzienia. Dagmara widziała go w duchu samego i opuszczonego, oddanego rozpaczy w surowych murach więzienia.

Wówczas powstał w jej mózgu pomysł, którego nie potrafiła się pozbyć, jakkolwiek jej samej wydawał się fantastyczny. Próżno wzdragała się iść za głosem serca, które narzuciło jej swoją wolę. Posłuszna wewnętrznym nakazom, musiała wreszcie napisać do doktora Friesena list.

Szanowny Panie Doktorze!

Wybaczy Pan nieznaną bezimienną, której list wtrącił się w niedolę Pańskiego nastroju. Słyszałam o Pańskim nieszczęściu, mniejsza o to, od kogo.

Przypadek uświadomił mi, jak gorzko los doświadczył Pana. Wiem, że był pan haniebnie zdradzony w swej miłości i wierzę, że jakkolwiek chciał Pan oszczędzić byłego przyjaciela, zabił go Pan w pojedynku, a teraz pokutuje Pan w więzieniu. Chociaż mnie Pan nie zna, ja Go widywałam, mniejsza o to, gdzie i kiedy, i wiedziona głęboką sympatią, postanowiłam napisać ten list, jak gdybym pod zewnętrznym naporem szła z pomocą duszy, pogrążonej w niedoli. A ponieważ potrafię wnikać w Pańskie cierpienia, odczuwam potrzebę przesłania Panu słów pociechy; oby pomogły Panu znieść samotność i gorycz!

Tak silnie i z całego serca pragnę ulżyć Panu w tych najcięższych chwilach, że chyba mi się to uda.

Silny duch Pański winien przemóc ból, że ukochana kobieta zdradziła Pańską miłość. Nie była Pana warta, skoro zadała ten cios.

To zaś, że niewierny przyjaciel przyplacił zdradę życiem, nastąpiło mimo, a

nawet wbrew Pańskiej woli. Mam niezłomną pewność, że pojedynek, do którego został Pan zmuszony, skończył się inaczej aniżeli Pan zamierzał. Podobna farsa nie mogła dać Panu zadośćuczynienia i tylko fakt, że w takich okolicznościach pojedynek bywa jedynym wyjściem uświęconym przez zwyczaj, zmusił Pana do niego. Może wolałby Pan sam polec. Nie czytał Pan na życie swego przeciwnika, jakkolwiek obrażał Pana rozmyślnie i nieustannie, lecz był Pan tylko posłuszny dawnej, barbarzyńskiej tradycji.

Ale los zrządził inaczej. W tym wypadku kierowała nim sprawiedliwość i Pan nie powinien sobie przypisywać winy.

Myślę, że praca pomoże Panu przeżyć te ciężkie chwile, a może będzie dla Pana pociechą, że gdzieś daleko ludzkie serce gorąco współczuje Panu. Wiem, że jest Pan sam w życiu i nie ma krewnych, matki, siostry. Jak siostra dzielę Pańskie uczucia. Gdyby wylanie swego żalu przed kimś mogło Panu przynieść ulgę, proszę do mnie napisać, lecz tylko w tym wypadku. Pozostanę dla Pana zawsze bezimienna i niczyje oko nie przeczyta tego, co mi Pan powierzy. Tak gorąco pragnę ulżyć Pańskiemu cierpieniu, że chyba zdołam to uczynić. Nie chcę być źle zrozumianą. Nie zna mnie Pan, ani mnie Pan nie widział, i tak pozostanie na przyszłość. Na Boga, proszę mnie nie brać za natrętną i nietaktowną! Niech Pan sobie wyobrazi, że był Pan złożony ciężką chorobą i siostra miłosierdzia pośpieszyła Mu z pomocą. Gdy Pan powróci do zdrowia, wtedy i ona zniknie z Pańskiego życia. Jeżeli chce Pan do mnie napisać, proszę uczynić to na „poste-restante”, Berlin, W. 15, pod adresem „Flora podzwrotnikowa”.

Bezimienna

Dagmara zapieczętowała list, nie odczytawszy go nawet. Odniosła go sama na pocztę, a gdy usłyszała, jak z cichym dźwiękiem wpadł do skrzynki pocztowej, serce jak młot, zatłukło jej w piersi. Najchętniej byłaby go wycofała. Ale było za późno.

Następne dni przeszły jej w nerwowym oczekiwaniu. Z twarzą na pozór spokojną krążyła jak zwykle po domu, siedziała z ojcem przy stole, rozmawiając z nim z tą chłodną powściągliwością, którą on wprowadził w ich współżycie.

Blisko tydzień czekała, zanim odważyła udać się na pocztę. Pojechała autem, zatrzymała je i przy okienku pocztowym zapytała o list dla „Flory podzwrotnikowej”.

Rozglądała się przy tym lękliwie dokoła, jakby robiła coś zabronionego. A gdy urzędnik istotnie wręczył jej kopertę, serce jej przez chwilę przestało bić. Schowała list do torebki i wróciła do domu.

Zamknięta w swym pokoju, rzuciła się na fotel i wtedy dopiero otworzyła drżącymi rękoma kopertę. Początkowo litery tańczyły dzikim kręgiem przed jej oczami, zanim opanowawszy nerwy, mogła zacząć czytać:

Do Bezimiennej!

Nie mogę inaczej nazwać Szanownej Pani i zanim odpowiem na Jej miły list, pragnąłbym zapytać: Jaką przedziwną intuicją wiedzioną mogła Pani tak dokładnie wyczytać, co dzieje się w moim sercu? Nie potrafię wyrazić, w jak osobliwy sposób podziały na mnie Jej słowa. Zastały mnie w ciężkiej depresji, w której się jeszcze znajduję i początkowo nawet ten dobry, miłosierny list Pani rzuciłem nie czytany. Lecz w nieustannej dreptaninie po celi, gdzie odsiaduję karę, owe miłe litery wciąż mnie przyciągały, jak tkliwe, kojące oczy.

Nie chciałem zrazu dopuścić, aby ktoś obcy wtargnął w udękę mego serca. Niekiedy chwytamy się nawet cierpienia, gdy poza tym nie ma nic w życiu, czego by się chwycić. Lecz te miłe litery nie dały mi spokoju. Musiałem list otworzyć.

Odczytałem go dwa razy i powiedziałem sobie: Jakaś nieznaną dusza szczerze współczuje z tobą, nie odtrącaj jej, gdy chce ukoić twój ból. Tej nocy po raz pierwszy od katastrofy, która zniszczyła moje domniemane szczęście, miałem sen spokojny i równy.

Nazajutrz odczytałem list po raz trzeci i doznałem uczucia, jakby dłoń miękka i chłodna spoczęła na mej rozpalonej głowie. Tym razem słowa Pani zdały mi się znajome i miłe. Chcę więc podziękować Pani za współczucie, tak prawdziwe, szczerze, pełne umiaru i serca. Nie wiem, jak Pani zdołała tak najzupełniej wczuć się w mój stan duchowy - sprawiło mi to ulgę. Nie może mi Pani pomóc, nikt tego nie potrafi, na razie nie mogę doznać pociechy, lecz obiecuję Pani, że uczynię wszystko, by sam siebie odnaleźć. A jeśli zechce Pani odezwać się znów do mnie kojącymi słowami, będę Jej bardzo zobowiązany. Miłosiernej Bezimiennej z głęboką wdzięcznością ślę pozdrowienia.

Ginter Friesen

Po przeczytaniu listu, Dagmara, wzruszona bardzo, przycisnęła go do piersi; najchętniej byłaby niezwłocznie zasiadła do odpowiedzi, lecz przemogła się kilka dni, a potem napisała:

Szanowny Panie Doktorze!

Serdecznie mnie ucieszyło, że tak trafnie ocenił Pan pobudkę mego listu. Dlatego ośmielam się dziś znowu przesać mu słów kilka. Z własnego doświadczenia wiem, że samotność rozgorycza człowieka i napawa jego serce smutkiem. Bywały w moim życiu chwile, gdy za parę ciepłych słów byłabym wiele dała. Może pisanina moja zdoła, choćby na krótko, odwrócić myśl Pana od bólu i troski. Jeśli tak jest w istocie, to dopięłam celu. Niech tylko miną pierwsze, najgorsze chwile, a znajdzie Pan sam dość siły, by wrócić do równowagi. Dopóki to się nie stanie, może tak długo, jak będzie trwało Pańskie uwięzienie będę pisywała do Pana, o ile moje listy są Panu miłe. Zamilknę, skoro Pan powróci do świata i wówczas może Pan zapomnieć o tym, co piszę.

Bezimienna

Na ten list otrzymała Dagmara następującą odpowiedź:

Do Bezimiennej!

Życzliwe słowa Pani, sprawiły mi znowu ulgę. Odczytując te słowa, mam poniekąd wrażenie, jakby do okna mej celi przyfrunął ptak, by swym miłym świergotem rozpraszać moje smutne myśli.

Nie pytam już, dlaczego Pani zsyła mi tę pociechę, lecz przyjmuję ją jako dar zacnej duszy kobiecej, szczodrobliwą i cenną. Mimo woli pragnęłam wywołać obraz Pani, zadając sobie pytanie, czy Pani jest zamężna czy wolna, do jakiej warstwy społecznej należy? A także, co powodowało Panią, że tak przenikliwie spojrziała w duszę samotną i zgorzkniałą? Pewne szczegóły w listach Pani wskazują na wielką młodość, inne zdradzają dojrzały światopogląd. Wszystko natomiast świadczy, że otrzymała Pani staranne wychowanie i posiada głęboki, wrodzony takt serca. To właśnie, że chce Pani pozostać Bezimienną, świadczy o wielkim takcie. Ciężkie przeżycie, które wtrąciło mnie w te mury więzienne, sprawia, że zwątpiłem w kobiety. Przedtem znałem niewiele kobiet, a żadnej tak dobrze, by wyrobić sobie sąd o nich. Jednej oddałem serce - i ta mnie zdradziła. Wiem, że odtąd nie pokocham żadnej kobiety, że żadnej nie zawierzę. Może mimo to ożenię się kiedyś, gdyż założenie ogniska rodzinnego uważam za obowiązek mężczyzny. Lecz małżeństwo moje będzie

małżeństwem z rozsądku. Serce będę trzymał w ryzach, by nigdy nie przemówiło. Widzi Pani, jakie snuję myśli. Mówię z Bezimienną, jak dotychczas z nikim. Może Pani żałuje, że wywołała duchy. Proszę mi darować, jeśli nadużywam Jej dobroci. Jedno słówko Pani, a znikną duchy i zwidy.

Oddany i wdzięczny

Ginter Friesen

I ten list wzruszył Dagmarę. Długo wpatrywała się w słowa: „Wiem, że odtąd nie pokocham żadnej kobiety”. Rozumiała. Nie był to człowiek, który dla wielu kobiet w drobnej monecie rozprasza kapitał uczuć, jak to czynił pan von Thorau. On, Ginter, ofiarował raz jeden swe serce i nic mu nie pozostało do powtórnego daru.

Lecz miłość jej była bezinteresowna. Pragnęła tylko pocieszyć go i podnieść na duchu. A to, że jej pozwolił zajrzeć w głąb duszy, było już dla niej dostateczną nagrodą. Ten fakt nadał treść jej życiu.

Odpowiedziała zaraz:

Szanowny Panie Doktorze!

Serdecznie ucieszyłam się zaufaniem, jakie mi Pan okazał. Stanowczo nie żałuję, że wywołałam zwidy i duchy. Trzeba mówić mi wszystko, co Pan ma ochotę powiedzieć, bez wszelkich podziękowań. Wystarcza mi uczucie, że choć w pewnej mierze udało mi się wyprowadzić Pana ze stanu przygnębienia. Gdy możemy mówić o swoich cierpieniach, tym samym stają się one już na wół pokonane. Czy jestem młoda, czy stara, panna, czy mężatka, o tym niech Pan nie myśli. Najlepiej proszę sobie wyobrazić, że pokrewna dusza przez listy znalazła drogę do Pana, dusza, która poznała już gorycz i wie, że nie wszystko na świecie jest dobrocią i prawdą, której życie, a raczej wegetacja upływa w chłodnej, mrocznej atmosferze.

Żyję wśród ludzi - którzy mówiąc obrazowo - nie rozumieją mych słów. I Pan, w swej samotności, nie znalazł zrozumienia dla swoich wewnętrznych przeżyć. Rozmawiamy więc listownie, niby dwoje nieznajomych ludzi, którzy spotkawszy się na obczyźnie, uświadamiają sobie nagle, że mówią tym samym językiem. Proszę nigdy nie sądzić, że Pańskie słowa nie znajdą u mnie oddźwięku. Pozdrawiam Pana.

Bezimienna

Na ten list nadeszła szybka odpowiedź:

Czyż to nie dziwne doprawdy, że z pewną niecierpliwością wyczekiwałem wiadomości od Pani? Ucieszyło mnie, że tak szybko nadeszła i czym prędzej śpieszę odpowiedzieć Pani. Nie mogę się mylić, i na Panią padł cień życia. Szczęśliwi ludzie nie potrafią tak głęboko wnikać w stan nieszczęsnej duszy. To właśnie, że Pani chce pozostać wobec mnie bezimienną i nieznaną, rozwiązuje mi język, jak nigdy wobec nikogo.

Żadnej ludzkiej istocie nie zdołałem wyjawić, co kryje się w mym najgłębszym jestestwie, tej nawet, którą kochałem.

Żyła w blasku i szczęściu, a była zbyt młoda, by mnie pojąć, nawet, gdyby mnie kochała, w co przecież wierzyłem. Dlatego też to, co mnie najgłębiej porusza, zamknąłem w skrytości duszy, zostawiając wyjawienie na czas, gdy mieliśmy się stać jedną istotą.

Lecz stało się inaczej. Nigdy jej nie przeniknąłem i wiem, że nigdy nie byłem rozumiany. Wobec Pani szczerść przychodzi mi łatwo. Moja matka umarła, zanim mogłem pojąć, czym jest matka w życiu. Jak mi opowiadano, umarła z sercem złamanym. Winien temu ojciec. Właściwie nigdy nie miałem matki. Ani rodzeństwa, ani krewnych. Z nikim nie łączył mnie węzeł prawdziwej przyjaźni, gdyż nikt mnie nie rozumiał. Zresztą uczucie przyjaźni stawiam tak wysoko, że tego idealnego pojęcia nie sposób wcielić w życie. Nawet człowiek, co zwał się moim przyjacielem, a potem mnie oszukał, nawet on był mi tylko dobrym towarzyszem, niczym więcej. A jednak jego zdrada trafiła mnie w samo serce. Naturalnie, daleko dotkliwiej trafił mnie bolesny fakt, że to ja, własną ręką zadałem mu śmierć, tak bardzo wbrew mej woli. Ma Pani zupełną słuszność, pojedynek jest bezsensowną farsą. Sądziłem, że nigdy nie będę do tego zmuszony. Bywa jednak niekiedy, że owa bezsensowna farsa bierze górę nad najsilniejszą wolą. Tak było w tym wypadku i nastąpiła katastrofa. Młode życie padło jej ofiarą, a na drugie moje, padł ponury cień. Pojedynek nie będzie nigdy sprawiedliwym odwetem. I wówczas, gdy winny padnie, kara dotyka niewinnego, może jego najboleśniej, jeśli jest człowiekiem mego pokroju.

Gdzież zatem sprawiedliwość, co wszystko wyrównuje? A jednak pojedynek będzie istniał póty, dopóki obraza będzie dla obrażonego hańbiącą. I tylko wówczas, gdy hańba padnie na sprawcę obrazy - jeżeli obrażony nie ponosi winy - tylko wówczas nadejdzie kres pojedynekom.

Ale zatapiam się w filozoficzne rozstrząsania istoty pojedynku, a to doprawdy nie jest stosownym tematem dla pań. Niech mi Pani wybaczy. Jestem nudnym pedantem i zapominam, że piszę do kobiety. Obawiam się, że po tej próbie mej niezdarności, gotowa Pani stracić ochotę do dalszej korespondencji ze mną. A to sprawiłoby mi wielką przykrość. Łączę słowa wdzięczności i prawdziwego oddania.

Ginter Friesen

Naturalnie i na ten list Dagmara pośpieszyła z odpowiedzią i korespondencja trwała nadal, z równą gorliwością obu stron. Oboje młodzi coraz głębiej wnikali w swe dusze, a dr Friesen nigdy nie przypuszczał, jak młode było stworzenie, które z taką subtelnością odczuło jego zawile nastroje.

Mimo całej szczerości korespondencja ich zachowała nadal charakter dość oficjalny. Była to w istocie jakby wymiana pamiętników, zwłaszcza ze strony doktora Friesena, dla którego naprawdę jego korespondencyjna znajoma była jakby pojęciem abstrakcyjnym.

Nieraz usiłował wyobrazić sobie Bezimienną, lecz nie przypuszczał nigdy, że jest ona niedoświadczoną dziewczyną, której miłość dała klucz do jego istoty.

Dagmara żyła tylko jego listami. Właściwie to wyłącznie stanowiły one treść jej istnienia. To, co przeżywała poza tym w domu ojca było czymś powierzchownym, niezdolnym nigdy poruszyć najlżejszym dotknięciem głębokich strun jej osobowości.

Czas upływał na częstej wymianie listów. Aż pewnego dnia dotarła do Dagmary wiadomość, że dr Friesen został w drodze łaski zwolniony. W ostatnim liście oznajmił jej tę nowinę:

Zaraz po zwolnieniu zamierzam wyruszyć w podróż do krajów podzwrotnikowych, aby zakończyć badania, które kiedyś rozpocząłem. Pociąga mnie przestrzeń, a sądzę, że tam w spokoju najprędzej odzyskam równowagę ducha. Te miesiące więzienia stanowiły mękę dla mojej natury nie znoszącej niewoli. Jeśli je mimo wszystko przetrwałem, zawdzięczam to Pani i Jej serdecznym listom. Niech mi będzie wolno choć listownie złożyć pocałunek na tej dobrej ręce, która skreśliła do mnie tyle słów pociechy. Chętnie, jakże chętnie pośpieszyłbym, aby osobiście podziękować Pani! Lecz Pani nie chce tego, pragnąc pozostać nieznaną, więc muszę skłonić głowę przed Jej postanowieniem. Pisała Pani, że w dniu, kiedy opuścę więzienie ustanie nasza korespondencja. Myślę, że poważne względy kierują Pani wolą, więc nie pozostaje mi nic innego jak uszanować ją. Może jednak bez naszego wpływu i woli los zetknie nas

ze sobą. Wówczas Pani mnie pozna, zostając dla mnie niepoznaną. Lecz chociaż jest Pani i będzie nieznajomą, Bezimienną, nigdy nie będzie mi Pani obca. Pani bowiem również odsłoniła mi swoją duszę i sądzę, że poznałem Panią lepiej niż ludzie obcujący z Panią codziennie. Dla mnie znaczy to bardzo wiele. Przede wszystkim powróciła mi Pani wiarę w dobroć serca kobiety. Żegnaj Pani, a jeśli kiedykolwiek w życiu zapragnęłaby Pani pomocy oddanego przyjaciela, proszę mnie przywołać. Gdyby Pani zechciała mi jeszcze coś powiedzieć, byłbym szczęśliwy - otrzymawszy znak od dobrej Bezimiennej. Wystarczy napisać pod adresem niżej podanym, stamtąd odeślą mi listy gdziekolwiek będę. Jeszcze raz przesyłam słowa wdzięczności i oddania.

Ginter Friesen

Na to Dagmara przesłała mu ostatni list:

Szanowny Panie Doktorze!

Życzę Panu wiele szczęścia na drodze wolności. Czuję zawsze niewymowną radość, że moje listy miały jakieś znaczenie w owym ciężkim okresie, który ma Pan za sobą. Nie jestem już Panu potrzebna. Siostra miłosierdzia wypuszcza ozdrowieńca spod opieki. Gdy w ubiegłych miesiącach czyniłam sobie niekiedy wyrzuty za korespondencję z Panem, przekraczając tak bardzo ramy utartych konwenansów, perswadowałam sobie: będzie trwała tak długo, jak jego pokuta w więzieniu lub póki nikt inny nie zjawi się z otuchą i pociechą. Gdy będzie uwolniony, skończy się moja rola i korespondencja ustanie. Moje listy nie pójdą już w świat za Panem. Na to dałam sobie słowo. A słowa trzeba dotrzymywać, zwłaszcza tego, które daliśmy sobie.

Więc też po raz ostatni piszę dzisiaj do Pana. Nie wiem, czy się spotkamy w życiu, a nawet, gdyby się to stać miało, dałam sobie uroczyste słowo, że się przed Panem nie zdradzę. Więc teraz muszę pożegnać Pana. Niechaj Bóg będzie z Panem, niechaj szczęście sprzyja Panu we wszystkich przedsięwzięciach. Może świat przyniesie mi kiedyś wieść o Pańskich czynach, a wówczas w cichości radować się będę Jego powodzeniem. Po raz ostatni ślę Panu słowa życzliwości.

Bezimienna

ROZDZIAŁ IV

W ostatnich czasach Dagmara nic nie słyszała o doktorze Friesenie, prócz kilku wzmianek w gazetach, że doktor podjął nową podróż do krajów podzwrotnikowych, rozpoczynając ją od zbadania kilku mało znanych wysp.

Ustanie korespondencji, z którą się tak zżyła, odczuła bardzo przykro. Listy Gintera Friesena były dla niej świętością. Odczytywała je zawsze, gdy pośród zwykłego otoczenia łaknęła ciepła. Serce jej, niezmiennie wierne, należało wciąż do człowieka, któremu się oddało, widząc go po raz pierwszy w słoneczny, letni poranek. Tajemnicza, beznadziejna miłość opancerzyła jej serce zimną obojętnością wobec ubiegających się o jej względy. Liczni wielbiciele zwali Dagmarę zimnym, niedosiężnym posągiem, nie przypuszczając nawet, jak silne i głębokie były jej uczucia. Na próżno usiłowała zasięgnąć bliższych wieści o doktorze Friesenie. Wszelkie starania były bezskuteczne. Po jego odjeździe nie słyszała więcej o nim. Upłynęły trzy lata i Dagmara pogodziła się z tym, że ów epizod z jej życia został na zawsze zamknięty.

Byłaby nad tym faktem zapewne więcej cierpiała, gdyby od samego początku nie uważała Gintera Friesena za niedostępnego dla siebie. Fakt, że był zaręczony, gdy go ujrzała po raz pierwszy, pozbawił ją wszelkiej nadziei, a wystrzeżała się pilnie, ażeby wbrew woli nie zakiełkowała w jej duszy. Beznadziejność jej miłości wydała jej się nieuchronnym losem, który jej przypadł w udziale. Wszakże sam Ginter Friesen napisał jej w jednym z listów: „I wiem, że nigdy odtąd nie pokocham żadnej kobiety”.

Wyobrażał sobie, że kiedyś może ożenić się z rozsądku, uważając małżeństwo za obowiązek społeczny.

Może więc teraz spełnił już tę powinność. Zadała sobie pytanie, czy nie zazdrości kobiecie, którą ze względów rozsądku pojął - być może - za towarzyszkę życia. Zaprzeczyła gorąco. Nie, stokroć lepiej żyć bez niego, niż wegetować przy nim jako niekochana kobieta. W ten sposób przynajmniej pozostały jej listy, w których odsłaniał jej głębię swego ducha, a także jej marzenia o tym, jak mogła być szczęśliwa, gdyby ją pokochał.

Bywały chwile, gdy w myślach głos jakiś odzywał się do niej z wyrzutem: dlaczego mu odmówiłaś, gdy chciał ci osobiście podziękować? Może i twoja powierzchowność byłaby mu równie sympatyczna, jak dusza, w którą mu pozwoliłaś wejrzeć!

A potem mówiła sobie: Nie, dobrze się stało. Gdyby cię osobiście poznał, a później niewzruszony i zimny odwrócił się od ciebie, czułabyś się o wiele nieszczęśliwsza, niż jesteś

obecnie.

I Dagmara osiągała coraz większy spokój i rezygnację. Niekiedy któryś z wielbicieli wydawał się jej sympatyczniejszy od innych. Próbowala wmówić w siebie, że małżeństwo z nim dałoby jej zadowolenie. Rozumiała, że wkrótce może nadejść chwila, gdy ojciec zażąda od niej, aby wyszła za mąż. Postanowiła, że wówczas najsympatyczniejszego z wielbicieli uszczęśliwi swą ręką. Ale wszystkie te myśli były nierealne i mgliste.

Tymczasem nagle oblekły się w rzeczywistość, która przeraziła Dagmarę. Wszystko, co drzemało w głębi jej serca, ożyło. Ginter Friesen stanął jej przed oczami, jakim go widywała w Berndorfie i serce jej ocknęło się z uspienia.

Gdyby ojciec pozostawił jej wolność wyboru, byłaby może przywykła do myśli o małżeństwie. Lecz on skrepował jej wolę, narzucając swoją w postaci wybranego przez siebie konkurenta, a nawet sam rozporządził jej ręką. Cała jej natura wzdragała się przed człowiekiem, który nie znając jej osobiście, godził się pojąć ją za żonę.

Kupczono nią więc, jak żywym towarem. Po prostu była cyfrą w kolumnie ksiąg rachunkowych ojca, zaś dla człowieka, który miał się z nią związać na całe życie, mniej jeszcze, niż cyfrą: zerem, dodanym do sumy bilansu.

Całe jestestwo Dagmary buntowało się przeciw temu związkowi, im bardziej zaś o nim myślała, z tym większym uporem zacinała usta.

Siedziała jeszcze pogrążona w myślach, gdy z hallu zadźwięczał gong, przywołujący do stołu. Zamknęła szkatułkę z listami i zeszła do jadalni. Ojciec jej przestrzegał najściślejszej punktualności, która i dla Dagmary stała się już drugą naturą.

Równocześnie z nią Klaus Ruthart przekroczył próg jadalni. Dama do towarzystwa, baronowa Steinberg, imponująca i wielce dystyngowana, z siwą kunsztowną fryzurą, oczekiwała ich przy stole. Ojciec i córka powitali ją uprzejmie. Wszyscy zasiedli do okrągłego stołu, z wytworną zastawą ze srebra, kryształów i kosztownej porcelany. Przy codziennych posiłkach nie brakło i kwiatów, nawet gdy nie było gości.

Na cichy znak baronowej służba zaczęła podawać. Baronowa była mądrą, obytą damą, umiała prowadzić rozmowę lekką i zajmującą. Radca lubił ożywioną pogawędkę przy stole, a baronowa miała zawsze w pogotowiu kilka aktualnych tematów, które warto było omówić. Tak też i dzisiaj. Lecz Dagmara była cichsza niż zwykle. Ojciec zdawał się nie brać tego w rachubę, jakkolwiek rzucił parę ukradkowych spojrzeń na pobladłą twarz córki. Spozstrzegł, że Dagmara buntuje się jeszcze w duchu przeciw związkowi z hrabią Taxemburkiem. Przy deserze, jakby mimochodem, rzekł do baronowej:

- Pojutrze oczekuję gości, około dwudziestu osób. Proszę postarać się o doskonałą

kolację. Specjalnie zależy mi na niej. Hr. Ginter Taxenburg będzie między zaproszonymi i z tej racji odbędzie się to przyjęcie. A więc, kochana baronowo, wszystko ma być wyborowe, szczegóły pozostawiam pani. Oto spis gości, rozmieszczenie ich pozostawiam pani i mej córce. Dagmaro, mam jedno zastrzeżenie: hr. Taxenburg poprowadzi cię do stołu.

Dagmara zbladła i zacisnęła usta, jakby tłumiąc odmowę.

Baronowa rzuciła kilka pośpiesznych pytań. Radca odpowiedział zwięźle, lecz dokładnie. Potem przeszedł z córką do przyległej palarni, gdy w jadalni służba zbierała nakrycie ze stołu, a baronowa własnoręcznie przyrządzała kawę.

- Dobrze byłoby, Dagmaro - rzekł Klaus Ruthart do córki - abyś się przygotowała nieco do rozmowy z hrabią. Jest to zamiłowany podróżnik, człowiek odcytany i bardzo zajmujący. Ty sama lubisz przecież poważne tematy. Ręczę, że cię zajmie, a rozmowa pójdzie wam gładko i miło.

Córka z niemym protestem spojrzała mu prosto w oczy:

- Będę dla niego taka sama, jak dla każdego z naszych gości, papo.

Ojciec nachylił się nad nią i spojrzał władczo i przenikliwie.

- Będiesz dla niego taka, jak ja sobie życzę. Wymagam tego i nie zniosę sprzeciwu. Mam przekonanie, że działam dla twego dobra i stanowczo cię proszę o zastosowanie się do mej woli.

Słowa te zabrzmiały ostro i twardo w uszach Dagmary, zanim jeszcze zdołała wyraźniej zaznaczyć odmowę. Zamknęła się w sobie z uczuciem, że spojrzenie ojca pęta ją tysiącem więzów i krępuje nawet jej ruchy.

Baronowa weszła z filiżankami czarnej kawy i radca zagaił z paniami lekką rozmowę, dając Dagmarze sposobność opanować wzburzenie. Zauważył bowiem, że nie była tak spokojna, jak starała się okazać.

Gdy w pół godziny później Dagmara znalazła się sama w swym pokoju, porównała się w myśli do schwytanego ptaka, który musi uczynić to, co mu każą. Lecz z dala od wpływu, jaki spojrzenie ojca wywierało na nią, jęła się znów całą duszą buntować przeciwko przymusowi.

Lecz jak się oswobodzić?

Długo myślała nad tym, aż wreszcie postanowiła:

- Powiem hrabiemu Taxenburgowi, że ojciec zmusza mnie do małżeństwa, odwołam się do jego rycerskich uczuć. Może jest na tyle szlachetny, że się sam usunie.

To postanowienie uspokoiło ją nieco. Po południu raz jeszcze odczytała listy od Gintera Friesena wraz ze swymi odpowiedziami i serce jej przepoiło się żalem, że miłość jej

miała na zawsze pozostać tylko w sferze marzeń.

Pomyślała z westchnieniem, że opór przeciwko małżeństwu z rozsądku nie jest mądry z jej strony. Cóż mogła jej przynieść przyszłość? Pełnego szczęścia nie zazna już nigdy, serce jej bowiem zawsze będzie należeć do doktora Friesena. Lecz hrabia Taxemburg był może naprawdę człowiekiem rycerskim, a u jego boku mogłaby przynajmniej zażywać swobody mężatki. W takim razie nie byłaby tak bezpośrednio zależna od ojca, który wymagał bezwzględnego poddania.

Jeśli hr. Taxemburg przystanie, aby bez miłości poszła z nim do ołtarza, jeśli naprawdę jest sympatycznym człowiekiem, to ona pogodzi się z takim losem.

Gdyby sprzeciwiała się woli ojca, czeka ją walka z nim, do której nie dorosła. A zresztą, o co walczyć? Czyż nie pogodziła się z myślą, że kiedyś zawrze małżeństwo z rozsądku? Czyż i Ginter Friesen nie liczył się z tym, że wejdzie w podobny związek? Może się już ożenił? Dagmara westchnęła. Ten krok stanowczy nie byłby dla niej tak ciężki, gdyby hr. Taxemburg nie był jej zupełnie obcy. To, że nie ujrzałszy jej przedtem, gotów był ją poślubić, świadczyło przeciwko niemu, a przynajmniej zdradzało, jak mało znaczyła dlań jej osoba. Ta myśl budziła w niej bunt.

Dopiero w porze podwieczorkowej opuściła swój pokój, aby zasiąść z baronową do herbaty. O tej godzinie radca bywał zwykle nieobecny. I dzisiaj nie było go również. Dwie panie gawędziły o obojętnych rzeczach. Gdy siedziały przy stole, przyniesiono pocztę.

Dagmara otrzymała list od swojej dawnej przyjaciółki, Kasi, która już od roku jako pani von Roschwitz przebywała z mężem w nadreńskim mieście garnizonowym. Pisywała stale do Dagmary. List dzisiejszy brzmiał:

Moja Droga Dagmaro!

Tym razem dłużej niż zwykle czekałaś na mój list. Wstydzę się tego opóźnienia. Dopiero, gdy będziesz mężatką przekonasz się, że mąż to zaborcza istota. Nie znosi obok siebie żadnych bożków, zazdrosny jest nawet o dawną przyjaciółkę z pensji. Ale życzę Ci, abyś wyszła za mąż tak szczęśliwie jak ja. Chętnie zobaczyłabym Cię, moja miła Dagmaro. We wrześniu podczas manewrów męża pojedę do Berndorf odwiedzić rodziców. Czy nie zechciałabyś wybrać się tam ze mną. Mogłabym wtedy poświęcić Ci dużo czasu i znów nagadać się z Tobą do woli. Jakby to było cudownie.

Teraz nowina. Wyobraź sobie, że Zizi Rothberg zareczyła się po raz drugi i to narzeczeństwo zostało także zerwane. Powiadają, że ukryła przed narzeczonym

powód, dla którego pierwsze zaręczyny nie doprowadziły do ślubu. Na tę wiadomość ożyły w mojej pamięci wspomnienia dawnych wypadków. Mija już cztery lata, jak pan Thorau zginął. I pomyśl w witrynie księgarskiej zobaczyłam dziś książkę doktora Gintera Friesena pt. „W dżunglach podzwrotnikowych”. Muszę koniecznie kupić tę książkę i przeczytać. Dr Friesen to jeden z najbardziej interesujących ludzi, jakich poznałam. Czy nie sądzisz, że i wygląd miał interesujący? Ale właściwie nie o tym chciałam Ci napisać. Mam jeszcze ważniejszą wiadomość. Na przyszły rok mój mąż występuje z wojska, aby pod kierunkiem mojego ojca kształcić się na agronoma. Ojciec jest już bardzo zmęczony prowadzeniem majątku. Że zaś obejmemy kiedyś Berndorf, dobrze będzie już teraz zaprawiać się do wiejskich zajęć. Cieszę się na myśl o powrocie do starych, kochanych stron. Wtedy i my będziemy widywać się częściej. Mam nadzieję, że tymczasem zobaczymy się we wrześniu. Jeśli nie mogłabyś przyjechać do Berndorfu, ja odwiedzę Cię w Berlinie. Pamiętasz, że kupując wyprawę bawiłam tam jakiś czas. Okres ten minął mi wesoło i miło. Duży, wytworny Wasz dom podobał mi się bardzo, krępowała mnie tylko postać Twego ojca ze sztywną, marsową miną. Muszę jednak przyznać, że dla mnie jako dla gościa był zawsze uprzejmy. Roztaczał jednak dookoła taką atmosferę chłodu, że zrozumiałam wówczas, dlaczego tak niechętnie wracałaś z pensji do domu.

Czułybyśmy się swobodniej, gdybyś przyjechała do Berndorfu, gdzie moja kochana mama psułaby nas jednakowo.

Proszę odpisz mi prędko i przyjmij serdeczny uścisk.

Kasia

W liście tym jeden szczegół miał dla Dagmary znaczenie, mianowicie, że wyszła książka dr Friesena. Wobec tej wiadomości nikły wszystkie inne. Z bijącym sercem złożyła otrzymany list. Po chwili powiedziała:

- Chcę jeszcze coś załatwić, baronowo, i wyjadę na chwilę do miasta.

- Teraz, panno Dagmaro? Chyba zapomniała pani, że dziś wieczorem macie być z ojcem w operze?

Dagmara przesunęła dłonią po czole. - Doprawdy zapomniałam. Która to godzina?

Spojrzała na zegarek.

- Dziesięć minut po piątej. Chciałabym jeszcze kupić książkę, którą właśnie poleca mi moja przyjaciółka - dzieło naukowe. To przecież nie potrwa długo. Pojadę zaraz do księgarni i wrócę jeszcze na czas, by się przebrać do opery.

Dagmara zerwała się i zadzwoniła. Rozkazała lokajowi, by szofer natychmiast zajechał po nią małym autem, które ojciec przeznaczył wyłącznie do jej użytku. Baronowa była niezadowolona.

- Na razie nie mam czasu towarzyszyć pani, Dagmaro.

Dagmara uczyniła gest przeczący:

- Na tę krótką przejażdżkę obejdę się bez towarzystwa pani. Jadę tylko do księgarni, tam i z powrotem.

Dagmara zebrała się co prędzej i w parę minut potem odjechała samochodem.

Z bijącym sercem zażądała w księgarni dzieła doktora Friesena. Niepokoiliła się, czy je zaraz otrzyma, i odetchnęła z ulgą, ujrawszy je na ladzie. Zapłaciła i niby cenny przedmiot zabrała książkę ze sobą. Był to spory tom. Nie wypuściła go z ręki podczas drogi do domu. Doznała uczucia, że książka opowie jej coś o tym, którego zawsze kochała całym sercem. Przecież to on napisał każde słowo w tym tomie.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy przeczyta książkę. Odkąd w liście Kasi ujrzała znów jego imię, wydawało jej się rzeczą niemożliwą pójść za wolą ojca i należeć do innego mężczyzny. Najchętniej spędziłaby ten wieczór w domu, na czytaniu książki. Lecz ojciec rozgniewałby się, gdyby się odważyła pokrzyżować jego plany. Dzisiejszy wieczór przeznaczył na operę i Dagmara wiedziała, że musi się do jego woli zastosować.

Po powrocie do domu, schowawszy tom, niby najcenniejszy klejnot, zaczęła się ubierać. Pokojówka przygotowała jej wszystko i zrecznie pomogła włożyć piękną toaletę.

Dagmara punktualnie zeszła schodami na dół. W hallu służący zarzucił jej na ramiona cenny płaszcz koronkowy.

Był to ciepły wieczór wiosenny, a słońce nie śpieszyło się opuścić horyzontu. Sezon teatralny miał się ku końcowi, lecz dzisiaj był występ gościnny obcej gwiazdy i cała śmietanka towarzystwa wybrała się do opery.

Klaus Ruthart z należąco uprzejmością wprowadził córkę do łoży. Był dla niej zawsze grzeczny, zwłaszcza wobec ludzi. Głaskało jego duszę rodzicielską, gdy córka budziła podziw. Tak było i dzisiaj. Dagmara wyglądała zachwycająco w lekkiej, kremowej sukni z jedwabnej gazy, aplikowanej koronkami. Szeroka złota wstążka ujmowała jej kibić, a związana z tyłu, spływała do rąbka sukni. Pięknie toczona ramiona, smukła szyja i kark były odkryte. Sznur pereł wił się dokoła szyi, a na pięknej, wąskiej ręce błyszczał jedyny pierścień ze wspianiałym szafirem w oprawie brylantów, na kształt gwiazdy.

Dagmara, jak mało kobiet, posiadała sztukę ubierania się stosownie i gustownie, a ojciec nie skąpił jej niczego.

Zajęła miejsce w łoży i oddawała powitalne ukłony we właściwy sobie, miły, acz nieco chłodny sposób.

I Klaus Ruthart zamieniał ukłony, był bowiem znaną w mieście osobistością. Oczy Dagmary błędziły obojętnie po pierwszych rzędach foteli. Nagle drgnęła, pobladła i spojrzenie jej, jakby przerażone, zawisło na śmiałym męskim obliczu, którego brązowy ton żywo odcinał się od wszystkich innych twarzy. Była to twarz człowieka, którego Dagmara kochała, a nie widziała już od berndorfskich czasów.

Pośród tysięcy rozpoznabyła to charakterystyczne oblicze, zawsze bez zarostu, lecz którego rysy w przeciągu tych lat paru zaostriły się i pogłębiały. Niezdolna opanować wrażenia, oparła się o fotel i zmrużyła oczy. Gorąca fala przepłynęła jej duszę. Serce tłuło się szybko i mocno, a ręce zacisnęły na poręczy. Zacisnęło wargi jakby się lękała, że wymówi jego imię.

Głos ojca zabrzmiał w jej uszach, zanim się opanowała. Zdawało jej się, że słyszy go w oddali. Nie rozumiała, co mówił lecz zebrawszy siły opanowała wzburzenie.

Otworzyła oczy i spojrzała na parter. Czy to nie był sen, czy naprawdę widziała Gintera Friesena? Do głębi przejęta, utkwiała w jego obliczu wielkie, poważne oczy. I jakby posiadały one magnetyczną siłę, Ginter Friesen również podniósł na nią wzrok w tej chwili, spotkały się ich spojrzenia. Lecz jego oczy musnęły ją obojętnie. Z lekkim drzeniem odczuła Dagmara, że jest dlań obcą osobą, niczym więcej, gdy on uosabiał dla niej przeznaczenie jej serca.

Spostrzegła nagle, że wzrok jego przeszedł z kolei na jej ojca. Gdy ten spojrzał nań równocześnie, Dagmara ku swemu zdumieniu ujrzała, że obaj panowie zamienili ukłony. A potem oczy Gintera Friesena, zainteresowane tym razem, powróciły do niej z badawczym, głębokim spojrzeniem.

Wtem zabrzmiała uwertura i ciemność zaległa widownię. Po chwili ojciec pochylił się ku niej i rzekł cicho:

- Hrabia Taxenburg jest w operze. Pokażę ci go po skończonym akcie, gdy światła znowu rozbłyszną. Możesz mu się przyjrzeć spokojnie, zanim ci go przedstawię. Z pewnością odwiedzi nas w łoży podczas głównej przerwy po drugim akcie.

Dagmara puściła to mimo uszu. Cóż ją obchodził hr. Taxenburg! Wiedziała, że teraz, gdy ujrzała Gintera Friesena, nigdy nie zostanie żoną tamtego. W ogóle na całym świecie istniał dla niej tylko jeden człowiek, Ginter Friesen. Zadawała sobie tylko w duchu pytanie, skąd jej ojciec zna doktora Friesena? I znowu fala wzburzenia wezbrała w niej na myśl, iż w takim razie istnieje przecież możliwość, iż osobiście pozna Gintera Friesena. Skoro ojciec znał go, jest prawdopodobne, że spotkają się w foyer i ojciec przedstawi go jej. Gorąco

uczepiła się tej możliwości. I tylko nękała ją troska, czy odwiedziny hrabiego Taxemburga nie zajmą całej przerwy? Wobec tej możliwości hrabia wydał się jej wrogiem.

Nie widziała i nie słyszała, co dzieje się na scenie. Nic z tego nie przeniknęło do jej świadomości. Oczy, przebijając mrok, wracały wciąż do doktora Friesena. Zauważyła, że i on skierował wzrok ku ich łożu. Może chciał tylko spojrzeć na jej ojca. W każdym razie, Dagmara znajdowała się w stanie ogromnego podniecenia, by ojciec nic nie zauważył. Ujrzała, że po raz drugi z uśmiechem skinął głową w stronę doktora Friesena i dziwiła się, że czyni to w tak ujmujący sposób. Dr Friesen odpowiedział takim samym uśmiechem.

Po czym ojciec zwrócił się do niej zapytaniem:

- Czy zauważyłaś pana, któremu kłaniałem się w tej chwili?

Dagmara wparła dłonie w poręcz:

- Mówisz o panu z trzeciego rzędu parterowych foteli, papo, o tym, z twarzą wygoloną i ogorzałą? - odparła, nadając głosowi swobodne brzmienie.

Ojciec przytaknął:

- Tak, tak, o nim mówię. To hrabia Taxemburg.

Dagmara drgnęła, zdumiona. Popatrzyła na ojca, potem na Gintera Friesena.

- To chyba pomyłka, papo. Myślę o panu siedzącym w trzecim rzędzie między oficerem kirasjerów a damą w błękitnej sukni... Ot, znów spojrział w naszą stronę.

Klaus Ruthart skinął głową:

- Ależ tak, jego ci właśnie wskazałem. To hrabia Taxemburg.

Dagmara zaskoczona, spojrziała ojcu prosto w twarz:

- To... to... ma być hrabia Taxemburg? - wybełkotała z trudem.

Ojciec roześmiał się:

- Nie „ma być”, ale jest - odpowiedział stanowczo.

Jak w szalonym kręgu zatańczyła widownia przed oczyma Dagmary. Ten człowiek, tam na dole, miał być według jej ojca hrabią Taxemburgiem? Jak to możliwe? Czyżby dr Friesen miał sobowtóra?

Ależ nie, nie, ta subtelna, rasowa głowa, twarde, nieco chmurne oblicze ze śmiałym, jak wyrzeźbionym profilem, te stalowe oczy z poważnym, a jednak łagodnym spojrzeniem - nie, taka twarz się nie powtarza! W tym tkwi jakaś pomyłka, ojciec nie zrozumiał jej chyba.

Gdy tak siedziała, pogrążona w myślach, usiłując wyjaśnić wszystkie owe sprzeczności, uderzyło ją, że dr Friesen i hr. Taxemburg noszą to samo imię. Obaj zwali się: Ginter. To ją tym bardziej zmieszało. Chętnie zadałaby ojcu kilka pytań, lecz lękała się zdradzić swoje wzburzenie. Gdy rozpoczął się akt drugi, znużona oparła się o poręcz fotelu,

usiłując powrócić do równowagi. Ojciec badał ją ukradkiem, nie wiedząc, jak wytłumaczyć sobie zmieszanie córki, które nie uszło jego uwagi. Lecz nie przypisywał temu wielkiego znaczenia. Jedno było dlań pewne, że przeprowadzi swą wolę.

Dagmara zaś wiedziała tyle tylko, że następna godzina przyniesie jej pewność, czy ojciec mówił o tym samym człowieku, o którym ona myślała. Możliwe było przecież, że wskazał na kogoś innego. Dalej nie sięgała myślą.

W żyłach jej krew krążyła żywiej. Tętna biły mocno, a głos sławnego tenora był dla niej natrętnym szmerem, który przeszkadzał jej w rozmyślaniu.

Odetchnęła z ulgą, gdy kurtyna opadła, a widownia rozświetliła się znowu. Oczy jej poszukały doktora Friesena. Wstał i podążył ku wyjściu.

Spojrzała na ojca:

- Czy pójdziemy do foyer, papo? - zapytała stłumionym głosem.

- Zostaniemy tu, Dagmaro; hr. Taxemburg odwiedzi nas niewątpliwie, a byłbym rad, aby wasze poznanie odbyło się na neutralnym gruncie - odparł ojciec.

Dagmara usiadła na krześle w głębi łoży. Kolana odmawiały jej posłuszeństwa. Umieściła się w ten sposób, że twarz jej pozostała w cieniu.

Nigdy krótkie minuty nie dłużyły jej się tak w nieskończoność, jak te, które teraz nastąpiły. Wreszcie otworzyły się drzwi łoży, a w ich obramowaniu ukazała się wysoka, smukła postać męska. Dagmara wielkimi oczami patrzyła w znajomą twarz, siląc się na spokój. Poznała we wchodzącym Gintera Friesena, któremu, choć był zaręczony z inną, samorzutnie oddała serce.

Klaus Ruthart powitał młodzieńca ukłonem i serdecznym uściskiem dłoni.

- Nareszcie zjawił się pan w Berlinie, hrabio! Cieszy mnie, że mogę pana powitać i przedstawić mej córce.

Młodzieniec ukłonił się z powagą:

- Bardzo o to proszę - odpowiedział uprzejmie.

Był to głos Gintera i jego sposób mówienia. Dagmara słyszała nieraz, jak w przejeździe rozmawiał z panem von Thorau. Serce jej tłukło się w piersi.

- Pozwól, kochana Dagmaro: hr. Ginter Taxemburg, moja córka Dagmara - przedstawił Klaus Ruthart młodzieńca.

Hr. Taxemburg złożył ukłon Dagmarze. Jego surowe, chmurne oczy spoczęły na młodej pannie. Nie wiedziała sama, w jaki sposób zniosła to spojrzenie z pozornym spokojem. Zachowywała się jak automat: na jego odezwanie odpowiedziała z pochyloną głową kilka stereotypowych zdań. Zdobywała się nawet na odwagę o dzisiejszym występie

tenora. Nie mogłaby powtórzyć, o czym mówiła sama i co on jej odpowiedział. Były to zdawkowe słowa bez osobistej nuty, tak z jednej, jak z drugiej strony. Dziwiła się tylko, że nie wychodząc z równowagi, potrafiła gawędzić z nim spokojnie. Hr. Taxenburg nie miał najmniejszego pojęcia, z jakimi uczuciami Dagmara zwracała się do niego. Sądził, że jest poprawna i chłodna i to sprawiło, że pozostał zimny, mimo jej niepospolitej urody.

- Widocznie zależy jej tylko na tym, by zostać hrabiną Taxenburg. Zdaje się, że to wszystko, czego szuka w małżeństwie ze mną. Nie potrzebuję więc przynajmniej robić sobie wyrzutów, że ona daje mi więcej, niż ja mogę jej ofiarować - pomyślał.

Tymczasem Dagmara wewnątrz walczyła wciąż o spokój i na próżno łamała sobie głowę, jak się to mogło stać, że Ginter Friesen stanął przed nią nagle jako hrabia Taxenburg.

Mogłaby może wyjaśnić ową kwestię, gdyby się go spytała, czy przed czterema laty nie bawił w Turyngii, jako Ginter Friesen. Musiałby na to odpowiedzieć. Obawiała się jednak, że mogłaby się wtedy zdradzić przed nim w jakiś sposób. Nie powinien się domyśleć, że widzi go dzisiaj nie po raz pierwszy, że ona była ową Bezimienną, z którą przez kilka miesięcy prowadził ożywioną wymianę listów. Nikt nie powinien o tym wiedzieć, a cóż dopiero on!

Przerwa skończyła się. Hr. Taxenburg pożegnał się i grzecznie zapytał Dagmarę, czy pozwoli mu nazajutrz złożyć jej swe uszanowanie.

Skinęła głową. Młodzieniec uklonił się i podał rękę jej ojcu, po czym opuścił łożę.

Klaus Ruthart spojrział na córkę bladą i sztucznie spokojną. Zasiadła ponownie w fotelu na przodzie łoża.

- Byłaś wobec hrabiego wymuszona i chłodna, więcej niż należało. Mam nadzieję, Dagmaro, że naprawisz to jutro.

Dagmara spojrzała na ojca znużonym i niepewnym wzrokiem:

- Pozostaw mi nieco czasu, ojcze - poprosiła bezdźwięcznym głosem.

Pan Ruthart wzruszył ramionami:

- Dopóki osobiście nie poznałaś hrabiego Taxenburg, uwzględniałem twe wahania. Lecz obecnie sądzę, że dla takiego konkurenta możesz być uprzejmiejsza. Do jutra masz czas do namysłu, spodziewam się, że zdobędziesz się na ton cieplejszy niż dzisiaj.

Dagmara milcząco schyliła głowę. Przedstawienie trwało dalej, ale w jej duszy wrzał istny chaos wrażeń.

Bezwiednie kierowała spojrzenie na parter, gdzie w półmroku odcinał się profil hrabiego Taxenburga. I dopiero wówczas uprzytomniła sobie, że jego to przecież ojciec przeznaczył jej na męża, że to on ma ją poślubić. Siedziała znieruchomiała pod wpływem

kłębiących się myśli. Jak ognistymi literami skreślone stanęły przed jej oczyma słowa doktora Friesena: „I wiem, że odtąd nie pokocham żadnej kobiety, że żadnej nie zawierzę. Może mimo to ożenię się kiedyś, gdyż założenie ogniska rodzinnego uważam za obowiązek społeczny mężczyzny. Lecz małżeństwo moje będzie małżeństwem z rozsądku, a serce będę trzymał w ryzach, by nigdy nie przemówiło”.

Wszak umiała na pamięć te słowa, czytała je tyle razy! Więc ona była kobietą, którą wybrał sobie na małżeństwo z rozsądku! Gdyby los nie jej wyznaczył tę rolę, mógłby tak samo trafić na inną. Osoba, którą wybrał do „małżeństwa z rozsądku”, była mu tak obojętna, że nie przyszło mu na myśl zobaczyć ją przynajmniej, zanim się zdecydował.

Wiele dałaby za to, żeby wiedzieć, co mówiono na ten temat między nim a ojcem. Przecież musiał mieć jakiś powód, dla którego wybrał właśnie ją.

Czy bogactwo jej było czynnikiem decydującym, czy ono przeważało szalę? Czyżby Ginter Friesen zabiegał jedynie o pieniądze, gdy dawna jego miłość rozbiła się o zdradliwe skały.

Gorący ból wezbrał w niej, a zarazem gniewna duma. Czyż może w takich warunkach połączyć się z człowiekiem, do którego należą nietknięte skarby jej serca?

Ginter Friesen! To imię zawierało całą treść jej życia. I nagle człowiek ten stanął przed nią ze zmienionym nazwiskiem, jako starający się o jej rękę. Hr. Ginter Taxemburg? Skąd doszedł do tego nazwiska? Gdyby to nie on, nie on właśnie zjawił się teraz przed nią pod tym obcym nazwiskiem, musiałaby przypuścić, że to niebieski ptak, oszust, strojący się w cudze pióra.

W tym wypadku było to wykluczone. Jego indywidualność, sposób bycia, pełen godności i pewności siebie nie dopuszczały takiego posądzenia.

Tym bardziej nie umiała wytłumaczyć sobie owej zmiany nazwiska. Niespokojne myśli, jak spłoszone ptaki, tłukły jej się po głowie, a wzburzenie nękało ją niby gorączka. Ręce i nogi ciążyły, serce i głowa bolały...

Odetchnęła z ulgą, gdy przedstawienie dobiegło do końca. Wstała zmęczona. Służący przyniósł okrycia. Ojciec zarzucił jej płaszcz na ramiona i przez tłum ludzi powiódł ją do wyjścia. W przedsiönku stał hr. Taxemburg w wytwornej pelerynie na fraku, a cylinder, który tak często szpeci, nie czynił żadnej ujmy jego charakterystycznej głowie. Powierzchność miał dystygowaną i zupełnie bez zarzutu. Dagmara musiała przyznać, że odpowiadała ona najzupełniej jego arystokratycznemu nazwisku. Nie wyglądał na uczonego, nie znać było po nim, że przez kilka lat przemierzał dzikie krainy dla odkryć naukowych. Myślała o książce, którą zakupiła, jadąc do opery, „W dżunglach podzwrotnikowych”. Wydał je pod nazwiskiem

Gintera Friesena.

A może był to tylko jego pseudonim literacki i naukowy? Lecz nie - wszakże pod tym nazwiskiem zaręczył się z Lizą Ruthart. Tamta z pewnością nie przemilczałaby, że jej narzeczony nosi tytuł hrabiowski.

To wszystko kręciło jej się w głowie, gdy na wpół przytomna siedziała w aucie przy ojcu w drodze powrotnej do domu. Od razu pod pozorem bólu głowy, usunęła się do swych pokojów. Ojciec nie oponował.

Dagmara przebrała się szybko z pomocą pokojowej, po czym odprawiła ją i niespokojnym krokiem zaczęła się przechadzać po pokojach. Ciągle prześladowała ją myśl, dlaczego Ginter Friesen został jej dziś przedstawiony jako hr. Taxemburg. Wreszcie zaprzestała dociekań, uznawszy niemożliwość rozwiązania zagadki.

- Może dowiem się o tym, gdy się o mnie oświadczy - pomyślała.

I znów gorąca fala krwi napłynęła jej do serca. Co uczyni, gdy on naprawdę oświadczy się o jej rękę. Czy da mu słowo i zostanie jego żoną? Jego żoną? Zadrżała, jak w gorączce.

Czyżby to nie była niewysłowiona męka żyć u jego boku jako niekochana żona?

Przycisnęła ręce do piersi, patrząc tępo przed siebie. I nagle rozbłyły jej oczy. Myśl jak gwiazda rozświetliła mroki jej duszy. Czyż nie było możliwe, że pokochałby ją, gdyby została jego żoną? Gdyby ją bliżej poznał, odczuł, że ona go kocha, może i on przywiązałby się do niej? Na tę myśl wyciągnęła ręce przed siebie, jakby do obrony, a twarz jej oblała się rumieńcem. Wyprostowała się dumnie:

- Nie, na Boga, nie; niechaj się nie domyśla czym jest dla niej! Jeśli naprawdę zwiąże się teraz słowem, niechże to będzie w mniemaniu, że i ona zawiera małżeństwo z rozsądku. Nie powinien w to wątpić. Jasno i wyraźnie musi mu powiedzieć, że rozsądek tylko kieruje jej postanowieniem. Po prostu wyjawi mu spokojnie, że ulega woli ojca, który chce ją widzieć hrabiną Taxemburg.

Tak - w tej formie mogłaby może przystać na ten związek. Czy mimo wszystko możliwość widywania go ciągle, co dzień, w każdej chwili, nie byłoby już szczęściem? Czy nie byłoby to o wiele, wiele więcej, niż się spodziewała od losu? O tak, szczęściem byłoby, gorzkim szczęściem, żyć przy nim. Może udałoby jej się przecież spędzić z jego czoła tę chmurę, dać mu harmonię i spokój, pomagać mu w pracach, we wszystkich poczynaniach. I może jednak zbliżyliby się wtedy nieco. Przycisnęła ręce do piersi i smutno potrząsnęła głową. Nie, nie, żadnych marzeń i złudzeń, żadnych dumań o szczęściu! Karmienie się podobnymi mrzonkami mogłoby tylko rozczarować ją gorzko. Wszakże on nigdy już nie

pokocha żadnej kobiety, a małżeństwo traktuje tylko jako spełnienie obowiązku wobec społeczeństwa. Ironia losu przeznaczyła jej na męża tego człowieka, którego całym sercem kochała, a który z zimnego rozsądku chce poprowadzić ją do ołtarza.

Lecz skoro już nigdy nie miał pokochać żadnej kobiety, przynajmniej nie było obawy, aby inną obdarzył swym uczuciem. Przynajmniej nie narazi się na zazdrość. I tak kotłowały się jej myśli, aż wreszcie, mimo wszystko, zabłysnął w jej sercu wąty promyczek radości. W każdym razie będzie żyła wciąż przy nim. A jeśli kiedyś zaciąży jej rola niekochanej kobiety, znajdzie pociechę w listach, które on do niej, bezimiennej, pisywał z więzienia. Wyjęła zieloną szkatułkę z biurka i raz jeszcze przeczytała listy.

Matkę stracił w dzieciństwie, zanim jeszcze mógł pojąć, jaka spotkała go strata, zaś ojca zabrało mu życie i właściwie nigdy go nie posiadał. Jakże to wszystko dziwne! Jak powiązać te zawile sprzeczności?

Niedawno zmarły hrabia Herbert Taxenburg był jego ojcem, czemuż więc pisał w tym liście, że właściwie nigdy nie miał ojca?

Myśli jej plątały się znowu - nie, nie rozwiąże tysiąca zagadek, które dzisiejszy wieczór nagle spiętrzył przed nią. Z westchnieniem odłożyła listy.

Nie powinien przypuszczać nawet, że to ja byłem ową Bezimienną, z którą prowadził tak żywą korespondencję. Wówczas bowiem zgadłby, że go kocham, a te listy miały źródło w miłości. Gdyby się o tym dowiedział, umarłabym ze wstydu.

Znużona, zdeorientowana ślęczeniem i rozmyślaniami, położyła się do łóżka. Lecz sen pierzchał z jej powiek. Wstała więc i wzięła do ręki kupioną dzisiaj książkę. Położyła się znowu i z niewysłowioną rozkoszą snuła się za jego myślami, za przygodami podróży po dzikich, bajecznie barwnych krajach. Miała wrażenie, że to on sam, we własnej osobie, opowiada jej o wszystkim, co widział i przeżył. Czytała do późna w nocy, aż przyszło znużenie.

ROZDZIAŁ V

Gdy nazajutrz służący zameldował hr. Gintera Taxenburga, radca Ruthart przyjął go w wytwornym salonie swej willi.

- Jakże mi miło powitać pana u siebie - ozwał się z serdeczną uprzejmością do gościa. Umiał być ujmujący, gdy leżało to w jego planach.

Hr. Taxenburg skłonił się:

- Wczoraj wieczorem przybyłem do Berlina i dziś w każdym razie wybierałem się do pana, nawet gdybyśmy się nie spotkali w operze. Wie pan, panie radco, że jedynie w tym celu przybyłem do Berlina.

Radca z uśmiechem pochylił głowę.

- Tak, wiem o tym, hrabio. Proszę, niech pan siada.

- Dziękuję.

Panowie zajęli miejsca i hr. Taxenburg ciągnął:

- Czy będę miał przyjemność zobaczyć pańską córkę, aby ją zapytać, jak się czuje po wczorajszym przedstawieniu.

- Naturalnie, poproszę córkę za chwilę. Szczęśliwy traf zrządził, że wczoraj mógł pan ją poznać.

Hrabia znów skłonił głowę:

- Był to dla mnie zaszczyt. I muszę wyznać, że panna Dagmara w rzeczywistości o wiele jest piękniejsza, niż mogłem sobie wyobrazić z fotografii, którą mi pan pokazał. Doprawdy, obawiam się, by pytanie, czy zechce zostać mą żoną, nie było zbyt śmiałym krokiem.

- Dlaczego zbyt śmiałym, hrabio?

- Gdyż zdaje mi się stworzona na to, aby ją kochano i pożądaną tylko dla jej osoby. Pan wie, że zdecydowałem się ubiegać o jej rękę, aby uczynić zadość woli mego ojca i pańskiej, panie radco. Ojcu memu uśmiechała się myśl, że klucz Taxenburg z zamkiem, pozostanie nadal w rękach hr. Taxenburgów.

- Słusznie! Szkoda byłoby, gdyby się stało inaczej.

Cichy uśmiech, z wyraźną domieszką ironii zaigrał na ustach hrabiego.

- Nie wiem, czy byłaby szkoda. Zapatruję się na te rzeczy inaczej niż mój ojciec. Lecz nie chciałem odmówić mu tej radości przed jego zejściem ze świata, gdy właśnie w ostatnich czasach okazywał mi istic ojcowskie uczucie. Dlatego przystałem na jego plany. Gwoli prawdy jednak nie mogę pominąć milczeniem, że gdy postanowiłem prosić o rękę pańskiej córki, kierowałem się wyłącznie tymi względami. Aczkolwiek powierzchowność panny Daggmary jest mi sympatyczna, aczkolwiek ma ona w sobie tyle miłego i naprawdę godnego miłości, jest mi zbyt obca, abym ją mógł kochać, a zresztą, panie radco, przypuszczam, że już nigdy nie pokocham żadnej kobiety. Nie pozostawiłem pana w błędzie co do tego, a teraz, poznawszy osobiście córkę pańską, muszę powtórzyć to jeszcze raz.

Ruthart zaprzeczył z uśmiechem.

- Niepotrzebnie stwarza pan sobie skrupuły, kochany hrabio. Bardzo często małżeństwa z rozsądku dawały więcej szczęścia, niż zawarte pod wpływem ognia namiętności. Moja córka wie o pańskich zamiarach. Przyjmie pańskie oświadczyzny, ręczę za to.

Hr. Taxenburg w milczeniu patrzył chwilę przed siebie:

- Więc w związku ze mną Dagmarze chodzi tylko o tytuł hrabiowski! Hm... to mi jest na rękę... Przynajmniej nie będę się poczuwał do obowiązku odwzajemniania jej uczucia - pomyślał.

Schyliwszy głowę, rzekł stanowczo i powoli:

- Zatem pozwolę sobie wkrótce prosić pannę Dagmarę o decydującą odpowiedź.

- Owszem, niech pan to uczyni. Mam nadzieję, że dziś wieczorem ujrzymy pana u nas. Zaprosiłem kilka osób, małe, zżyte grono i liczę, że mi pan nie odmówi swojej obecności.

Hr. Ginter skłonił się.

- Przyjdę bardzo chętnie.

- Przy tej sposobności pozna pan nieco bliżej moją córkę, poprowadzi ją pan do stołu. Naturalnie, w staraniu się o nią będzie się pan kierował własną inicjatywą i wolą. Jak panu powiedziałem, uświadomiłem Dagmarę, z jakimi zamiarami zjawi się pan w naszym domu. A skoro już dojdzie do porozumienia między wami, będę pana oczekiwał, by omówić stronę praktyczną tej sprawy.

Hrabia skłonił się. Radca zadzwonił:

- A teraz poproszę moją córkę - rzekł.

Gdy wszedł służący, radca wydał mu odpowiednie polecenie.

Dagmara widziała pojazd, z którego wysiadł hrabia Taxenburg. Była to zwykła taksówka. Ukryta za firanką, z bijącym sercem patrzyła, jak wchodził do willi. Odniosła wrażenie, że wraz z nim los jej wkracza przez próg domu. Los, któremu nie mogła zapobiec, któremu zapobiec... nie chciała. A później czekała na wezwanie ojca i posłuszna mu, udała się do salonu.

Dagmara miała na sobie białą suknię, opinającą miękko jej smukłe kształty. Niespokojna noc i tłumione wzburzenie powlokły jej twarz bladością.

Z rysami stężalymi w sztucznym, kamiennym spokoju, nie wyglądała korzystnie. Piękne, szare oczy miały dziś tępy i beznadziejny wyraz, a ładnie wykrojone usta zacisnęła szczelnie, jakby w obawie, by nie zdradziły strzeżonej pilnie tajemnicy.

Hr. Taxenburg skłonił się przed nią głęboko i spojrzał jej w oczy badawczym i głębokim wzrokiem:

- Piękne, bezduszne ciało - pomyślał.

Lecz to mu dogadzało. Nie chciał pojąć za żonę kobiety, która w ten związek kładłaby serce i duszę, on bowiem w zamian nie miałby nic do dania.

- Mam nadzieję, że wczorajszy wieczór pozostawił pani miłe wrażenie - zaczął ze zdawkową uprzejmością.

Dagmara stłumiła chęć płaczu, słysząc te chłodne słowa. Lecz podniecona duma pomogła jej zachować pozór obojętnej uprzejmości.

- Owszem, hrabio. A pan był zadowolony z występu świetnego tenora?

- Bardzo, od dawna już nie słyszałem dobrej muzyki, a zawsze jestem uważnym i chętnym słuchaczem. Niestety, ostatnie podróże nie pozostawiły mi dość czasu na koncerty i opery.

- Pan wiele podróżował? - rzuciła lekko Dagmara, choć serce jej zabiło żywiej.

- Tak. Zawód mój skłania mnie do dalekich podróży.

Dagmara mimo woli zacisnęła ręce na poręczy fotelu.

- Nie jest pan ziemianinem, hrabio?

Z uśmiechem potrząsnął głową.

- Nie, a przynajmniej nie byłem nim dotychczas. Lecz mój zawód łączy się ściśle z rolnictwem, gdyż jestem przyrodnikiem.

Dagmara zarumieniła się, nie tracąc jednak panowania nad sobą.

- To bardzo ciekawa gałąź wiedzy. Lecz zapewne wybrał pan jakąś specjalność. Przyroda obejmuje tyle dziedzin.

- Rozumie się. Poświęciłem się wyłącznie botanice.

- Zapewne tedy lubi pan bardzo kwiaty?

- Oczywiście! Szczególnie interesuje mnie flora podzwrotnikowa. Mam nawet zamiar hodować niektóre jej odmiany w wielkich cieplarniach, które dotychczas stoją bezużytecznie w Taxemburgu. Przywiozłem wiele nasion i mam nadzieję osiągnąć dobre wyniki.

- To musi być bardzo zajmujące.

- Cieszy mnie, że pani zapatruje się na to w ten sposób, panno Dagmaro.

Radca przysłuchiwał się spokojnie. Korzystając z pauzy, wtrącił się do rozmowy i przeszedł na inny temat.

Po jakimś czasie hrabia podniósł się do odejścia.

- A teraz nie chcę już zajmować państwa dłużej.

Radca i Dagmara powstali również.

- Więc do widzenia dziś wieczorem, kochany hrabio - rzekł Klaus Ruthart.

Hr. Taxenburg zwrócił się do Dagmary:

- Czy mogę mieć nadzieję, że moje przyście nie będzie pani niemiłe?

Pod magnetycznym wzrokiem ojca, Dagmara z bladym uśmiechem wycodziła odpowiedź:

- Owszem, rada będę zobaczyć pana znowu.

Hr. Taxenburg pożegnał się i drzwi zamknęły się za nim.

Klaus Ruthart, pozostawszy sam z córką, rzucił na nią przenikliwe spojrzenie:

- I cóż, jakże ci się podoba hr. Taxenburg?

Dagmara patrzyła mu w twarz:

- Sympatyczna, dystygowana postać - odparła bezdźwięcznie.

Ojciec gniewnie ścignął brwi:

- Bardzo chłodna ocena. Moim zdaniem ten człowiek mógłby poruszyć najzimniejsze serce dziewczęce. Mam nadzieję, że będziesz rozsądna i przyjmiesz jego oświadczyiny.

Tym razem spojrzała ojcu w oczy:

- Czy on naprawdę chce mi się oświadczyć?

- Bez wątpienia.

- I powziął to postanowienie zanim mnie zobaczył i poznał? Gdybym była brzydkim, nędznym stworzeniem, ułomnym, upośledzonym, czy i wtedy bez wahania ubiegałby się o moją rękę?

- Dowiadywał się o tve zdrowie, o tve wewnętrzne i zewnętrzne zalety. Powiedziałem mu, że jesteś piękna i zdrowa, starannie wychowana, rozumna, muzykalna, że masz usposobienie spokojne i zrównoważone. Wreszcie, pokazałem mu twą fotografię, ostatnie zdjęcie, które miałem przy sobie. Długo wpatrywał się w to odbicie i wyrzekł:

- Córka pańska ma dumne, szczere spojrzenie. Jeśli rzeczywistość odpowiada fotografii, to zgadzam się na ten projekt.

- Teraz, zanim weszłaś, powiedział, że znalazł cię piękniejszą i bardziej godną miłości, niż sobie wyobrażał, sądząc z fotografii. W każdym razie powziął stanowczą decyzję starania się o ciebie. Myślę więc, że zdobędziesz się na rozsądek i porzucisz te chłodne maniery.

Dagmara podniosła się i spojrzała dziwnym wzrokiem na ojca.

- Przyjmę oświadczyiny hrabiego, stanie się według twej woli, papo. Lecz proszę, nie pouczaj mnie, jak mam się zachować wobec niego, o tym decyduję ja sama.

I nie czekając na odpowiedź, szybko wyszła z pokoju.

Ojciec, zaskoczony, patrzył na nią przez chwilę. Były to słowa tak stanowcze, że na razie nie zdobył się na odpowiedź. Potem strzepnął palcami w powietrzu:

- Najważniejsze, by go przyjęła. Reszta przyjdzie sama. A myślę, że będzie zadowolona z człowieka, którego jej wybrałem.

Na tym skończyła się dla niego ta sprawa i przeszedł do swych interesów.

ROZDZIAŁ VI

Dagmara czytała książkę doktora Friesena do samego wieczora, gdy już nadszedł czas ubierania się na przyjęcie gości. Z rumieńcami na twarzy i błyszczącymi oczyma towarzyszyła mu w podróży i wyprawach dla badania flory w głuchej dżungli. Książka była zajmująca, pisana z wielką werwą. Przy sposobności wspomniał w niej autor towarzysza swej pierwszej, naukowej podróży, pana von Thorau, w jasnych barwach przedstawiając jego zasługi. Ta cecha jego charakteru głęboko wzruszyła Dagmarę. Miłość jej rozkwitła coraz pełniej.

Jeszcze staranniejsze niż zwykle ubrała się na wieczorne przyjęcie. Gdy była gotowa, wzięła ze sobą na dół dzieło doktora Friesena. Uczyniła to w określonym celu. Pragnęła bowiem, o ile to będzie możliwe, wyjaśnić dzisiaj sprawę, dlaczego hr. Taxemburg przed czterema laty występował w Tutyngii jako Ginter Friesen i wydał swe dzieło pod owym nazwiskiem. Zamierzała od niechcienia zwrócić jego uwagę na tę książkę i wszcząć o niej rozmowę. Wówczas musiałby odkryć karty.

Położywszy książkę na widocznym miejscu, udała się do dużego salonu, gdzie ojciec czekał już na nią. I baronowa Steinberg znajdowała się już w salonie, więc ojciec i córka zamienili ze sobą mało znaczące zdania. Wkrótce potem zjawili się pierwsi goście. Zgromadzenie miało być nieliczne, wszystkiego dwadzieścia osób. Baron von Gratz z żoną, konsul Falker, przyjaciel pana domu, z synem, który bardzo gorliwie zalecał się do Dagmary, tajny rada Steffens z żoną i córką, ekscelencja Plessen, dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa, z siostrą nieco przygłuchą, znany malarz profesor Hanke, słynny śpiewak koncertowy i paru kolegów po fachu radcy, stanowili, prócz hrabiego Taxemburga, grono zaproszonych.

Hr. Taxemburg ukazał się ostatni, lecz nie później niż wymagał dobry ton.

Była to stanowcza indywidualność, najbardziej zajmująca i najwybitniejsza z całego towarzystwa. Jego wysoka, smukła postać wyglądała wytwornie w nienagannie skrojonym fraku. Gdy stanął przed Dagmarą i skłonił przed nią głowę, serce jej zabiło żywiej.

Ołśniewała urodą w bardzo pięknej sukni z cienkiej, bladoliliowej tkaniny, na spodzie

z białego jedwabiu. Niby przejrzystą strugą spływa od wycięcia w górze, cała haftowana lśniąco paciorkami, ujęta w pasie sznurem z tych samych lśniąco paciorków; nieznaczając zbyt pięknych, młodzieńczych kształtów, układała się miękko i luźno na postaci panienki, posłuszna wszystkim jej ruchom. W wycięciu widać było śliczny rysunek ramion i karku. Dagmara nie miała znowu żadnych innych klejnotów, prócz dyskretnego sznura pereł i pierścienia ze wspaniałym szafirem, w otoczeniu brylantów na kształt gwiazdy. Obydwa klejnoty swego czasu nosiła często jej matka. Dlatego też szczególnie były jej miłe, tym bardziej, że matka, krótko przed śmiercią, gdy pierścień zsunął się z jej palców, powiedziała jej:

- Spójrz na ten kamień, dziecko, niebieski jak moje oczy. Skoro mnie już nie stanie, niechaj patrzy na ciebie, jak oczy twojej matki.

Dagmara nie zapomniała o tym i w duchu nazywała zawsze ten kamień „okiem mamy”. Nosiła go jak talizman.

Posiadała wiele klejnotów, gdyż ojciec przy każdej sposobności obdarzał ją nimi hojnie, lecz rzadko je nosiła, prócz owego pierścienia oraz pereł matki.

Hr. Taxenburg musiał przyznać, że Dagmara wyglądała prześlicznie. Raził go jednak jej chłodny, martwy wyraz. Nie domyślał się, ile trudu kosztował Dagmarę ów zimny pozór.

Osunęła się opodal na krzesło, wskazując hrabiemu drugie. Przez lukę rozsuwanych drzwi mieli widok na całe towarzystwo, a pozostając sam na sam, byli przez wszystkich widziani. Dagmara, nadając głosowi pewne brzmienie, zapytała:

- Wspomniał pan wczoraj, że jest przyrodnikiem. Interesuje mnie ta wiedza. Obecnie czytam ciekawą książkę, właśnie przyszło mi na myśl, ponieważ ją tu widzę. Czy zna pan tę książkę?

Usiadłszy na fotelu hr. Taxenburg zauważył swe dzieło i zawahał się chwilę. Lecz zaraz uśmiech rozjaśnił poważne jego rysy. Wyciągnął rękę ku książce i musnął ją lekko dłonią.

- Znam ją i to bardzo dokładnie.

- Czytał ją pan?

- Nie tylko czytałem, lecz i napisałem.

Spojrzała nań niepewnie.

- Pan?... Pan?... Przecież autor nazywa się Ginter Friesen.

- Naturalnie! Ale ja i Ginter Friesen, to jedna osoba.

Dagmara patrzyła na niego badawczo:

- Ach, tak, więc to pański pseudonim?

Potrząsnął głową.

- Nie, nie, rzecz ma się zgoła inaczej. Pani patrzy na mnie zdziwiona i zaciekawiona, lecz teraz nie pora na bliższe wyjaśnienia. Mogą przerwać nam lada chwila, a to opowiadanie wymaga czasu. Jeśli pani pozwoli, abym ją jutro odwiedził, wyłuszczę pani wszystkie zawiłości tej sprawy. O niejednym zresztą chciałbym pomówić z panią. Czy raczy pani wyznaczyć mi godzinę, kiedy mógłbym przyjść jutro? U pana radcy wyproszę sobie pozwolenie, bym mógł pomówić z panią sam na sam.

Dagmara pobladła. Ręce jej zacisnęły się kurczowo. Ale zimny spokój hrabiego udzielił się i jej, pobudzając dumę. Jutro po południu o czwartej oczekuję tu pana odparła swobodnie.

- Bardzo pani dziękuję, panno Dagmaro - rzekł hrabia z ukłonem. Lecz w duchu pomyślał: „Wie przecież, o co ją mam zapytać. Ale zdaje się, wcale jej nie wzrusza, że od jutra los jej wejdzie na inne tory. Widocznie jest tylko chłodną, powierzchowną i bezduszną damą. Lepiej jednak, że tak jest”.

Odłożył książkę na stół i ciągnął uprzejmie, lecz obojętnie:

- Dziwi mnie jednak, że tak poważna naukowa książka może panią interesować.

- Dlaczego to pana dziwi?

- Nie jest to lektura dla młodej panny z towarzystwa. Gdybym nie wiedział z pewnością, że pod tym nazwiskiem nie mogła pani domyśleć się mnie jako autora, przypuszczałbym chyba, że tylko dzięki uprzejmości pani, moja książka znalazła się dziś na tym stole. Zauważyłem ją zaraz i byłem naprawdę zdumiony, że pani czyta tego rodzaju lekturę. Czy naprawdę czyta pani tę książkę?

Lekki rumieniec zabarwił twarz Dagmary.

- Tak, czytam ją naprawdę. Doszłam już do połowy książki. Skoro pan tak dobrze obeznany jest z jej treścią, proszę tylko zadać mi kilka pytań, a przekonam pana.

Hrabia podniósł rękę przecząco:

- Wystarczy mi zapewnienie pani. Dziwne to jednak, że te rzeczy zajmują panią, panno Dagmaro.

- Pańska książka napisana jest zajmująco i żywo. Z zapartym tchem towarzyszyłam badaczowi we wszystkich ekspedycjach przez dziewicze lasy. Czy długo bawił pan w gorących strefach?

- Za pierwszym razem rok, za drugim przeszło dwa lata. W tym tomie jednak wyczerpałem tylko zdarzenia mej pierwszej podróży. Od kilku miesięcy pracuję nad dalszym ciągiem książki. Będą to opisy mojej drugiej podróży i jej zdobyczy naukowych. Zatem

jeszcze nie koniec mej pracy. Ale to doprawdy zbyt ciężki temat, nie chcę zaprzętać nim pani dłużej.

Dagmara potrząsnęła głową przecząco:

- Dla mnie to temat nie ciężki, a tym bardziej nie nudny.

- Doprawdy? To nie zdawkowy frazes?

- Nie, to nie frazes.

Patrzył na nią przez chwilę. Zaciekawiała go. Gdyby w istocie była powierzchowna, poważna książka naukowa nie zainteresowałaby jej. Choć serce miała zimne, wydała się mądrą istotą, znajdującą przyjemność nie tylko w zabawie. Rozmawiał z nią jeszcze chwilę o swojej książce i mógł się przekonać, że ją przeczytała uważnie i ze zrozumieniem. Potem przerwano im. Śpiewak rozpoczął występ. Przeszli do salonu, aby posłuchać pieśni Schuberta. Zaledwie śpiew umilkł, ekscelencja Plessen wyciągnął Dagmarę na pogawędkę. Starszy pan zaczął jej prawić komplementy we właściwy sobie miły, pełen humoru sposób. Dagmara przekomarzała się z nim lekko i swobodnie, a hr. Taxenburg musiał przyznać, że z uśmiechem było jej bardzo do twarzy.

Patrzył z podziwem na jej smukłą postać, opartą od niechcenia o fotel. Stojąc tak przed starcem, wyglądała jak młoda, łaskawa królowa, udzielająca audiencji. W sam raz będą dla niej ramy zamku taxemburskiego, który Klaus Ruthart miał zamiar odrestaurować i urządzić na nowo. Architekt i dekoratorzy przygotowywali się już do pracy, która była niemała. Ojciec jego, hr. Taxenburg zajmował tylko kilka pokoi wielkiej, imponującej budowli, z innych bowiem posprzedawał meble, mające większą wartość.

Hr. Ginter ocknął się z zadumy. Gorzki, ironiczny uśmiech zawisł mu na ustach.

„I to ja mam spowodować nowy rozkwit zrujnowanego zamczyska, sprzedając się tej pięknej, zimnokrwistej pannie! Czy to właściwie nie ironia losu, że on Ginter Friesen, wydziedziczony parias, miał teraz przywrócić blask staremu, hrabiowskiemu rodowi? Szalony jest ten świat! Lecz mniejsza o to, przyrzekłem staremu ojcu przed śmiercią, że to uczynię. Muszę przecież wprowadzić jakąś żonę na ten zamek. Niechże nią będzie ta panna z zimnym sercem i mózgiem, ma to swe dobre strony. Kobiecie z gorącym usposobieniem i sercem za wiele byłbym dłużny. Wypalone kratery nie grzeją, ani nie wybuchają”.

Takie myśli przychodziły do głowy hrabiemu Ginterowi, gdy się przyglądał Dagmarze, gawędzącej z ekscelencją Plessenem.

Jeszcze kilka razy tego wieczora miał sposobność porozmawiać z Dagmarą. Miała się jednak na baczności, aby nie zdjąć wobec niego zimnej, nieruchomej maski, choć serce jej biło żywiej, ilekroć się zbliżał. Pożegnawszy się z innymi gośćmi, młody hrabia skłonił się

przed nią i rzekł:

- Jeśli więc wolno, pozwolę sobie stawić się tu jutro o czwartej, by z panią samą pomówić. Pan radca dał mi zezwolenie.

- Zatem oczekuję pana - odparła Dagmara.

ROZDZIAŁ VII

Gdyby hr. Taxenburg mógł nazajutrz obserwować Dagmarę, zanim przestąpił próg willi, nie byłby tak przekonany o jej spokojnej i niewzruszonej naturze. W nerwowym podnieceniu przebiegała pokój, a twarz jej mieniła się na przemian to rumieńcem, to bledością.

Ojciec krótko i węzłowato oświadczył baronowej Steinberg, że życzy sobie, aby Dagmara przyjęła hrabiego Taxemburga sama. Dał jej do zrozumienia, że spodziewa się zaręczyn, baronowa usunęła się taktownie przed przyjściem hrabiego Taxemburga.

Klaus Ruthart pozostał w domu, oczekując w pracowni wyniku rozmowy między Dagmarą a młodzieńcem.

Dagmara została sama, pełna wzburzenia i niepokoju.

Wiedziała, że dzisiaj hrabia Taxenburg oświadczy się o jej rękę, wiedziała, że musi się zdecydować na stanowcze tak lub nie. Wprawdzie powiedziała ojcu, że przyjmie oświadczyzny hrabiego, lecz wahała się jeszcze.

Z jednej strony kusilo ją własne serce, pewność, że będzie żyła ze skrycie umiłowanym człowiekiem, nadzieja, iż z czasem może stać się dlań czymś więcej niż teraz. Z drugiej zaś strony, wątpliwość, czy sił wystarczy jej, by żyć u jego boku w ciągłym opanowaniu i chłodzie, doradzała ostrożność.

W rozżaleniu myślała, że będzie wegetować przy nim jako niekochana żona, walcząc z porywami własnego serca i tylko duma będzie jedyną jej bronią w zmaganiu, w którym nie wolno jej ulec. Była przeświadczona, że będzie gorzko cierpiała z niewzruszoną maską na twarzy, założoną jej przez niewieścią dumę.

I tak targaly nią sprzeczne uczucia. W jednej chwili była gotowa odmówić, w drugiej skłaniała się przyjąć oświadczyzny. Raz po raz zadawała sobie też pytanie, jak to się stać mogło, że hr. Taxenburg był zarazem Ginterem Friesenem.

Wszystko to wprawiało ją w niesłychany zamęt. Zaledwie jednak służący zameldował

hrabiego Taxemburga, odzyskała równowagę. Był to bierny spokój bez woli. Nagle uświadomiła sobie, że odpowie „tak”, że nie zdobędzie się na odmowę. I w bezsilnej rezygnacji, opancerzona w pozorny chłód i dumę, nie mając żadnej obrony, czekała spełnienia losu.

Wyniosła i wyprostowana stała na środku swego saloniku, gdy wszedł hr. Ginter i złożył jej ukłon.

- Dziękuję, że pani zgodziła się mnie przyjąć, panno Dagmaro. A teraz proszę wysłuchać tego, co pani powiem.

Dagmara wskazała mu miejsce, hrabia usiadł naprzeciw niej. Miała na sobie skromną, granatową, jedwabną sukienkę, u góry ściśle opiętą, a spływającą w miękkich fałdach do kostek. I w niej wyglądała wytwornie. Na ręce błyszczał pierścień z szafirem. Pomyślała, że ten talizman jest jej dzisiaj bardziej potrzebny niż kiedykolwiek.

Hrabiego Taxemburga uderzył poważny wyraz i bladość twarzy. Ale powiało nań chłodem, gdy z obojętną uprzejmością zapytała:

- Cóż pan chce mi powiedzieć, hrabio?

Spojrzał na nią bacznie, jakby chcąc zbadać najgłębsze tajniki jej duszy. Dagmara wytrzymała ten wzrok, nie drgnąwszy powieką. Hrabia odetchnął głęboko:

- Panno Dagmaro, ojciec powiedział pani zapewne z jakimi zamiarami wszedłem w progi tego domu. Nie mylę się chyba?

- Nie, nie myli się pan - odparła Dagmara machinalnie jak automat.

Hrabia skłonił się, do głębi serca zmrożony.

- Więc mogę mówić bez ogródek. Wie pani, że przybyłem prosić, by pani zechciała zostać moją żoną. Lecz zanim pani wyrzeknie decydujące słowo, niejedno jeszcze mam pani do powiedzenia. Chcę być zupełnie szczery. Musi pani wiedzieć, dlaczego staram się o jej rękę i dlaczego czynię to w ten sposób. Czy mogę mówić bez osłonek?

- Owszem, proszę o to - padło bezdźwięcznie z ust Dagmary.

Hr. Taxemburg oparł się plecami o fotel:

- Pytała pani wczoraj, jak to jest możliwe, że ja i Ginter Friesen jesteśmy jedną osobą. Muszę więc wyjaśnić pani, że do niedawna nazywałem się po prostu Ginter Friesen, nie mając prawa, ani do nazwiska Taxemburgów, ani do tytułu hrabiowskiego.

Dagmara drgnęła zdumiona.

- Pan nie jest hrabią Taxemburgiem? - zapytała bez tchu.

Młodzieniec uśmiechnął się dziwnie:

- Panno Dagmaro, proszę się uspokoić. Mam teraz czarno na białym niezaprzeczone

prawo nazywania się hrabią Taxemburkiem. Z urodzenia jednak nie jestem arystokratą, lecz jednym z wydziedziczonych, którym nie przysługuje prawo do nazwiska ojca.

Widząc jego wzburzenie i gorycz, Dagmara spojrzała nań z niepokojem.

- Więc hr. Taxemburg nie był pańskim ojcem?

Hrabia wywnioskował mylnie z jej zmieszania, że obawia się, czy w istocie ma prawo do tytułu.

- Jeszcze raz proszę, aby pani była o to spokojna. Hr. Taxemburg był wprawdzie moim ojcem naturalnym, lecz nie poślubił mej matki i adoptował mnie kilka miesięcy przed śmiercią, przywracając mi w ten sposób prawa, których jako dziecko nieślubne byłem pozbawiony.

Dagmara byłaby najchętniej w kojącej pieśszczocie pogłaskała dłonią jego czoło, widząc jak dotąd burzy się w nim gorycz. Lecz opanowała się z trudem i zapytała tylko:

- Czy mój ojciec wie o tym?

- Owszem, wie o wszystkim. Pozwoli pani, że i jej opowiem w głównych zarysach historię mego życia.

Dagmara skinęła potakująco głową.

- Owszem, proszę bardzo.

Hr. Taxemburg przez chwilę patrzył przed siebie, potem zaczął:

- Matka była sierotą, bez krewnych, bez majątku, zdana na samą siebie. Wstąpiła na deski sceniczne dla chleba. Talent miała podobno nieduży, lecz była bardzo piękna, zdobyła więc sobie skromne, lecz pewne stanowisko. Uroda zaciążyła na jej losie. Poznała mego ojca, wówczas eleganckiego młodzieńca, żyjącego na wielkiej stopie. Po rodzicach odziedziczył niewiele i sędzę, że zaczął od robienia długów. Matka podobała mu się, że zaś była uczciwą dziewczyną, zdobył ją przyrzeczeniem ślubu, który miał się odbyć po omówieniu tej sprawy z rodziną. Zawierzyła mu i ja przyszedłem na świat, zanim mój ojciec dotrzymał obietnicy. Zaniechał tego i później. Zwyczajem lekkomyślnych młodzieńców, którzy cześć biednej dziewczyny mają sobie za nic, łudził ją obietnicami. Zaslaniał się zawsze sprzeciwem arystokratycznej rodziny, nie zezwalającej mu na małżeństwo z aktorką mieszczańskiego pochodzenia.

Po moim urodzeniu coraz bardziej zaniedbywał moją matkę, aż wreszcie znalazł następczynię w osobie jej koleżanki z teatru.

Matka nie zniosła tego i napisawszy do mego ojca list pożegnalny z błaganiem, by przynajmniej zajął się moim losem, poszukała wiecznego zapomnienia. Wybacz pani, że roztaczam przed jej oczyma ponure obrazy.

- Proszę, niech pan mówi dalej bez żadnych skrępowań.

- Takie historie zdarzają się codziennie, niestety wielu jest młodzieńców, którzy mają na sumieniu podobny los dziewczęcia. Lecz gdy ojciec stanął przed trumną mej matki, przemówiło sumienie. Wzrósł w przesądach swej kasty, mającej za hasło: „Wszystko wolno, co człowiekowi miłe”, ale nie miał złego charakteru. Żałował swej lekkomyślności i według życzenia matki zajął się mym losem. Oddał mnie przyzwoitej rodzinie, która wychowywała mnie do dwunastego roku życia. Ludzie ci spełniali ten obowiązek sumienia, lecz surowo, zapewne w mniemaniu, że w ten sposób należy poskramiać lekkomyślność, być może drzemającą w mej naturze i odziedziczoną po mojej biednej matce. Nie przychodziło im na myśl, że lekkomyślność ojca może mieć wpływ na mnie: był hrabią i płacił słono. A zresztą zapomnieli o głównym czynniku wychowania: że dzieci należy otoczyć atmosferą ciepła. Trudno - nie mogli dać mi więcej niż sami posiadali. W każdym razie żegnałem ich z lekkim sercem, gdy ojciec wprost od nich oddał mnie do zakładu, gdzie kształciłem się aż do matury. Ale czy to pani nie nudzi, panno Dagmaro?

Dagmara była wsłuchana w jego słowa. Obawiając się, że głos zdradzi jej wzruszenie, bez słowa potrząsnęła przecząco głową. Hrabia ciągnął więc dalej:

- W owych czasach rzadko widywałem ojca. Nieraz schodziły lata, zanim zapragnął osobiście przekonać się o mym powodzeniu. Uiszczzał regularnie opłaty, lecz miałem uczucie, że byłem mu tylko ciężarem, który wziął na swe barki, z obawy przed wyrzutami sumienia. W dalszym ciągu prowadził szerokie życie, wydawał pieniądze pełną garścią i brnął coraz bardziej w długi. Niewiele pozostawało mu czasu na myślenie o mnie, lecz przy jego usposobieniu i to było zasługą, że nigdy nie zapomniał opłacać kosztów mego wychowania. Dał mi nawet wyższe wykształcenie, płacił mi miesięcznie przyzwoitą pensję, a gdy już zdałem doktorat, wyposażył mnie na pierwszą podróż naukową. Cenię to wysoko, gdyż już wówczas był w trudnym położeniu materialnym. Zanim wybrałem się w ową podróż naukową, po raz pierwszy zostałem dopuszczony na zamek Taxenburg. Lecz wówczas żyło jeszcze kilku krewnych ojca, więc nikt nie powinien był wiedzieć, że jestem jego synem. Był już bardzo chory i żył w odosobnieniu u siebie, zarówno ze względu na stan zdrowia, jak i z powodu złych interesów. Oświadczył mi, że tylko kilka lat jeszcze może mi pomagać, po czym muszę sam sobie radzić w życiu, gdyż jemu grozi zupełna ruina.

Nie ożenił się, aczkolwiek jego krewni nalegali na niego, przedkładając, że bogaty ożenek może mu uratować fortunę. Póki był zdrow i młody, obawiał się więzów małżeńskich, potem zaś za późno było o tym myśleć.

Już podczas mej pierwszej podróży zgłaszały się do mnie różne dzienniki o felietony z

moich wędrownych przeżyć. Zgodziłem się, że zaś otrzymałem za nie wysokie honoraria, mogłem, dzięki Bogu, zarabiać na utrzymanie. Byłem więc w stanie odesłać ojcu większą część kwoty, w którą mnie zaopatrzył, zawiadamiając go zarazem, że z biegiem czasu będę mógł zwrócić mu wszystko, co wydał na moje wykształcenie.

Powróciwszy z owej podróży, poznałem młodą pannę, z którą się zaręczyłem. Załatwię się krótko z tą bardzo dla mnie bolesną historią. Kochałem całą duszą - i zostałem zdradzony. Gdy bez wytchnienia pracowałem do późnej nocy, aby jak najprędzej spłacić dług, zaciągnięty wobec ojca, narzeczona zdradzała mnie z moim przyjacielem Hansem von Thorau. Nieraz spotkała się pani z tym nazwiskiem w mej książce.

Dagmara oddychała ciężko. Spuściła powieki, by hrabia nie mógł wyczytać z jej oczu, jak gorąco mu współczuje i jak dobrze zna ten okres jego życia.

- Tak, znam to nazwisko. Pan von Thorau towarzyszył panu w pierwszej podróży - rzekła.

Przesunął ręką po czole, a oczy spojrzały ponuro:

- Nazywaliśmy się przyjaciółmi, lecz musiałem posłać mu świadków, kiedy mnie znieważył. Stało się, że w pojedynku moja kula zadała mu śmierć - i to musi pani wiedzieć, chcąc poznać człowieka, któremu zgadza się pani powierzyć swe życie. Proszę mi darować, że nie będę się rozwodził nad tym, jak fatalnie podziałała na mnie ta karta mego istnienia. Teraz jest już poza mną, chociaż dotąd nie przebolełem jej zupełnie. Odpokutowałem oznaczony czas w więzieniu, a potem znowu wybrałem się w daleki świat. Do tej drugiej podróży nie potrzebowałem już pomocy ojca, stanąłem o własnych siłach, a nawet mogłem odesłać mu część kwoty, wydanej na moje wychowanie. Po powrocie ukończyłem pierwszy tom swego dzieła. Mogłem zawieźć ojcu honorarium otrzymane od wydawcy za pierwsze wydanie. Ojciec był bardzo cierpiący i prosił, abym pozostał przy nim na zamku. Wtedy to odczuliśmy po raz pierwszy, że jednak łączą nas węzły krwi. Budził we mnie litość w swym bolesnym opuszczeniu, on zaś okazywał mi iście ojcowską dumę i wzruszającą serdeczność. To nagle wzmożone uczucie pokonało mnie najzupełniej, zapomniałem o urazach, jakie do niego żywiłem, zapomniałem o wszystkim, prócz tego - że był moim ojcem.

Tymczasem pomarli ostatni jego krewni i ojciec oznajmił mi, że ma stanowczy zamiar legitymować mnie i wprowadzić w moje synowskie prawa. Zrazu oparłem się, a moje rozgoryczenie wybuchło z taką siłą, że w uniesieniu wyjawilem mu, jak bardzo cierpiała moja duma z powodu nieprawego pochodzenia. Widząc jednak, że owo wyznanie wstrząsnęło nim głęboko, pożałowałem swych słów. Jego ustawiczne błagania przełamały mój opór. W ten sposób zostałem hrabią Taxemburkiem.

Wkrótce potem ojciec pani zjawił się na zamku i obaj panowie zadali mi pytanie, czy chcę wstrzelić dawny blask rodu Taxenburgów, poślubiając córkę głównego wierzyciela mego ojca, a tym samym właściwego posiadacza klucza Taxenburg. Muszę wyznać otwarcie, że ta myśl nie zachwyciła mnie zbytnio. Nie powinno to pani dotknąć, gdyż wówczas jeszcze pani nie znałem. Obdarzyłem już raz kobietę całym skarbem miłości, jaki miałem do oddania i teraz w stosunku do kobiet jestem obiektywny i chłodny. Lecz zawsze byłem zdecydowany spełnić obowiązek społeczny, wchodząc w związek małżeński, o ile spotkam kobietę, która zadowoli się tym tylko, że ją otoczę głęboką czcią i względami, że będę dla niej taki, jak dżentelmenowi przystoi, że będę z nią żył w zgodzie i harmonii. Pan radca powiedział mi, że pani jest gotowa poślubić mnie, by spełnić jego życzenie. Ale pani zna mnie równie mało jak i ja panią, jestem więc przekonany, że i pani nie żywi do mnie żadnych gorętszych uczuć. Zawrzemy przeto ściśle konwenansowe małżeństwo, o ile pani przyjmie me oświadczyzny. Zapytuję tylko, czy po tym wszystkim, co musiałem pani wyznać, zechce pani zostać moją żoną.

Dagmara siedziała wciąż ze spuszczonej oczyma. Historia jego życia wzruszyła ją do głębi, całym sercem współczuła mu, póki opowiadał jej swe dzieje. Lecz ostatnie zdania zmroziły ją i pomogły wrócić do równowagi. Na Boga, niech tylko nie spostrzeże, co się kryje w jej sercu! Zdobyła się na odpowiedź głosem zupełnie spokojnym:

- Dziękuję za szczerość, hrabio. To, że nie próbuje pan udawać uczuć, jakich pan nie żywi, świadczy jak najlepiej o pańskim honorze. W zamian za to chcę być równie szczerą: przyjmuję pańskie oświadczyzny, ponieważ ojciec mój pragnie, abym została hrabiną Taxenburg, a także dlatego, że zgadza się to z moim życzeniem. Naturalnie kochać pana nie mogę, znając go tak mało. Ale uczciwe słowa pańskie wzbudziły we mnie przekonanie, że będę żoną prawdziwego dżentelmena. Tak samo więc, jak ja jestem pewna, że zawsze uszanuje pan we mnie swą żonę, i pan również może na mnie polegać, że nazwisko pańskie cenić będę wysoko i uważać je zawsze za powierzone mi dobro. Daję więc panu swe słowo i proszę o wszystkim innym pomówić z moim ojcem. Zgadzą się na wszystko, co obaj postanowicie.

Hr. Taxenburg skłonił się. Choć sam tak chłodno przemówił do Dagmary, jednak zmroziła go jej odpowiedź. Nie przeczuwał wcale, co działo się w sercu tej dziewczyny, która tak bez zastrzeżeń całą swoją przyszłość oddawała mu w ręce. Widocznie pragnienie hrabiowskiej korony było w niej bardzo silne, skoro bez wahania przyjęła tak formalne oświadczyzny.

Spojrzał na nią badawczo:

- Jeśli więc posiadam zgodę ojca pani, czy mogę od tej chwili uważać panią za swoją narzeczoną?

Dagmara schyliła głowę, pobladła:

- Owszem, panie hrabio.

- Więc proszę mi podać rękę na znak, że razem pójdziemy w życie jak para uczciwych ludzi.

Dagmara położyła rękę na jego wyciągniętej dłoni. Jak lód zimna była piękna rączka, na której łagodnym blaskiem mienił się duży szafir. Dagmara spojrzała na pierścień; jego ciemnobłękitne lśnienie wlało w nią nieco otuchy: „Niebieskie oko mamy czuwa zawsze nade mną, i na tej nowej drodze czuwać nie przestanie”, myślała pokrzepiona.

Hrabia Ginter mimo woli objął silnym uściskiem małą, miękką rączkę, jakby ją ogrzać chciał swym ciepłem. Potem podniósł rękę do ust.

- Uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby pani nigdy nie żałowała swojej zgody. Dziękuję.

Dagmarze udało się wreszcie spojrzeć mu w oczy spokojnie:

- Nie trzeba podziękowań, panie hrabio.

Ginter Taxemburg uśmiechnął się lekko:

- Ogólnie przyjętym zwyczajem narzeczeni mówią sobie po imieniu, czy wolno mi iść za tą powszechną regułą, droga Dagmaro?

Twarz jej zaczerwieniła się. Po raz pierwszy Ginter przemówił do niej w ten sposób. „Droga Dagmaro”. Cudownie zabrzmiało to w jej uszach, jak w bajce!

Zdziwiony spojrzał łagodnie w jej zaróżowioną twarz. Ta oznaka dziewczęcego zmieszania nie licowała zupełnie z jej zwykłym, chłodnym zachowaniem.

Zdradzała, że nie jest z kamienia. Przyjrzał się jej uważnie. Szkoda, że to piękne stworzenie nie wychodzi za mąż z miłości, że nie poślubia człowieka, którego kocha. Wszak posiada wszystko, co może uszczęśliwić mężczyznę. Lecz jeżeli ma duszę, to duszę uśpioną i tylko gorąca miłość mogłaby ją wzbudzić. Lecz dla niego lepiej, by zawsze trwała w uśpieniu.

Ponieważ milczała, zapytał:

- Czy mogę oznajmić ojcu, że mam twoje słowo?

Dagmara skinęła głową:

- Owszem, proszę mu to powiedzieć.

Uśmiechnął się:

- A jednak musisz się zdecydować mówić mi po imieniu, to jest Ginter.

I znów ku jego zdumieniu Dagmara zarumieniła się po uszy:

- Wybacz, Ginterze, muszę się przyzwyczaić - odparła zmieszana.

Jej zakłopotanie obudziło w nim rycerskie struny duszy.

- Czy pójdziesz ze mną do ojca? - zapytał, zmieniając temat rozmowy.

Oddychała szybko.

- Bądź łaskaw, idź sam, ja zaczekam tutaj, dopóki nie omówicie wszystkich potrzebnych szczegółów.

Ginter był ciągle zdumiony, wzruszyło go też nieco, że dumna i pewna siebie dziewczyna w tej chwili nie zdołała ukryć zmieszania.

Podniósł jej rękę do ust i wyszedł.

Dagmara spoglądała za nim jak odrętwiła. Utkwiła wielkie, palące oczy w drzwiach, którymi wyszedł.

- Czy potrafię to znieść? Czy zawsze podtrzyma mnie duma? - zadała sobie w duchu pytanie, truchlejąc na myśl o przyszłości.

Na szerokim, wyścielonym dywanem korytarzu, wiodącym do hallu, stał hr. Ginter Taxemburg, ocierając chustką czoło, jakby dla ochłody.

- Nie powinienem nic żądać, nie mając nic do oddania. A jednak, to szaleństwo zawierać taki związek! - pomyślał.

Ale po chwili machnął ręką i szybko poszedł dalej.

- Mimo to muszę wyznać, że wszystko jest w porządku. Przecież nigdy już nie mógłbym zawrzeć małżeństwa o innym charakterze!

I udał się do Klause Rutharta.

ROZDZIAŁ VIII

Radca przyjął go z uśmiechem:

- I cóż, drogi hrabio, przynosi mi pan dobrą nowinę? - zapytał z odcieniem żarliwości, brzmiącej nieco fałszywie...

Hr. Taxemburg spojrział na niego poważnie, był jednak trochę przejęty.

- Panna Dagmara przyjęła moje oświadczenia i upoważniła mnie, bym to panu oznajmił i omówił z nim wszystko, co należy.

Radca uściśnął mu rękę.

- Spodziewałem się tego, lecz miło mi usłyszeć potwierdzenie od pana. Proszę niech pan siada, zapalimy papierosa i pomówimy o wszystkim, co wiąże się z tym faktem.

Usiedli. Omówili dokładnie dalsze plany. Ustanowili termin ślubu na początek września.

- Do tego czasu, kochany Ginterze, zamek Taxenburg zajaśnieje nowym blaskiem. Musisz mi dać wskazówki, co do wyboru i nowego urządzenia pokoi, które chcesz zajmować
- rzekł radca.

Hr. Taxenburg spojrział na niego spokojnie.

- Najchętniej zająłbym pokoje, które ojciec mój zamieszkiwał w ostatnich latach życia. Prosiłbym też, aby w tym skrzydle nic nie zmieniać.

- Ależ, drogi Ginterze, nie można powiedzieć, by ten apartament specjalnie ładnie wyglądał! Pozwolisz chyba go odświeżyć?

Hr. Taxenburg rzekł stanowczo:

- Proszę się zastanowić, że właśnie te rzeczy odziedziczyłem po ojcu. Będę miał przynajmniej uczucie, że te pokoje należą zupełnie do mnie. Urządzenie odpowiada mi, jest dość okazałe dla moich skromnych wymagań. Zresztą proszę dowolnie dysponować w Taxemburgu, tylko moje pokoje proszę zostawić takie jakie są. Jeżeli wolno mi wyrazić specjalne życzenie, pragnąłbym mieć do dyspozycji oranżerię i cieplarnię, które chcę przystosować do swoich naukowych celów.

- Rozumie się, kochany Ginterze, nie ma o czym mówić. Twój apartament pozostanie więc bez zmian, pozwolisz mi tylko wytapetować go na nowo i zaprowadzić centralne ogrzewanie. Z oranżerią i cieplarnią postąpisz według swej woli. Proszę cię także, abyś się zajął administracją dóbr, a nie mam na to czasu. Moja córka otrzymuje w posagu cały klucz Taxenburg, oczyszczony z długów, więc będziesz tam panem.

Hr. Ginter poczerwieniał.

- Naturalnie, że podejmę się administracji majątku i dołożę starań, by szła jak najlepiej. Lecz nie uważam się tym samym za pana tego klucza - panią będzie Dagmara, ja zaś będę już teraz jak najstaranniej zarządzał dobrem mojej przyszłej żony. Gdyby kiedyś w przyszłości urodził się nam syn, niech czuje się całkowicie hrabią Taxemburgiem. Co do mnie, w głębi w duszy będę dla siebie zawsze tylko Ginterem Friesenem i będę nadal uprawiał swój dotychczasowy zawód, o ile tylko czas pozwoli mi na to. Jako administrator mej żony będę miał właściwy warsztat pracy, jestem młody, zdrowy, lubię życie czynne. Podzielę czas sumiennie między hrabią Taxemburgiem a badaczem Ginterem Friesenem, by żaden nie był pokrzywdzony. Na własne utrzymanie muszę sam zarobić, by nadal zachować

niezawisłość wewnętrzną.

Jakiś błysk pojawił się w zimnych zazwyczaj oczach pana radcy. Uścisnął serdecznie dłoń przyszłego zięcia.

- Dumny jestem, że będziesz się zwał moim synem. I ja nie inaczej postąpiłbym na twoim miejscu. Daleki jestem od tego, aby cię krępować, w zależności czy byś się nieswojo. Każdy jest sobie panem. Uważam twoją dumę za uzasadnioną. O ile cię poznałem, będziesz równie na właściwym miejscu jako hr. Taxemburg, jak byłeś jako Ginter Friesen. Twój ojciec za długo zwlekał z wprowadzeniem cię w słusznie należne ci prawa. Komuż bardziej niż tobie przystoi reprezentować stare gniazdo rodzinne? Cała twoja natura, zalety wewnętrzne i zewnętrzne, wszystko w tobie jest arystokratyczne w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Jak powiedziałem, będę dumny z ciebie. Czy wspomniałeś mej córce, że ojciec legitymował cię niedawno?

- Owszem, powiedziałem jej wszystko, o czym powinna wiedzieć i to także, iż w pojedynku zniszczyłem ludzkie życie.

Radca uczynił gest przeczący:

- Byłeś w swym prawie, Ginterze. Niepotrzebnie mówiłeś o tym Dagmarze. Kobiety bywają często drażliwe w kwestiach, których nie potrafią zrozumieć.

- Panna Dagmara nie okazała wzburzenia, przyjęła to spokojnie.

- Tym lepiej! Jesteś istnym fanatykiem prawdy Ginterze. Ale dam ci dobrą radę: w takich rzeczach bądź oględny z Dagmarą. Zdradza ona niekiedy skłonność do sentymentalizmu, jest to dziedzictwo po matce. Kobiety nie wszystko powinny wiedzieć.

Ginter powiedział sobie w duchu, że jak dotąd, nie zauważył u Dagmary sentymentalnych skłonności. Ale nie wypowiedział swej myśli i rzekł spokojnie:

- Powiedziałem jej wszystko, co moim zdaniem wymagało szczerego wyznania.

Skoro obaj mężczyźni omówili wszelkie niezbędne kwestie, udali się do Dagmary.

Podczas tej przerwy Dagmara miała czas odzyskać równowagę. Przyjęła spokojnie życzenia swego ojca i baronowej Steinberg, która nadeszła tymczasem.

Dagmara zgodziła się na termin ślubu. Omówiono jeszcze niektóre szczegóły i radca ułożył zawiadomienie o zaręczynach.

Dagmara trwała dalej w marsowym spokoju, a Taxemburg nie przeczuwał nawet, jaką wewnętrzną rozterkę pokrywa ten zimny pozór.

ROZDZIAŁ IX

Ginter pozostał jeszcze jakiś czas w Berlinie. Radca życzył sobie, by zaręczyny jego córki odbyły się bardzo uroczyście. Zaraz następnego dnia spisano listę gości, mających otrzymać zaproszenia na tę uroczystość. Dagmara spytała narzeczonego, czy ze swej strony chce zaprosić znajomych lub przyjaciół. Ginter wymienił kilku kolegów oraz profesorów, których szczególnie szanował. Poza tym nie miał żadnych życzeń. Dagmara wręczyła mu listę do przejrzania. Odczytał ją przelotnie. Zatrzymał się na jednym nazwisku.

- Widzę tu znajome nazwisko, Dagmaro - powiedział.

Domyśliła się go wprawdzie, lecz zapytała od niechcenia.

- O kim mówisz?

- Państwo von Berndorf z Berndorfu. Czy to ci sami, których majątek leży w Turynii?

- Tak, to ci sami. Kasia jest moją przyjaciółką z pensjonarskich czasów. Poniżej znajdziesz jej nazwisko już jako mężatki. Poślubiła pana von Roschwitz. Wątpię, aby przybyli do Berlina na moje zaręczyny, ale nie mogłam ich pominąć. Może znasz tę rodzinę?

Przez chwilę Ginter patrzył ponuro przed siebie. Po czym odetchnął ciężko i rzekł:

- To nazwisko przypomina mi najcięższe chwile życia. Hans von Thorau, którego zastrzeliłem w pojedynku, znał dobrze tę rodzinę. Mieszkali w jego sąsiedztwie, a zarazem w sąsiedztwie mojej byłej narzeczonej. Byłem nawet kilka razy w Berndorfie. Ale znają mnie tam tylko pod nazwiskiem Friesena.

Dagmara nerwowo bawiła się listą.

- Może spotkanie z nimi byłoby ci niemiłe?

Hrabia potrząsnął głową.

- Przywiodą mi wprawdzie na pamięć ciężkie godziny, ale trudno, nieraz może się to zdarzyć. Niemiło byłoby mi tłumaczyć im powody zmiany mego nazwiska.

Dagmara wyprostowała się gwałtownie.

- Nie przyjadą na nasze zaręczyny, ale z pewnością nie zabraknie ich na ślubie. Nie będziesz jednak potrzebował dawać żadnych wyjaśnień, uwolnię cię od tych przykrości, ja sama opowiem mojej przyjaciółce, jak się rzeczy miały. Ona powiadomi rodziców, a ja postaram się o to, by nikt ani słowem nie poruszył owych czasów. Czy dobrze?

Ginter podniósł jej rękę do ust;

- Dziękuję ci, Dagmaro. Jesteś bardzo łaskawa. Rzeczywiście trudno byłoby mi mówić

o tych rzeczach. Ładnie to z twojej strony, że chcesz mi dopomóc.

Dagmara zarumieniła się, wiedziała bowiem dobrze, iż w głębi duszy we własnym interesie chciała prosić Kasię o milczenie w tej sprawie. Pragnęła w ten sposób nakłonić Kasię do zatajenia jej pobytu w Berndorfie w owych czasach. Wypadnie to znacznie naturalniej, niż bez tego pozorów. Opanowawszy się, rzekła półgłosem:

- Rozumiem cię najzupełniej, że wolisz nie wspominać tamtych ciężkich czasów.

Ginter spojrzał na nią zdumiony. Nie wierzył, aby mogła go pojąć. Ból, jaki go wówczas przeszył, burze, jakie nim wstrząsnęły, będą zawsze obce spokojnemu, chłodnemu usposobieniu, jakie Dagmara posiadała jego zdaniem. Każdemu zresztą trudno byłoby pojąć owe straszne walki, ów upadek ducha, w tych dniach smutnej pamięci.

Lecz w chwili, gdy to pomyślał, zbudziło się w nim pewne wspomnienie. A jednak znalazł się ktoś, kto z cudowną intuicją, z przedziwną delikatnością wczuł się w stan jego duszy. Owa Bezimienna uchroniła go wówczas od pomieszania zmysłów, od zupełnego załamania się. Wniknięcie w jego rozpaczliwy nastrój, dobre kojące słowa, ocaliły go wtedy od najgorszego, co mu groziło. Gdzieś w świecie, prawdopodobnie te, dobre, kojące słowa, ocaliły go wtedy od najgorszego, pokrewna mu dusza, kobieta, która go rozumiała. Przechowywał dotąd jej listy. Nikt dotąd nie potrafił tak poruszyć najgłębszych strun jego duszy, jak owa nieznajoma. Gdy po odbyciu tej kary wyszedł na wolność, tyle innego miał do czynienia i myślenia, że przez pewien czas prawie zapomniał o tej kobiecie. Ale później, w środku dżungli, był przez dłuższy czas skazany na bezczynność z powodu zranienia nogi. Ludzie towarzyszący mu w wyprawie, ustawili dla niego łoże w jednym z namiotów. Wtedy przypomniał sobie listy, które zabrał ze sobą, odczytał je raz drugi, a potem wiele razy. I nagle odczuł potrzebę przemówienia znowu do owej nieznajomej, ubłagania jej, by przynajmniej zechciała wymieniać z nim listy. Przy najbliższej sposobności wysłał do niej list pod dawnym adresem: „Flora podzwrotnikowa”. Lecz Bezimienna nie odebrała już tego listu. Widocznie swego czasu miała poważny zamiar zaprzestać korespondencji. Skoro bowiem powrócił z tej dalekiej podróży i zawitał do Berlina, zastał tam swój list niepodjęty. Zabolalo go, że więcej nie usłyszał już o Bezimiennej. Wcale się nie domyślał, że siedzi naprzeciw niego teraz, jako jego narzeczona.

Dagmara spostrzegła, że Ginter jest myślami daleko od niej. Sądziła, że wspomina kobietę, którą kochał, a która go zdradziła. Może kocha ją jeszcze, mimo wszystko co było.

Trwała w bezruchu i odczuwała tylko głuchy ból, że jest dla niego niczym.

Po chwili Ginter ocknął się zadumany.

- Wybacz mi Dagmaro, zamyśliłem się - powiedział skruszony. Przeszli na inny temat,

a wkrótce potem ukazała się baronowa Steinberg z zapytaniem, czy hrabia zostanie na kolacji.
Następnego dnia Dagmara napisała do Kasi:

Droga moja Kasiu!

Nie chcę, by tylko drukowane zawiadomienie powiedziało Ci, że zaręczyłam się z hrabią Taxemburgiem. Mój ojciec życzył sobie tego, że zaś hrabia jest mi sympatyczny, przystałam na to małżeństwo. Znajdziesz w nim zresztą dawnego znajomego. Czy pamiętasz jeszcze doktora Gintera Friesena? Pewno tak, niepotrzebnie pytam. A więc hr. Taxemburg i Ginter Friesen, to jedna osoba. Zdziwisz się, jak i ja się zdziwiłam. Dobry znajomy mego ojca, hr. Taxemburg, był jego naturalnym ojcem. Przed śmiercią adoptował syna, który w ten sposób został jego prawowitym dzieckiem.

Czyż nie dziwne są igraszki losu? Ani nam się to śniło, gdy po raz pierwszy widziałyśmy doktora Friesena ze wzgórką w bemdorfskim parku. Otrzymasz zaproszenie na nasze zaręczyny Ty i Twoi kochani rodzice. Obawiam się jednak, czy Was zobaczymy, gdyż czasu już niewiele. Miałabyś długą drogę przed sobą, nie mam więc nadziei na Twe przybycie. Ale na ślub mój, dziesiątego września spodziewam się na pewno Was wszystkich. Będzie dość czasu na przygotowania, a w tym dniu nie powinno Cię zabraknąć, jak mnie nie zabrakło na Twoim ślubie.

Mam jeszcze wielką prośbę do Ciebie. Mój narzeczony do dziś dnia jest pod wrażeniem katastrofy, której ofiarą padł Hans von Thorau, chociaż nie miał zamiaru go zabić i tylko nieszczęśliwym wypadkiem kula trafiła jego przeciwnika. Zauważyłam, że wprost lęka się poruszenia tych wspomnień. Niechętnie też mówi o legitymowaniu go przez ojca, duma jego bowiem wiele ucierpiała z powodu nieprawego pochodzenia. Dlatego proszę Twoich bliskich i Ciebie, byście przy spotkaniu z nim unikali tych tematów. Najlepiej byłoby nie wspominać wcale o przeszłości. Bądź laskawa poprosić Swoich rodziców o to samo. Wiem, że mnie zrozumiesz i nie weźmiesz mi za złe tej prośby.

A teraz muszę kończyć, gdyż nawał zajęć zabiera mi dużo czasu.

Gdy znajdę wolną chwilę napiszę obszerniej.

Serdeczne pozdrowienie przesyłam Twemu mężowi, a Tobie Kasienko, czule uściski.

Twoja Dagmara

W kilka dni potem otrzymała Dagmara następującą odpowiedź:

Kochana Dagmaro!

Co za miła niespodzianka! Oboje z mężem przesyłamy Ci serdeczne życzenia szczęścia. Obyś z Twoim małżonkiem żyła równie szczęśliwie, jak my dwoje ze sobą.

To prawda, życie dziwnie układa się niekiedy. Oto moja miła Dagmara jest narzeczoną człowieka, którego, jak mówiłyśmy, szkoda było dla Lizy Rothberg. Co też ona powie na Wasze zaręczyny? Myślę, że wówczas tylko dlatego nawiązała stosunek z panem von Thorau, że miał tytuł barona. Woląла zaś zostać baronową niż doktorową Friesen. Skoro teraz usłyszysz, że Ginter Friesen jest hrabią Taxemburgiem, będzie ją to gryzło. Dobrze jej tak, zasługuje na to. Mam nadzieję, że Twój narzeczony przeboleje wszystkie przeszłe niedole. Możesz być przekonana, że ani ja, ani ktokolwiek z moich słowem nie poruszy drażliwych tematów. Dla nas hr. Taxemburg będzie nowym człowiekiem.

Jak słusznie przewidziałaś, niestety nie możemy przybyć na Twoje zaręczyny. Kurtowi trudno teraz o urlop. Ale na Twój ślub przyjedziemy na pewno wszyscy.

Napisz mi szczegółowo o Swoich zaręczynach, czy czujesz się szczęśliwa? Gdzie będziecie mieszkać po ślubie? Jak sobie urządzicie życie?

Twój narzeczony jest wyjątkowo interesującym człowiekiem; pamiętasz, twierdziłam to już dawniej. Czytam teraz jego dzieło, które mnie bardzo zajęło, chociaż jak wiesz, nie kwapię się do naukowej lektury. Mój mąż czyta ten list przez moje ramię, spojrzął oczyma Otella i twierdzi, że on tylko winien być dla mnie zajmujący. Zatem, by uniknąć losu Desdemony, cofam co napisałam. To nastroiło łaskawie mego Kurta, który polecił mi dodać, że i on z wielkim zainteresowaniem przeczytał książkę Twego narzeczonego i cieszy się, że go pozna. Jeszcze raz najlepsze życzenia dla Was obojga, a od mego męża ucałowania Twoich rąk. Serdecznego całusa przyjmij Droga Dagmaro

od Kasi.

Dagmara odetchnęła z ulgą po przeczytaniu tego listu. Chwała Bogu, Ginter nie dowie się nigdy, że była w Berndorfie wówczas i że go tam widziała. Obawiała się, aby nie powziął podejrzenia, że to ona jest Bezimienną. Gdyż stąd niewątpliwie musiałby wyciągnąć wniosek, że ona go kocha. Musiałby dojść do przekonania, że jedynie z miłości pisze kobieta takie

listy, jeśli zna mężczyznę, z którym koresponduje.

Teraz uwolniła się przynajmniej od obawy, że może się zdradzić.

Po kilku dniach odbyły się wytworne zaręczyny.

Gości było wiele i wiele toastów wzniesiono na cześć młodej pary. Oni zaś przyjmowali życzenia z naturalną swobodą, choć większość obecnych domyślała się, że tylko rozsądek kojarzy to małżeństwo. Narzeczeni nie robili wrażenia zakochanych. Wprawdzie hrabia Ginter był bez zarzutu, uprzedzająco grzeczny i zajęty wyłącznie narzeczoną, mimo to jednak zbyt oficjalnie zachowywał się w stosunku do Dagmary.

Ona zaś była taka sama jak zawsze. Uważano ogólnie, że i jako narzeczona jest „nieprzystępnym posągiem”. Kilku odrzuconych wielbicieli ostrzyło sobie języki, ubolewając nad biednym narzeczoną, że czeka go życie w atmosferze lodowca.

W każdym razie Dagmara mogła być zadowolona.

Nikt nie przeczuwał z jak gorącym uczuciem Ignęła do narzeczonego. Tak dobrze odegrała swą rolę, że nikomu nie mogło przyjść na myśl, iż stereotypowy wyraz, jaki ukazała światu, nie był jej prawdziwym obliczem.

Narzeczeni nie zbliżyli się w ciągu owych dni. Duma Dagmary czuwała nad każdym jej spojrzeniem i słowem, hrabia zaś był wprawdzie uprzedzająco grzeczny, lecz niemniej chłodny, jak ona.

Odjechał w kilka dni po zaręczynach. Para narzeczonych rozstała się bez objawów czułości. Skończyło się na pożegnaniu według wszelkich form etykiety, przy czym ucałowanie ręki narzeczonej stanowiło najwyższą oznakę uczucia.

ROZDZIAŁ X

W ostatnich miesiącach życia starego hrabiego Taxemburga, syn jego Ginter mieszkał na zamku. Powrócił tam i teraz, by na życzenie Klause Rutharta objąć kierownictwo wszystkich interesów klucza.

Zaznajomienie się z nowym terenem pracy zabierało mu wiele czasu. Wszelkie zaś obowiązki zwykł spełniać bardzo sumiennie. Nie miał wcale ochoty odgrywać przy Dagmarze bezczynnej roli „prince consort”. Potrzebował pracy, wyteżonej, ruchliwej i czuł się tym lepiej im więcej jej znajdował. Zamierzał uczciwie zapracować na swoje stanowisko w Taxemburgu.

Ukończenie swej pracy naukowej odłożył do pory zimowej, gdy gospodarskie zajęcia zajmują mniej czasu. Uśmiechał mu się szeroki zakres działania, absorbujący całą jego osobowość. Czuł, że na tym nowym posterunku stanie się pożyteczny. Tak zaś gorąco zrosł się z całą naturą, że wszelkie wiadomości, których brak jeszcze odczuwał, przyswajał sobie bezwiednie. Poczynania jego cechowała na zewnątrz energia i pewność siebie, przy czym jednak cały personel odczuwając jego sprawiedliwość i dobroć, chętnie poddawał się jego woli. Zdawał sobie sprawę, że o ile jego praca tutaj ma wydać owoce, musi odgrywać rolę pana, występował więc jako pan tych włości.

Zamek Taxenburg był wielkim, imponującym gmachem, zbudowanym na zboczu lesistego pagórka. Ze wszystkich okien roztaczał się piękny widok na pasma gór, pokrytych gęstymi lasami i wdzięczne, urocze doliny. Środkowa część zamku rozsiadła się szeroko, mieszcząc wielkie komnaty, służące jedynie do uroczystych przyjęć. Stopniowo zamek rozrastał się, pięć przybudówek łączyło się z jego głównym blokiem, a każda z nich tworzyła odrębny masyw, ukoronowany własną wieżą lub basztą. Każda wieża miała swój właściwy charakter, całość zaś potężnej budowli sprawiała mimo to wrażenie malowniczej harmonii. Środkowa baszta i boczne różnorodne wieżycy, strzeliście sięgały w niebo: jedna smukła i dumna, druga krągła i nieco przysadzista, tamta dziwiacznie ozdobiona, ta w linii szlachetnej i pięknej. Wszystkie świadczyły o upodobaniach swych twórców i dziwne było tylko, że połączenie tylu stylów zdołało wytworzyć tak piękną całość.

Dagmara poznała zamek w czasie swych jednorazowych odwiedzin. Podobał jej się bardzo, choć wewnątrz przedstawiał obraz zaniedbania.

Ojciec polecił jej wybrać jedną z części zamku na swe apartamenty. Zdecydowała się na skrzydło południowe, skąd widok był najbardziej malowniczy. Zarazem było ono największe. Hrabia Ginter, wiedząc, że jego przyszła żona zamieszka w owym skrzydle, starał się specjalnie urządzić je wedle życzeń Dagmary.

Omówił z nią obszernie tę sprawę, lecz wyłoniły się jeszcze pewne kwestie, które pragnął wyjaśnić, wobec czego zwrócił się do narzeczonej listownie, z prośbą o wskazówki co do owych szczegółów.

Jego pierwszy list to niej z natury rzeczy nie był listem miłosnym, mimo to jednak starał się nadać mu ton serdeczny i ciepły. Zatyłował go „Kochana Dagmaro”, a podpisał się „serdecznie oddany Ginter”. Otrzymawszy ten list Dagmara postąpiła jak każda kochająca narzeczona.

Przycisnęła go do serca i ucałowała umiłowane imię. Wszakże nikt jej nie śledził. Natychmiast siadła do biurka, by odpowiedzieć na list. Lecz gdy napisała: „Kochany

Ginterze! Śpieszę z odpowiedzią na Twój miły list”, pióro jej nagle utknęło. Wzdrygnęła się i odrzuciła je. Przestraszona zwinęła w kłębek papier i wrzuciła do kosza. Dopiero w tej chwili spostrzegła, że pismo może ją zdradzić. Z pewnością rozpoznałby w nim pismo Bezimiennej, gdyż miało wszystkie charakterystyczne cechy tamtego pisma. Zmartwiona siedziała przed biurkiem, zastanawiając się, jak wybrnąć z sytuacji. Uśmiechnęła się wreszcie i odetchnęła z ulgą. Jakież to niedorzeczne, tak się martwić bez potrzeby. Na szczęście, w wolnych chwilach nauczyła się pisać na maszynie. Wszystkie zamówienia, korespondencję w interesach załatwiała w ten sposób. Ojciec na jej życzenie kupił jej małą, zgrabną maszynę do pisania. Stała w jej pracowni na specjalnym stolyczku. Więc i do narzeczonego wysła list pisany na maszynie. Zapewne wyda mu się to dziwne, lecz przy sposobności może mu wytłumaczyć, że w ten sposób prowadzi całą swą korespondencję. Na przyszłość będzie w ogóle tak robić. Wszak Ginter nie powinien nigdzie zobaczyć jej pisma. Nie znał jej prawdziwego podpisu, ponieważ brzmiał zawsze „Bezimienna”. Na szczęście jednym rozmachem pióra rzucający na papier podpis, różnił się dość znacznie od zwykłego jej pisma. Mogła więc bez obawy podpisać się teraz piórem.

Pocieszona wstała i przyniosła maszynę. Postawiła ją na biurku i ponownie zaczęła pisać list do narzeczonego.

Gdy Ginter odebrał list, potrząsnął głową, zdumiony. Nie oczekiwał wprawdzie listu miłego, lecz tak suchego, pisanego na maszynie, nie spodziewał się również. Poza nagłówkiem „Kochany Ginterze” i podpisu „Twoja Dagmara” list ten nadawałby się do korespondencji handlowej. W każdym razie nie był to bynajmniej list do narzeczonego. Zapewne słowa, które Dagmara przesłała Ginterowi z obawy zdradzenia się przed nim, brzmiały dosyć blado, lecz zwłaszcza pismo maszynowe nadawało listowi specjalnie banalny charakter. List ten nie miał żadnej osobistej cechy. Na jego widok chłód przeniknął Gintera.

Brakowało tylko, aby podpisała „z poważaniem, Dagmara Ruthart”, a byłby to typowy list handlowy - pomyślał z gorzką ironią.

Zapomniał zupełnie, że przecież pragnął żony, nie żywiącej dlań żadnych gorętszych uczuć, a tym samym nie wymagającej ich od niego. List ten powinien więc zadowolić go najzupełniej.

Tego samego wieczora Ginter siedział w swej pracowni. Zajmował zachodnie skrzydło zamku, najwyższe po południowym Dagmary. W owej części mieszkał przedtem ojciec, teraz zaś, w porozumieniu z radcą, on objął ten apartament. Po zrobieniu pewnych koniecznych napraw, Ginter czuł się doskonale w pokojach, posiadających jeszcze pewną staroświecką patynę, mimo, a może właśnie dlatego, że zniszczone meble pochodziły jeszcze

z minionych stuleci. Zresztą cały zamek został umeblowany na nowo, z uwzględnieniem przeznaczenia każdego apartamentu. Renomowany architekt, któremu radca powierzył to zadanie, dokładał wszelkich starań, by wewnętrzne urządzenie dostosować ściśle do stylu zamkowego, nigdy nie wykraczając poza ramy spokojnej wytworności.

Ginter siedział przy oknie swej pracowni, wpatrując się w blaski gasnącego dnia. Przed nim leżał pierwszy list Dagmary. Rzucił go z irytacją na stół, stojący we wnęce pokoju. Ściągnął gniewnie brwi. Czy wszystkie kobiety miały tak zimne serca, te, które jak Liza Rothberg okazywały udawaną miłość i te, co jak Dagmara, nie tały braku uczuć?

Lecz na to pytanie odpowiedział sam sobie przecząco. Istniały wszakże jeszcze inne kobiety, na przykład owa Bezimienna, która pisywała do niego dobre kojące listy.

Nagle zbudziło się w nim pragnienie odczytania raz jeszcze owych miłych listów. Gdy słońce zaszło, a cienie fioletowymi smugami kładły się na doliny, sięgnął do biurka i wyjął z przegródki plik listów Bezimiennej.

Były związane sznurkiem. Rozwiązał je i zaświecił lampkę na biurku. Potem, siedząc z głową opartą na rękę, odczytał raz jeszcze wszystkie listy po kolei, jak je ułożył w miarę otrzymywania. A przy tej lekturze ciepłe, błogie uczucie spływało mu do serca. Tak miękka dłoń kobieca, dotykając w łagodnej pieśczoce czoła, sprawiała ulgę w cierpieniu.

Jak często bywało, tak również i dzisiaj, zaczął się zastanawiać nad tym, czym powodowała się owa obca kobieta, pisząc do niego w ten sposób. Z jakich uczuć zrodziły się te listy? Z litości, miłości bliźniego, czy z innych, nieznanym mu pobudek? Czy Bezimienna знаła go osobiście? O tym nie wspomniała nigdy wyraźnie. Niekiedy przychodziło mu na myśl, że tylko kochająca, prawdziwie kochająca kobieta, może z taką wnikliwością odczuć ten stan duszy jak ona. Znowu zadał sobie pytanie, czy to było możliwe, że nie wiedząc o tym był kochany przez kobietę, pisującą do niego te listy. Ale jeśli tak było w istocie, to znała go osobiście. On zaś tak mało znał kobiet, że mógłby zliczyć je na palcach... Żadna z nich nie byłaby zdolna pisać takich listów. I dzisiaj znowu próbował wyobrazić sobie Bezimienną. Lecz rozbijała fantazja nie zdołała stworzyć konkretnego obrazu. To jawiła mu się postać młodej, słodkiej, jasnowłosej kobiety, to znów dojrzałej niewiasty z dobrymi, wyrozumiałymi oczyma i macierzyńskim, litościwym wyrazem twarzy. I tak trwał w długiej zadumie po odczytaniu listów. Ciepły, wiosenny powiew napływał przez otwarte okno. Uroczysta cisza spowiła świat. I przyszło mu na myśl, że taka kobieta jak owa Bezimienna, najbardziej zgadza się z ideałem kobiety, jaki sobie wytworzył. Zastanowił się, czy taka kobieta, obdarzona ponadto sympatyczną powierzchownością, nie byłaby w stanie rozniecić na nowo wygasłego w jego sercu ognia. Nagły chłód przejął go na myśl o przyszłym małżeństwie z Dagmarą

Ruthart. Tam leżał jej list. Pismo maszynowe z szyderczą wyrazistością odcinało się na białym papieru. Brak w nim osobistych cech nasunął mu w zaostrej formie dawną myśl, że Dagmara widziała w nim tylko obcego człowieka, narzuconego jej przez los, by ją pojął za żonę.

Potem wzrok jego padł na fotografię Dagmary. Z grzeczności uprosił ją od niej i umieścił na swoim biurku. Wziął ją teraz do ręki i wpatrywał się w nią długo. Ze spokojną dumą spoglądała na niego z ramki. Wdzięcznym, swobodnym ruchem, który w niej tak lubił, oparta o krzesło, złożyła na poręczu śliczne, smukłe dłonie.

Czy ta piękna istota doprawdy nie posiadała duszy? Te dumne, szczere oczy kryły tylko chłód? A może dusza trwała tylko w uśpieniu?

A jeśli naprawdę drzemała i rozbudzi się kiedyś, jeśli przyjdzie doń z wyrzutem w tych ślicznych oczach i powie: „Ty, co znałeś życie, jakim prawem mogłeś przykuć mnie do siebie?” Co wtedy?

Odstawił szybko fotografię na biurko i wstał nerwowo. Głupstwo! Dagmara Ruthart chciała zostać hrabiną, to był cel jej pragnień. Poza tym nie miała innych życzeń. Ze ściągniętymi brwiami patrzył na listy Bezimiennej. To one wprowadziły go w zły nastrój. Niedobrze uczynił, odczytując je teraz, zbudziły w nim tęsknotę za czymś niedosięglym, jak wszystkie ideały. Precz z tą tęsknotą, precz z tymi listami! Najlepiej będzie je spalić!

Zgarnął wszystkie listy i wrzucił do kominka. Zamek miał wprowadzić centralne ogrzewanie, lecz w dni zimowe, gdy drwa na kominkach płoną budząc uczucie swojskości, pozostawiono je nadal.

Zapalił zapalniczkę chcąc podpalić listy. Lecz zaraz zdmuchnął płomień.

- Nie, to byłaby niewdzięczność - pomyślał.

Wszakże te listy, dobrymi, kojącymi słowami wyrwały go z odrętwienia, z tępej, głuchej rozpacz. Nie wolno mu ich niszczyć, byłoby to barbarzyństwem. Zachowa je nadal jako pamiątkę po słodkim, litościwym sercu nieznanego sobie kobiety, której bezinteresowna wspaniałomyślność pomogła mu podnieść się z ciężkiego upadku ducha.

Zebrał starannie listy, związał je sznurkiem i złożył pieczołowicie do dawnej przegródki w biurku. Otworzył następnie inną, pustą przegródkę, po drugiej stronie biurka i wrzucił do niej list Dagmary. Gorzki uśmiech zawisł mu na ustach.

Widzę, że to, co wzięłem na siebie, jest cięższe, niż przypuszczałem. Byłoby lepiej zostać samotnym człowiekiem - pomyślał z głębokim westchnieniem. I znowu wpatrzył się w obraz Dagmary.

- Taka piękna a taka zimna - szepnął. - Szkoda tego ślicznego stworzenia!

Po czym zabrał się do pracy, by zwrócić myśl na inne tory.

ROZDZIAŁ XI

Szybko minęły miesiące, poprzedzające ślub Dagmary. Z początkiem września hrabia Taxemburg zjechał znów do Berlina i para narzeczonych ujrzała się po rozłące.

Powitali się bardzo poprawnie. Najkrytyczniejsze oko nie mogłoby nic zarzucić ich zachowaniu.

O wszystkim, co pozostało jeszcze do rozstrzygnięcia, decydowali wspólnie w grzeczny i uprzejmy sposób. Sprawy, które zwykle dają narzeczonym sposobność do tysiąca ukradkowych czułości, załatwiali zgodnie, rzeczowo, lecz bez domieszki sentymentu. Zresztą nie byli prawie nigdy sami. Baronowa Steinberg sumiennie pełniła rolę sekretarki, lecz chyba żadna para narzeczonych nie potrzebowała jej mniej, niż oni.

Na dwa dni przed ślubem pozostali przez jakiś czas sami. Znajdowali się właśnie w małym salonie, gdzie kiedyś Dagmara umieściła na stoliku książkę doktora Friesena, chcąc spowodować wyjaśnienie Gintera, dlaczego dawniej nosił inne nazwisko.

Baronowa została nagle odwołana do jakiejś gospodarskiej czynności. Dagmara stanęła przy oknie, Ginter patrzył z boku na narzeczoną. Podziwiając jej regularny profil, pomyślał, jaka to szkoda, że ta piękna, dumna dziewczyna zdawała się być bez duszy, że nie miłość kierowała jej wyborem, jak również, że nie z miłości została wybrana.

A gdy tak obserwował ją uważnie, zdawało mu się, że na jej obliczu widzi smutek. Spozrzegł, że usta jej drżą, jakby od hamowania łkania.

Zawahał się chwilę, po czym wstał szybko i poszedł do niej:

- Dagmaro!

- Słucham, Ginterze - odparła, nadając głosowi pewne brzmienie.

Ujął ją za rękę:

- Dagmaro, odniosłem nagle wrażenie, że jesteś bardzo smutna.

Przyzwyczajona z dawna do panowania nad sobą, Dagmara przemogła się szybko i nawet zdobyła się na śmiech:

- Czemuż miałabym być smutna?

Spojrzał na nią badawczo:

- Przychodzą niekiedy nastroje bez widocznej przyczyny i wtedy bywamy smutni. Czy

nigdy nie doświadczyłaś tego?

Oddychała ciężko i niespokojnie, a ręce jej spoczywały w jego dłoniach, niby schwytane ptaki.

- Zapewne i ja miewam takie nastroje. Lecz teraz byłam po prostu roztagoniona, gdyż... gdyż... niepokoi mnie, czy moja krawcowa ukończy mi na czas podróżny kostium.

Ginter puścił szybko jej ręce, a gorzko-ironiczny uśmiech zaigrał na jego ustach:

- Ach, tak... Więc takie troski zakłócają ci spokój - rzekł z lekkim szyderstwem.

Dagmara byłaby chętnie wybuchła głośnym płaczem. Nie, nie takie troski zakłócały jej spokój! Przytłaczał ją ciężki smutek, gdyż czuła, że między nią a Ginterem wznosi się wielki, gruby mur, który nie ustąpi nigdy. I wiedziała również, że przez tę komedię, którą odgrywa wobec niego, oddała się odeń coraz bardziej i musi uchodzić w jego oczach za zimną, bezduszną istotę.

Czy z jej strony nie było to szaleństwem, ostrzem, wymierzonym przeciw samej sobie? Czy uchybiłoby jej, gdyby czasem pozwoliła mu zajrzeć w prawdziwe życie swej duszy? Miłość swoją ukryje zawsze dumnie, ale na pewno nie uczyniło by jej ujmy, gdyby mu zdradziła, że nie jest bezduszną lalką. Najchętniej cofnęłaby teraz niedorzeczne słowa o krawcowej, lecz nie wiedziała, jak to zrobić.

Zebrawszy się na odwagę powiedziała nagle:

- Nie, mówiłam nieprawdę, nie myślałam o krawcowej, ale nie chciałam ci wyjawić, że na myśl o dniu ślubu naszego przejęło mnie wielkie wahanie.

Ginter spojrział na nią, jakby nie wierząc swym oczom. Ogarnęło go jakby wzruszenie. Szybko ujął znów jej rękę łagodnym, rycerskim gestem:

- Przebacz, Dagmaro, nie powinienem był cię pytać, a tym bardziej uwierzyć, że ten błahy powód wywołał taki wyraz smutku na twojej twarzy. Nie chciałem brutalnie wtargnąć w twoje myśli. Powiedziałaś mi, że przejęło cię wahanie na myśl o naszym małżeństwie. Mam nadzieję, że nie będziesz żałowała, kochana Dagmaro, iż bez miłości oddajesz swój los w moje ręce.

Słowa te poruszyły głębię jej duszy. Z trudem udało jej się odzyskać równowagę. Potrząsnęła głową:

- Nie, bądź spokojny, nie pożałuję nigdy swojej zgody. Ufam, że i ty nie pożałujesz swego wyboru.

Ginter wpatrzył się w nią głęboko. Nie uszło jego uwagi, że Dagmara, wyprowadzona ze swej chłodnej równowagi, starała się teraz odzyskać zimną krew.

- Kochana Dagmaro, mężczyźni łatwo stworzyć sobie swój świat. Posiada zawód,

pracę. Dla niego, choćby nawet silnie, głęboko odczuwał, miłość nie stanowi owej treści życia, jaką stanowi dla kobiety. Dla niej życie bez miłości, to życie bez słońca. Proszę, wyznaj mi szczerze, czy w ostatnich czasach nie miałas podobnych wątpliwości. Jeszcze nic straconego, jeszcze możesz się cofnąć. Nigdy nie chciałbym trzymać cię wbrew twej woli przy sobie.

Dagmara miała oczy spuszczone, lecz hrabia widział, że się waha i toczy walkę ze sobą.

Po chwili jednak potrzęsnęła stanowczo głową.

- Nie, nie zważaj na moje niedorzeczne nastroje, to po prostu nerwy. Masz moje słowo i wiem, że go dotrzymam.

Ginter przycisnął jej rękę do ust:

- Twoja wola, Dagmaro. Ale jedno musisz mi przyrzec. Gdyby kiedykolwiek zaciążyło ci życie ze mną, przyjdź do mnie i wyznaj mi to szczerze i uczciwie. Czy mi to przyrzekasz?

Spojrzała mu w oczy. W tej chwili nie mogła i nie chciała zachować chłodnego wyrazu, spojrzała nań wielkimi oczyma, promieniującymi wewnętrznym ciepłem, a on zdumiony chłonął ich urok. Stłumionym głosem odpowiedziała:

- Bądź pewien, że wówczas z zaufaniem zwrócę się do ciebie. Wiem, że w każdej potrzebie życia mogę ci bezwzględnie zaufać.

Hrabia czuł lekkie drgnienie jej rąk w swoich. Podniósł do ust biedne, drżące dłonie:

- Dziękuję ci, Dagmaro, teraz jestem spokojny - powiedział stanowczo i ciepło.

W tej chwili baronowa Steinberg weszła znowu do pokoju; Ginter puścił rękę Dagmary i cofnął się o parę kroków. Dagmara odwróciła się do okna.

Widząc, że narzeczeni zmieszani odstąpili od siebie, baronowa pomyślała w duchu:

- Dzięki Bogu, chociaż raz widzę u tej zbyt poprawnej pary coś, co przypomina czułość.

Zaraz potem wszedł radca i baronowa kazała podać herbatę. Była to właśnie pora podwieczorku i radca, aby dotrzymać towarzystwa zięciowi, uwolnił się od zajęć. Cztery osoby siedziały więc przy herbatce, w swobodnej pogawędce. Ginter prawie nie spuszczał oka z Dagmary. Zadała mu dziś zagadkę. Po raz pierwszy ujrzał w jej oczach duszę i pomyślał, że może ta chłodna powściągliwość jest raczej nabytkiem wychowania, aniżeli brakiem serca.

Wprawdzie Dagmara odzyskała teraz spokojny nieledwie apatyczny wyraz, ale w nim tkwiła jednak iskra nadziei, że jego narzeczona nie jest tak do głębi serca zimna, jak na to,

wyglądała początkowo.

Nie zdawał sobie sprawy, na czym opiera tę ufność. W każdym razie odkąd, choć przelotnie, uchwycił tę zmianę w Dagmarze, dała mu dużo do myślenia. Nie wchodził już w to małżeństwo z zupełną obojętnością. Poza tym piękność Dagmary nie pozostała bez wpływu na jego uczucia.

Przyłapał się na życzeniu, by jak drugi Pigmalion, zdołał wlać życie w tę piękną Galateę. Skoro zdał sobie sprawę, potrząsnął tylko głową nad własną słabością, sądząc, że ma ona źródło w domysłach.

- Ostatecznie jestem mężczyzną i mam czerwoną krew w żyłach - pomyślał, jakby chcąc uniewinnić się przed sobą.

ROZDZIAŁ XII

Ślub Dagmary Ruthart wzbudził w szerokich kołach znaczne zainteresowanie. Odbył się z wielką wystawnością. Liczni goście z wysokiej finansjery i arystokracji wzięli udział w uroczystości. W dzień przed ślubem, zanim pojeżdżali się inni goście, Dagmara z Kasią ucięły sobie godzinkę swobodnej pogawędki. Dagmara prosiła Kasię jeszcze raz, by wierna przyrzeczeniu, ani słowem nie poruszyła niczego, co mogło jej narzeczonemu przypomnieć dawne czasy. Naturalnie Kasia powtórzyła swe przyrzeczenie.

Zarazem opowiedziała Dagmarze, jak sama powiadomiła Lizę Rothberg, że jej dawny narzeczony, obecny hrabia Taxenburg, żeni się z Dagmarą. Liza zdawała się być mocno rozdrażniona, lecz nadrabiała miną, twierdząc, że ją to nic nie obchodzi.

- I pomyśl, moja droga, Liza ma się zaręczyć z dawnym urzędnikiem swego ojca, który objął po nim fabrykę. Zatem dała już za wygraną i nie liczy na świetną partię - paplała dalej Kasia w swój zwykły, żywy sposób.

Dagmara patrzyła przed siebie. Jak godna zazdrości zdawała jej się Liza dawniej, jako narzeczona Gintera. I rzeczywiście, była godną zazdrości, ponieważ ją kochał. Lekkomyślną płochością zniweczyła swe szczęście i trudno jej nawet współczuć.

Kasia niedługo zatrzymała się nad tym tematem. O wielu innych rzeczach chciała pomówić jeszcze z Dagmarą, a czas był skąpo obliczony. W każdym razie Dagmara była uspokojona. Nikt nie mógł zdradzić przed Ginterem, że znała go z berndorfskich czasów, że już wówczas wiedziała o jego narzeczeństwie, o zawodzie w miłości, pojedynku i więzieniu.

Więc też nie mógł powziąć podejrzania, że jest Bezimienną.

Wszystko więc szło po jej myśli. Hrabia Ginter przywitał się bardzo uprzejmie z państwem Berndorf i Kasią, przedstawił się panu von Roschwitz, i nikt nie wspomniał dawnych czasów. Para narzeczonych nie mogła poświęcić się wybranym gościom, należało bowiem zająć się wszystkimi.

W kościele i przed bramą tłoczyli się ciekawi, pragnąc zobaczyć coś niecoś ze wspaniałej uroczystości.

Łatwo było odgadnąć, że w kołach finansowych Klaus Ruthart wiódł prym. Postać jego sprawiała imponujące wrażenie. Oblicze, zazwyczaj ostre i zimne, którego wyraz zdradzał silne i niezłomne dążenie do wytkniętego celu, dzisiaj promieniło błogim przeświadczeniem, że oto już go osiągnął. Jego córka zwała się hrabiną Taxemburg, była panią zamku tego nazwiska z przyległymi włościami.

To, że Ginter był tylko naturalnym synem hrabiego Herberta Taxemburga, nie psuło mu wcale humoru, owszem, był zadowolony, że w żyłach jego zięcia płynie zdrowa, mieszczańska krew. Rząd południowego państewka, w którym leżały dobra Taxemburgów, widział chętnym okiem, że klucz Taxemburg objął dobrze uposażony właściciel, którego pieniądze zasila miejscową ludność.

Dwór wysłał swego przedstawiciela na ślub. Był nim książę Ludwik, popularny z powodu swych demokratycznych przekonań. Hrabia Ginter znał go osobiście. Książę Ludwik oddawał się poważnie studiom botanicznym i na uniwersytecie zawarł znajomość z Ginterem.

Zasłyszał później o jego podróżach naukowych i przeczytał jego dzieło. W rezultacie zaprosił Gintera na kilka dni do siebie. Książę Ludwik posiadał myśliwski zameczek, gdzie mógł żyć swobodnie, nie krępowany dworską etykietą. Hr. Taxemburg przyjął to zaproszenie, ceniąc młodego księcia jako sympatycznego, rozumnego człowieka, podczas odwiedzin zaś obaj młodzi ludzie znaleźli wiele punktów stycznych i zbliżyli się bardzo.

Korespondowali ze sobą, wymieniając jednak tylko poglądy naukowe. Na prośbę księcia Ludwika poruczono mu misję reprezentowania dworu na ślubie. Klaus Ruthart uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc, jak przychylnie traktuje książę jego zięcia. Imponowało mu, że Ginter rozmawia z księciem uprzejmie, lecz bez uniżoności. „To dżentelmen w całym tego słowa znaczeniu” - myślał z zadowoleniem o zięciu. - „Dagmara może być szczęśliwa z wyboru, jaki uczyniłem dla niej”.

Po ślubie książę Ludwik zwrócił się z życzeniami do nowożeńców. Do Dagmary rzekł:

- Zamieszka pani w najpiękniejszym zamku południowych Niemiec, rad bym, hrabino,

zobaczyć go po odnowieniu.

Dagmara spojrzała na niego swobodnie. Jego słoneczne, wesołe usposobienie wydało jej się sympatyczne.

- Szczerze by nas cieszyło, gdyby wasza wysokość zechciał zaszczyścić swymi odwiedzinami nasz zamek.

Książę z uśmiechem spojrzał na Gintera:

- I cóż pan mówi na miłe zaproszenie swej pani? Czy zgadza się z pańskim życzeniem, kochany hrabio?

Ginter skłonił głowę.

- O tym nie potrzebuję waszej wysokości zapewniać.

Książę Ludwik zwrócił się znów do Dagmary:

- A więc, mam pani słowo, hrabino. Przy sposobności zawitam do zamku Taxemburg, lecz jako zwykły prywatny gość, bez wszelkiej etykiety, proszę o to bardzo. Jeśli państwo chcecie, bym się czuł u was swobodnie, powinniście zapomnieć, że przypadek zdarzył, iż zwę się księciem Ludwikiem. Powietrza dworskiego mam aż za wiele na moje upodobania.

- Książę będzie zadowolony, bowiem zależy nam na tym, aby nasi goście czuli się u nas dobrze.

- Brawo, z góry cieszę się na myśl o odwiedzinach u państwa! Z mężem pani spędzałem zawsze miłe chwile, obecność pani doda im jeszcze uroku. Obcować z ludźmi jak zwykły śmiertelnik, jakaż to ulga dla księcia, który tak rzadko żyje prywatnym życiem!

Jeszcze chwilę rozmawiał tak z młodą parą, przy czym wzrok jego spoczywał z podziwem na uroczej twarzyczce Dagmary. Ślubna biel podniosła miedziany połysk jej włosów i świeżość cery, delikatny niby kwiat wiośniany. Szczególnie zaś podobały mu się oczy, patrzące tak promiennie i jasno spod ciemnego łuku brwi i długich rzęs. Niezwykłość urody Dagmary od razu wzbudziła jego podziw.

Później, gdy książę Ludwik znalazł się sam na sam z Ginterem, powiedział mu:

- Hrabina Taxemburg będzie jednym z najpiękniejszych zjawisk na naszym dworze. Mam nadzieję, że tej zimy pojawicie się państwo u nas w rezydencji?

Hr. Ginter spojrzał na niego badawczo.

- Czy wasza wysokość sądzi, że doprawdy na książęcym dworze liczą się z naszą bytnością?

Książę Ludwik złożył rękę na jego ramieniu.

- Nie sądzę, lecz na pewno wiem o tym. Czyżby pan w to wątpił?

- Wątpilem, ponieważ od niedawna mam prawo do nazwiska hrabiego Taxemburga, a

moja żona pochodzi z mieszczańskiej rodziny.

Księżę uczynił przeczący gest:

- Kochany hrabio, wszak u nas nie ma takiej etykiety, jak tu, w Berlinie, na cesarskim dworze. My cieszymy się, gdy w naszej drzemiącej rezydencji pojawią się zajmujący ludzie. A choć i u nas pani etykieta niekiedy zbyt władczo potrząsa berłem, jednak jesteśmy ludźmi, nie wyłączając tych na tronie. Dla mnie osoba pańska jako hrabiego Taxemburga nie ma większej wartości, niż przedtem, jako doktora Friesena. Mój stryj, książę panujący, polecił mi wpłynąć na pana prywatnie, hrabio, abyście państwo nie trzymali się z dala od dworu. Czy to panu wystarczy?

- Wystarczy mi, wasza wysokość. W zimie wybierzemy się więc do rezydencji, ponieważ mojemu teściowi zależy, by jego córka była przedstawiona na dworze.

Księcia zajął niebawem ktoś inny. Korzystając z tego, Klaus Ruthart przystąpił do zięcia.

- I cóż, Ginterze, książę rozmawiał z tobą długo i bardzo przyjaźnie! - stwierdził z zadowoleniem.

- Owszem, jak mi powiedział, spodziewają się nas w rezydencji, że w zimie będziemy przedstawieni na książęcym dworze. Będzie wypadało pojechać.

Radca skwapliwie skinął głową:

- Naturalnie, musicie to uczynić.

Dagmara zbliżyła się do nich:

- Książę Ludwik jest bardzo sympatycznym człowiekiem, pomijając, że jest księciem - rzekła, spoglądając na męża.

Ginter uśmiechnął się.

- O tak, nie obnosi się ze swą książęcą godnością i jest prawdziwie wartościowym człowiekiem.

- Cieszy mnie to bardzo, że nas odwiedzi w Taxemburgu - odpowiedziała Dagmara z błyszczącymi oczyma. Zauważyła jak wysoko ceni książę jej męża i to zwiększyło sympatię, jaką i tak czuła do niego.

- Czy zapowiedział wam swe odwiedziny? - zapytał Klaus Ruthart.

- Tak, ojcze.

- To dobrze. Postarajcie się przyjąć go jak najlepiej.

Ginter zwrócił się do żony:

- Książę Ludwik powiedział mi właśnie, że w zimie spodziewają się nas w rezydencji. Będziemy więc zmuszeni wziąć udział w karnawale dworskim.

Zadumanymi oczyma powiodła Dagmara po gościach, myśląc w duchu, jak czczą i pustą rzeczą jest taka uroczysta pompa. Najchętniej zamieszkiwałaby Taxemburgu w ciszy i odosobnieniu. Nie lubiła wystawnych przyjęć, może dlatego, że zbyt często bywała do nich zmuszana.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ojciec uprzedził ją:

- Dlaczego nie miałyby to Dagmarze dogadzać?
- Naturalnie, że mi to odpowiada - rzekła Dagmara szybko.

Hrabia Ginter sądził, że nęcą ją dworskie świetności. Może tylko dlatego wyszła za niego, by uzyskać wstęp na dwór książęcy. Przerwano im rozmowę. Goście weselni otoczyli ich zewsząd. Młoda para nie miała sposobności zamienić kilku słów ze sobą, aż nadszedł czas pożegnania.

Dagmara nie życzyła sobie podróży poślubnej. Poprosiła zatem, aby zaraz po ślubie udali się do Taxemburgu. Życzenie jej zostało chętnie spełnione. W jednym z pokoiów hotelu, w którym odbyło się przyjęcie weselne, Dagmara przebrała się do podróży. Pokojówka przygotowała jej wszystko, a teraz w pośpiechu wkładała jeszcze suknię ślubną do kufra, by razem z bagażem zdążyć z młodą parą na pociąg. Kamerdyner hrabiego Gintera - (twierdząc, że jest nieodzowny, radca zgodził go dla swego zięcia) - czekał już u wyjścia przy kufrach na pokojówkę, by razem wybrać się na dworzec. Gdy Dagmara, gotowa już do drogi, opuściła swój pokój i schodziła na dół, Ginter wyszedł naprzeciw niej. Cekał na nią w sieni.

Uprzejmie podał jej ramię i zaprowadził do auta. Pomógł jej wsiąść i zajął miejsce obok niej. W drodze podniósł jej rękę do ust.

- Dziękuję ci, droga Dagmaro, że z zaufaniem idziesz ze mną w życie. Wierz mi, że gorąco pragnę, aby nasze małżeństwo ułożyło się szczęśliwie i harmonijnie, chociaż nie skojarzyła nas miłość. W każdym razie, proszę, uważaj mnie za swego najlepszego przyjaciela, dla którego twoje szczęście jest cennym, powierzonym mi dobrem.

Dagmara pozostawiła swą rękę w jego dłoni. Przez rękawiczkę czuł jej chłód. Oparła się o poduszki pojazdu i trwała tak ze spuszczonej powiekami. Nie chciała, by teraz spojrział jej w oczy, w których, może zbyt wyraźnie - płonęła tęsknota za jego miłością.

- Chociaż nie skojarzyła nas miłość...

Tak powiedział.

I ona musiała na to milczeć, nie mogąc przecież odpowiedzieć:

- Mylisz się, tylko miłość połączyła mnie z tobą i cierpię niewymownie, że nie możesz mnie pokochać.

Milczała przez chwilę, zanim zdążyła stłumić rosnące wzburzenie i zdobyć się na

odpowiedź bezdźwięcznym głosem:

- Dziękuję ci, będę zawsze pamiętała, że jesteś najlepszym moim przyjacielem. I ja wierzę, iż nasze małżeństwo będzie harmonijne, ponieważ jest oparte na wzajemnym szacunku.

Gdyby nie to, że obawa zdradzenia się przed nim, nadała jej głosowi twarde brzmienie, może zadowoliliby go ta odpowiedź. Wyczuł w niej jednak tylko jej zimną nieprzystępność. Mimo to nie mógł mieć do niej żalu.

Obawia się widocznie tego kroku w zupełnie nowe życie, może znów opanowała ją wątpliwość, jak przedwczoraj i nie chce się z tym zdradzać. Muszę się obchodzić z nią bardzo delikatnie, zdaje mi się bowiem, że w swym niedoświadczeniu nie wie, jakie obowiązki wzięła na swe barki. Trzeba będzie uzbroić się w cierpliwość.

Aby jej ułatwić drażliwą sytuację, rozpoczął z nią swobodną rozmowę.

ROZDZIAŁ XIII

Od kilku miesięcy przebywała już Dagmara na zamku jako jego pani. W owych czasach bywała znacznie częściej samotna, niż kiedykolwiek w życiu.

Ginter wyczuwając jej chłód i oziębłość oddał się całą duszą pracy. Późnym latem i jesienią gospodarstwo bardzo go absorbowało. Przebywał wiele na polu i w lesie. Lecz gdy pierwsze śniegi spadły, powrócił do swej pracy naukowej. Na razie mało gości zjawiało się na zamku Taxenburg. Nie chciano przeszkadzać młodej parze w domniemanych miodowych miesiącach. Dagmara okazywała mężowi chłodną, zdawkową przychylność, on zaś odpłacił jej tym samym. Chociaż niekiedy czuł dla niej przyływ ciepła, nie okazywał jej tego, nie chcąc się narzucać.

Lecz stała się rzecz dziwna: im dłużej z nią współżył, tym bardziej ciążyła mu jej obojętność. Działała mu na nerwy. Nieraz miewał ochotę potrząsnąć nią, wyrwać ją z tej bezdusznej bierności.

Skąd rodziła się w nim ta ochota, nad tym się nie zastanawiał. Zawsze powtarzał sobie, że posiadanie chłodnej żony, która nie może żądać od niego miłości, zgadza się z jego dawnym życzeniem. Mimo to jednak, zamknięta jej natura intrygowała go nieco. Coraz bardziej cierpiał, że nie może żyć z nią serdeczniej, lecz nie okazywał jej tego, ukrywając swe uczucia nawet przed samym sobą.

Dlatego też, o ile to możliwe, unikał jej obecności. Z zapamiętaniem zabrał się do pracy, sądząc, że nie narzucając jej swej obecności, spełnia jej życzenie.

Ten dziwny układ małżeński był dla Dagmary bardziej przykry niż przypuszczała. Coraz trudniej przychodziło jej nosić swą maskę i z obawy, by się nie zdradzić z uczuciem, była znacznie zimniejsza i bardziej nieprzystępna, niż wymagała jej rola. Przesadzając w tej roli, czuła ze strapieniem, że go sama odtrąca. Z dala od Gintera, serce jej rwało się do niego. Gdy wchodził do pokoju, cierpiała jeszcze bardziej, nie mogąc mu okazać jak bardzo go kocha. Przy tym z dnia na dzień stawała się urodziwsza. Piękność jej, coraz subtelniejsza, dojrzalsza, wprawiała w podziw Gintera, który nieraz wpatrywał się ukradkiem w swą piękną, młodą żonę.

Gdyby posiadała duszę, gdyby umiała tak przemawiać do mnie jak Bezimienna w swych listach, sądzę, że zdołałbym na nowo pobudzić do życia wyschłe źródła w moim sercu.

W dalszym ciągu obcowali ze sobą z poprawną uprzejmością. Stosowali się wzajemnie do swych życzeń, przemilczając najgłębsze utajone pragnienia.

Wkrótce zima otuliła zamek Taxenburg. Różnorodnie wieże przywdziały jednakże śnieżyste czapy, upodabniające ich kształty do fantastycznych figur. Z okien zamkowych rozciągał się wspaniały widok na zimowy krajobraz. Dagmara kazała zaprząć do sanek. Chciała wyjechać w las. Otulona kosztownym futrem schodziła szerokimi schodami, prowadzącymi do środkowej części zamku. W tejże chwili Ginter wychodził z biblioteki z jakąś książką. Patrzył na nią z podziwem.

- Chcesz wyjechać na spacer, Dagmaro? - zapytał.

Zaróżowiła się lekko pod jego spojrzeniem.

- Zachciało mi się przejechać sanną. Cudownie musi wyglądać las pod śniegiem.

Ginter rzucił okiem na otwartą bramę.

- Masz słuszność, musi tam być prześlicznie. Gdybym wiedział o twoim projekcie, chętnie pojechałbym z tobą.

Dagmara zawahała się chwilę, potem rzekła niepewnie:

- Myślałam, że cię wstrzymuje praca, inaczej byłabym ci zaproponowała tę przejażdżkę. Ale jeżeli chcesz dotrzymać mi towarzystwa, czas jeszcze.

- Chciałabyś na mnie poczekać? Musiałbym się przebrać.

- To przecież nie potrwa długo.

- Nie, najwyżej z pięć minut.

- Chętnie poczekam.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Lecz w takim razie powinnaś zdjąć futro, by potem nie zmarznąć na dworze.

- Zapewne, tak będzie najlepiej.

Pomógł jej zdjąć futro.

- Będę gotów za kilka minut, Dagmaro!

Z tymi słowami Ginter szybkim krokiem podążył schodami na górę.

Patrzyła za nim. Wezbrała w niej gorąca fala radości. Jechać z nim, ramię w ramię, w cudny, zimowy świat, ach było to jednak szczęście, mimo, że jej nie kocha!

Osunęła się na jedno z krzeseł, ustawionych w hallu, przy kominku, wokół ciężkiego stołu dębowego. Miłe ciepło panowało w hallu. Nowo zaprowadzone centralne ogrzewanie funkcjonowało bez zarzutu.

Miękki, ciepły nastrój opanował Dagmarę. Czekwała na męża z przymkniętymi oczami. Marzyła o tym, jak bardzo mogłaby być szczęśliwa, gdyby Ginter z miłości pojął ją za żonę.

Gdy gotowy do drogi Ginter schodził po schodach, ujrzał ją siedzącą w tej zadumie. Ujrzał i stanął jak wryty. Wydała mu się obca z tą dziwną rzewnością wyrazu. Była to inna kobieta niż ta, którą znał.

Nie słyszała go. Puszyste dywany tłumili jego kroki. Na jej widok stał chwilę bez ruchu.

O kim może myśleć wówczas, gdy tak wygląda? - pomyślał i niepokój targnął jego sercem.

Konie niecierpliwiły się w zaprzęgu, a dzwonki przy szorach dzwoniły srebrzyście. Dagmara podniosła oczy, błyszczące jeszcze tęsknym, gorącym płomieniem. Nie widziała Gintera. Wpatrzył się w nią, jak w zjawę. Dla kogo to rozmarzone spojrzenie? Gdzie wędrowały jej myśli? Czy jednak żyła w niej dusza, tylko nie dla niego?

W rozdrażnieniu zbiegł po kilka schodów naraz, jakby co prędzej rozwiąć chciał zagadkę, która mu się objawiła.

Dagmara wzdrygnęła się lekko i skierowała na niego wzrok. Tak bardzo nawykła do panowania nad sobą, że zaraz potrafiła ukazać mu zwykły wyraz twarzy. Spokojnie spojrzała mu w oczy.

- Jesteś już gotów?

- Czy nie za długo musiałaś na mnie czekać? - wyjąkał Ginter.

- Nie, wcale nie.

Zarzucił znów futro na jej ramiona.

- Łudziłem się pewnie. To moje życzenia wyczarowały fantastyczny obraz. Jestem

szalony - zżymał się w duchu na siebie.

Podał jej ramię i poprowadził do sanek. Otulił jej kolana, sprawdził czy nogom ciepło w futrze, potem usiadł obok niej.

Zaraz sanki śmignęły szeroką drogą po zboczu góry zamkowej.

Jazda była wspaniała. Milczeli przez chwilę, snując swoje myśli. Lecz gdy wjechali w las, jedno z drzew - olbrzymów, niby w psotnej igraszce strąciło na nich z gałęzi cały ładunek śniegu osypując ich białym puchem. Rozbawieni zbudzili się z zadumy i wzajemnie otrzepali się ze śniegu.

To małe zdarzenie wypogodziło ich czoła. Ginter opowiadał, jak bardzo tęsknił w gorących strefach za taką śnieżną zimą, ona zaś narzekała na zimę w Berlinie, gdzie śnieg widuje się tylko w brudnych zwałach po skrajach ulic. Rozmawiali z ożywieniem, lecz on spod oka wciąż patrzył w jej twarz, zaróżowioną od zimna, jakby śledząc badawczo, czy nie dostrzeże tego rozmarzonego wyrazu, jaki uderzył go w hallu.

A może mylił się wówczas? Czy padł ofiarą złudzenia? Czy w ogóle Dagmara była zdolna do głębszego odczuwania? Może kochała innego? Ta myśl jak błyskawica przeszła mu mózg.

Czy to było możliwe? Więc wówczas, gdy tak marzyła z przymkniętymi oczami, myślała o tym innym? Może istotnie na życzenie ojca zdecydowała się dać mu słowo, choć serce jej nie było już wolne?

Owładnął nim niepokój. Myślał o drobnych starciach między nią a ojcem, których kilka razy był świadkiem i które doprowadziły go do wniosku, że wobec żelaznej woli ojca, Dagmara była zupełnie bezbronna.

Szarpała nim niepewność.

Może Dagmara jedynie pod naciskiem zgodziła się zostać jego żoną, podczas gdy serce jej należało do innego? Może dlatego była tak nieprzystępna i chłodna? Ta myśl owładnęła nim tak silnie, że zamilkł. Dagmara czuła, że jego wesoły nastrój prysnął i również nie odzywała się ani słowem.

Najchętniej byłby od razu zapytał żony, czy myśl, która w nim zaświtała, miała realne podstawy. Lecz woźnica siedział na koźle i mimo futrzanego kołnierza, sięgającego mu poza uszy, mógł coś usłyszeć.

Więc Ginter milczał.

Lecz gdy po przejeździe sanna powrócili do domu, rzekł niepewnym głosem:

- Chciałbym zadać ci pytanie, Dagmaro. Czy odpowiesz mi na nie?

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem:

- Jeśli będę mogła, na pewno ci odpowiem. O co chodzi?

Wzrok jego wpił się ostro i stanowczo w jej oczy.

- Chciałem cię zapytać, czy twój ojciec zmusił cię do przyjęcia mych oświadczeń.

Nagły rumieniec zabarwił jej twarz. Spuściła oczy.

- Zmusił? Jak to rozumiesz Ginterze? - zapytała niepewnie.

- Tak, jak mówię. Czy z własnej woli zostałeś moją żoną, czy też ojciec cię zmusił?

Zacisnęła dłonie:

- Zmusił? Nie, ojciec mnie nie zmusił, lecz w razie mego sprzeciwu, nie pozostawiłby mi innego wyboru.

Hrabia zerwał się.

- Więc jednak był to przymus! - krzyknął głosem ochryplym ze zdenerwowania.

- Więc ulegając naciskowi ojca, zostałeś moją żoną?

Ręka jej zadrżała w jego dłoni, a twarz pod jego badawczym spojrzeniem przeszła z czerwieni w błądź.

- Nie, nie kochałam innego - odrzekła stłumionym głosem wysuwając z jego uścisku rękę, by się nie zdradzić jej drżeniem.

Nie spuszczał z niej oka. Nie był zupełnie przekonany. Odetchnął ciężko i odsunął się.

- Wybacz, że stawiam ci to pytanie, Dagmaro. Ale schodząc dzisiaj do hallu, zauważyłem na twojej twarzy wyraz tęsknego marzenia, którego nigdy jeszcze nie widziałem u ciebie. I wówczas ogarnęła mnie wątpliwość, obawa, że serce twoje należy do innego. To tłumaczyłoby mi twoją oziębłość dla mnie. Myślałem, że gdy zostałeś sama, marzyłeś z tęsknotą o innym. Zapewniasz, że tak nie jest, a nie mam powodu wątpić w twą prawdomówność. Lecz przy tej sposobności chcę jeszcze raz prosić cię najgoręcej, abyś mnie zawsze uważała za swego najlepszego, najbardziej oddanego przyjaciela. Przez pewien czas przypuszczałem, że jesteś bez serca. Teraz już w to nie wierzę. Ale serce może się zbudzić, więc proszę cię, zwróć się wówczas do mnie i powiedz mi to szczerze, a przyjdę ci z pomocą, byś mogła iść za jego głosem bez winy i grzechu.

- Jesteś szlachetny i dobry, wiem o tym i dziękuję ci Ginterze.

Hrabia podniósł rękę do czoła i ciężko usiadł na fotelu.

- Słuchaj, kobieta, którą kochałem, zdradziła mnie kiedyś, choć przede mną udawała miłość. Wynikło stąd nieszczęście, a przecież gdyby mi otwarcie wyznała, że kocha innego, można było uniknąć katastrofy. Ty mnie nie kochasz, nasze małżeństwo zostało zawarte bez miłości. Więc też dla ciebie może nadejść chwila, że serce się zbudzi. Nikt temu nie przeszkodzi. Lecz wówczas, błagam cię, przyjdź do mnie, wyznaj mi to otwarcie i szczerze,

by uniknąć nowego nieszczęścia. Przyrzeknij mi, że tak uczynisz, Dagmaro.

Spojrzała nań i podała mu rękę.

- Przyrzekam ci to, Ginterze. Bądź spokojny, honor twego nazwiska, to skarb powierzony mi, uszanuję go. Nawet myślą cię nie zdradzę. Gdyby rzeczywiście serce moje zwróciło się do innego - z moją wiedzą - to wówczas przyjdę z ufnością do ciebie. Możesz być o to spokojny.

Ucałował jej rękę z tak gorącym oddaniem, jak dotąd nigdy jeszcze. Poważnie i wnikliwie wpatrzył się w jej oczy.

I po raz pierwszy zaświtała w jej duszy słaba, nikła nadzieja, że jednak istnieje możliwość, iż serce jego zwróci się do niej z czasem.

Lecz szybko odtrąciła tę kruchą, wątłą nadzieję, lękając się rozczarowania. Przez chwilę siedzieli obok siebie w milczeniu.

Potem Ginter wstał.

- Jeśli pozwolisz, pójdę teraz do siebie. Mam jeszcze wiele pracy.

- O, proszę cię, nie przeszkadzaj sobie - odparła Dagmara, już spokojna i opanowana.

- A co ty będziesz robić? Czy nie czujesz się bardzo samotna w Taxemburgu po tak ożywionym życiu towarzyskim, jakie prowadziłaś w Berlinie? - zapytał.

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

- Dotychczas nie czuję żadnych braków. Miły mi jest ten spokój po wirze towarzyskim Berlina.

- Masz dosyć ciekawych książek?

- O tak, sprowadzam, co mi potrzeba. A ty? Twoja książka postępuje naprzód?

- Owszem, teraz w zimie mam dość czasu. Część rękopisu odsyłam już w tych dniach do przepisania na maszynie.

Dagmara spojrzała nań żywo:

- Czy to nie ryzyko powierzać poczcie tak cenny rękopis?

- Naturalnie, że niechętnie wypuszczam go z rąk. Ale musi być przepisany, zanim pójdzie do druku.

- Czy nie powierzyłbyś mi go do przepisania? - zapytała nagle Dagmara.

Ginter spojrzał na nią zdziwiony.

- Ty, chciałabyś... nie, to nie może być!

- Owszem, uczyniłoby mi to prawdziwą przyjemność. Mam dość wolnego czasu, a piszę starannie i biegle.

Wciąż patrzył na nią zdziwiony.

- O tym jestem przekonany, przecież bardzo dobrze piszesz na maszynie. Lecz trudno, byś się obarczała taką pracą.

- Przecież nie ty mnie obarczasz, ja sama biorę ją na siebie - odpowiedziała z uśmiechem.

Ginter nie mógł się zdecydować.

- Sprzykrzy ci się niedługo, to nudna robota.

- O... nie dla mnie.

- I łacińskie nazwy sprawią ci pewną trudność.

- Wątpię, a zresztą mam cię pod ręką i w razie potrzeby udzielisz mi objaśnień. Zostaw mi to, proszę cię. Praca ta zajmie mi niejedną, dłużącą się godzinę. Wiesz przecież, jak mnie interesuje twa praca. Czy obawiasz się może, że nie podołam twym wymaganiom?

Ginter z uśmiechem potrząsnął głową:

- Nie, nie o to idzie, lecz możesz się przemęczyć.

- Nie wierzysz, że zajęcie się raz przecież czymś tak bardzo pożytecznym, sprawi mi przyjemność?

- Przecież tutaj kierujesz dużym gospodarstwem domowym.

- A czy i ty nie masz wiele zajęcia poza swoją pracą naukową? Daj mi to zadowolenie, że spędzę czas pożytecznie.

Hrabia patrzył na nią przez chwilę, potem podał jej rękę:

- Więc dobrze! Aż zbyt chętnie daję ci moje zezwolenie. Z zastrzeżeniem jednak, że mi otwarcie powiesz, jeśli to zajęcie wyda ci się za ciężkie.

Dagmara z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Wątpię, abym to kiedyś powiedziała! Proszę, daj mi zaraz część twego rękopisu, a zacznę od dzisiaj.

- Niechże zatem tak będzie, przyniosę ci go zaraz.

Oddalił się pośpiesznie, by za parę minut powrócić z częścią rękopisu. Z uśmiechem odebrała go z jego rąk.

Dał jej wskazówki, jak ma przepisywać rękopis. Przysłuchiwała się uważnie.

Potem pożegnał ją serdecznym ucałowaniem ręki.

Gdy Dagmara została sama, przycisnęła rękopis do piersi.

W ten sposób choć w pewnej mierze biorę udział w jego twórczości - rzekła w cichej zadumie.

I zaraz przeszła do siebie, by zabrać się do pracy.

ROZDZIAŁ XIV

Następnego poranka w korespondencji z poczty znalazł się list od ojca Dagmary. Zapraszał się na polowanie z kilku przyjaciółmi, zapowiadając na pojutrze przyjazd do Taxemburgu. Zamierzał zabawić na zamku dwa tygodnie i spędzić tam święta Bożego Narodzenia.

Dagmarze przybyło zajęć gospodarskich, mimo to pozostało jeszcze dość czasu na przepisywanie rękopisu.

Przed przybyciem ojca, podając mężowi pierwsze strony maszynopisu, zapytała go niby pilna uczennica:

- Czy dobrze napisałam?

Ginter przejrzał starannie przepisane strony:

- Doskonale, lecz byłaś nadzwyczajnie pilna, Dagmaro, wkrótce mnie dogonisz.

- To owoc pierwszego zapalu. Chciałam ci dać dowód, że poważnie traktowałam swą propozycję.

Złożył na jej ręce długi, serdeczny pocałunek:

- Jestem ci bardzo wdzięczny. Niepokoila mnie myśl o oddaniu rękopisu z domu.

Radca przybył punktualnie. Zarezerwował sobie na zamku kilka pokoi na czas swych odwiedzin. Mieściły się w przybudówce najbardziej odległej od środka. Południowe skrzydło, które zajmowała Dagmara i wschodnie Gintera tworzyły ze środkową częścią całość, łącząc się w głównym hallu. Poza tym było zachodnie i wschodnie skrzydło, oba zaś łączyły się z trzonem budynku jedynie wiszącymi mostkami, a przez zamknięcie żelaznych drzwi mogły być oddzielone, tworząc odrębne bloki. Trzy przybudówki były przeznaczone dla gości, jedna zaś wyłącznie dla Klause Rutharta.

Gdyby w owym czasie młoda para pozostała dłużej sam na sam, ich wzajemny stosunek byłby się mógł zacieśnić. Dagmara bowiem straciła nieco ze swej dumnej powściągliwości. Lecz obecność gości pomogła jej odzyskać ją na nowo. Rzadko teraz bywała z mężem sama, gdyż wszystkie posiłki spożywali razem z gośćmi.

Zawsze jednak obcowali z sobą z przyjazną poufałością i niewtajemniczeni mogli odnieść wrażenie, że to szczęśliwe małżeństwo. Radca i jego przyjaciele czuli się bardzo dobrze w Taxemburgu. Kuchnia była wyśmienita, wina pierwszorzędne, a służba dobrze wyszkolona.

Radość przejmowała Rutharta na widok pięknej córki, krążącej po zamkowych

komnatach. Harmonizowała doskonale z tymi świetnymi ramami. Ojcowska duma rozpieiała jego pierś, gdy przyjaciele na wszystkie tony głosili pochwały Dagmary i podziwiali szlachetną postać jego zięcia.

Usilnie dopytywał się, czego może Dagmara pragnąć w podarku gwiazdkowym.

Dagmara potrząsnęła głową.

- Nie pozostawiłeś mi już pola do życzeń, ojcze.

- Więc jesteś zadowolona z losu?

Spojrzała mu w twarz dużymi, poważnymi oczyma i rzekła:

- Tak ojcze, jestem zadowolona.

Z uśmiechem przycisnął ją do siebie.

- No widzisz, przynajmniej teraz przekonałem Cię wreszcie, że uczyniłem dla ciebie dobry wybór.

- Byłam zawsze przekonana o tym.

Ojciec patrzył na nią badawczo. Było w niej coś niedopowiedzianego, czego nie umiał sobie wytłumaczyć. Lecz nie miał zwyczaju zastanawiać się długo nad psychę kobietą. Kobiety były dlań zawsze zabawką lub środkiem do celu, a z tego punktu widzenia również jego córka miała dla niego dużą wartość. Łączyła się z tym pewna duma posiadacza. Ponieważ Dagmara była piękna, dumna i zwała się hrabiną Taxemburg, była dlań klejnotem, który należało chronić, otaczać pieczołowitą opieką. A ten klejnot musiał mieć wspaniałą oprawę. Z zięcia był Klaus Ruthart również zadowolony. Jego arystokratyczna powierzchowność, obejście pełne dystynkcji, imponująca tężyzna, zjednywały mu nawet pewną przychylność radcy. I Ginter budził w nim dumę posiadacza, który chętnie widzi, jak mu przyjaciele zazdroszczą.

Dagmara w czarujący sposób czyniła honory domu i dbała o wygodę gości. Dla starszych panów była zawsze uprzejma i miła. Z uśmiechem pozwalała im prawić sobie grzeczności, odpowiadając na komplementy z wdziękiem i pewną żartobliwą przekorą, z którą jej było ślicznie. Gdy taki filuterny uśmiech pojawiał się na jej twarzy, mąż wpatrywał się w nią, nieświadomy całego świata.

Zresztą i on, jako pan domu, prezentował się z najlepszej strony, a przyjaciele radcy, opuszczając zamek po dwudniowym pobycie, twierdzili, że dni przeżyte w Taxemburgu zaliczają do najmiłszych.

Klaus Ruthart pozwolił sobie na zbytek, by w pogodnym nastroju przebyć u swych dzieci święta Bożego Narodzenia.

Był obecny przy uroczystym obdarowaniu przez Dagmarę jej licznych podwładnych, a

nawet na przyjęciu dzieci wiejskich drzewkiem Bożego Narodzenia w głównym hallu zamkowym. Roześmiany patrzył, jaki ten wiejski drobiazg, odświętnie ubrany i wymyty przez matki, wmaszerował do zamku i z otwartymi buziąmi pochłaniał wielkimi oczyma wspaniałości, które Dagmara zgromadziła dla swych małych gości.

Hrabia Ginter był również obecny i patrzył ze zdumieniem jak Dagmara umie ośmielić najbardziej nieufne dzieci. Wsłuchiwał się w jej głos, który miał ton tak serdeczny i tkliwy, gdy przemawiała do maleństw. Śmiała się i żartowała z nimi, wkładała cukierki i smakołyki do łakomych dzióbek. Miłego puciołowatego bębna z konopiastą czupryną, który jeszcze niepewnie trzymał się na nożętach, podniosła do góry, aby lepiej mógł zobaczyć różne cuda na drzewku.

Odzywała się do dzieci ich własnym językiem, porozumiewając się z nimi doskonale, więc też niezadługo spoufaleni malcy czepiali się jej sukni, różnymi życzeniami obsypując „panią hrabinę”.

- Chcę zobaczyć jeszcze raz, podnieś mnie, „pani hrabino” - prosił dzieciak z konopiastą czupryną. Więc Dagmara podniosła go jeszcze raz, pokazując pożądane cacko.

Matki stały nieco dalej, w przyzwoitej odległości z potulną dumą patrząc na swe pociechy. Hrabiego Gintera opanował tkliwy nastrój na widok żony, pieszczącej obce dzieci. Miał dziwne uczucie, że po raz pierwszy w życiu przeżywa prawdziwe święto Bożego Narodzenia.

Jakże mógł sądzić dawniej, że Dagmara, to dama światowa, próżna i bezduszna. Kto takim tonem umiał przemawiać do dzieci, nie mógł być bez serca i uczucia.

Tylko wobec mnie jest zimna i niewzruszona - pomyślał z boleśnie ściśniętym sercem.

Dlaczego tak jest?

Z westchnieniem sam sobie dał odpowiedź:

Gdyż ciebie nie kocha a małżeństwo zawarła - tak samo jak i ty - choć serce jej milczało.

Podszedł do niej i pogłaskał malca, którego trzymała na ręku:

- Nie za ciężko ci z nim, Dagmaro? - zapytał.

Z uśmiechem potrząsnęła głową, tuląc dziecko do siebie:

- Jakież to miłe stworzonko, takie małe bobo; o, widzisz, jak śmiesznie otwiera bużkę

- rzekła.

Radca uśmiechnął się znacząco. Układał sobie rozkoszną rolę dziadka, choć dotychczas nie było widoków na spełnienie tych planów. Cieszył się na myśl o wnukach, którymi go obdarzy córka.

Skoro dzieci odeszły wraz z matkami, obładowane wspaniałymi podarunkami, przyszła kolej na służbę. I ci zostali hojnie obdarowani.

Potem dopiero młoda para i ojciec pozostali sami przy drzewku. Klaus Ruthart przygotował kosztowne podarunki dla swych dzieci, dla Dagmary ponadto leżał pod drzewkiem śliczny diadem brylantowy.

- Będziesz go miała na dworskie występy. Kiedy zamierzacie wybrać się do rezydencji?

- Zaraz po Nowym Roku, ojcze. Książę Ludwik napisał niedawno do Gintera, dopominając się o nasz przyjazd na przyjęcie dworskie zaraz po Bożym Narodzeniu.

- Dobrze, bardzo dobrze. A cóż z wizytą księcia w Taxemburgu? Czy wspomniał o niej?

- Owszem, napisał i o tym. Lecz zamierza wstrzymać swe odwiedziny do marca, chce bowiem przy tej sposobności przekonać się naocznie, jak się udały moje próby z nasionami roślin tropikalnych - odpowiedział Ginter.

- Ach, prawda, te rzeczy zajmują go bardzo. Czy będziesz miał dobre wyniki?

- Spodziewam się, ojcze.

- To mnie cieszy. I naturalnie przyjmiecie księcia okazale.

Dagmara z uśmiechem potrząsnęła głową:

- Wymówił to sobie stanowczo. Nie chce oficjalnego przyjęcia. Chce żyć prywatnym życiem, nie krępowany etykietą.

Przez chwilę radca patrzył w zamyśleniu przed siebie. Ale zaraz przytaknął:

- No, dobrze, jego życzenie musi być uszanowane. A zresztą, dla was to zaszczyt, że książę Ludwik chce zabawić u was prywatnie i bez ceremonii. Pobyt księcia w waszym domu podniesie jego znaczenie.

Dagmara spojrzała na męża. Dziwny uśmiech ukazał się na jego ustach, który jej zdradził, że książę jako człowiek ma dla niego większą wartość, niż jako członek domu panującego.

- Możesz być spokojny, ojcze. Przyjmiemy księcia Ludwika w ten sposób, że odczuje, jak miłe są nam jego odwiedziny - odpowiedział Ginter. - Jest to jeden z owych nielicznych ludzi, w których mistrz ceremonii nie przytłumił uczuć. Jego wartość jako indywidualności wydaje mi się znacznie wyższa, aniżeli jako księcia.

Radca miał nieco szydrczy uśmiech.

- Tak, tak, kochany Ginterze, jesteś marzycielem, demokratą, a podobno książę Ludwik tak samo. Ja jednak zapatruję się na te rzeczy inaczej. Żyjemy w monarchicznym

państwie, musimy więc uznawać dwór z panującymi, którzy nadają ton w kraju. Może zmieni się to kiedyś. Czy tego dożyjemy - pytanie. Jednak dopóki mamy monarchów, stojących u szczytu, wszystkie oczy zwrócone są na nich. Najbardziej demokratyczny książę nie zmieni tego stanu rzeczy. Ani ty, Ginterze. Lecz to nie przeszkadza, że świetnie uzupełniamy się wzajem. Patrzę na świat trzeźwo, ze stanowiska interesu i rzadko pozwalam sobie na zbytek słuchania głosu uczucia.

Ginter skłonił głowę.

- Rozumiem cię ojcze i cieszy mnie, że i ty uwzględniasz mój pogląd na te rzeczy.

Na tym obaj panowie zamknęli tę kwestię i wraz z Dagmarą przeszli do jadalni.

ROZDZIAŁ XV

Klaus Ruthart odjechał i zdawało się, że zostawił za sobą zimne tchnienie, które owiało wzajemny stosunek małżonków. Jak przedtem, tak i teraz, siadywali razem do posiłków, lecz obcowali z sobą chłodniej i powściągliwiej. Przede wszystkim projektowana podróż do rezydencji dostarczała im tematów do rozmów. Dagmara zdawała się być bardzo nią przejęta i z ożywieniem snuła plan pobytu w rezydencji, jakby się bardzo z tego cieszyła. W gruncie rzeczy niewiele zależało jej na tym. Daleko chętniej pozostałaby w Taxemburgu, który mimo wszystko otoczył ją swoistym urokiem. Tego jednak nie wyjawiała mężowi wcale. Więc też Ginter był przekonany, że cieszy się na myśl o świetnym życiu dworskim, o balach, festynach, okazji do błyszczenia i odbierania hołdów. Uroda jej z dnia na dzień rozkwitała piękniej, zwracając coraz bardziej jego uwagę. Niekiedy nawet uwaga przechodziła w pełen zapamiętania podziw, zaś męska strona jego osobowości nie pozostawała nieczuła na tyle powabu. Ale jej chłód i nieprzystępny wyraz mroziły mu serce i wszelki ku niej poryw. W takich razach co prędzej wracał do swej roboty.

Dagmara przepisywała pilnie jego książkę i dwa dni przed wyjazdem do rezydencji wręczyła mu część ukończoną:

- A teraz muszę przerwać pisanie do naszego powrotu, Ginterze - powiedziała. - W rezydencji trudno byłoby mi zabrać się do pisania. Czy będzie czas napisać dalszy ciąg po naszym powrocie?

- Oczywiście, Dagmaro. Moja praca również nie postąpi w tym czasie. Lecz czy naprawdę nie znużyło cię to zajęcie?

- Nie, naprawdę nie. Owszem, było mi miłe. Byle tylko zadowolili cię ma praca.

Ginter uśmiechnął się.

- Maszynopis jest czysty, staranny, bez żadnych pomyłek i tak bez zarzutu, że kiedy ty przepisujesz, mogę zrezygnować z korekty.

- Czy oszczędza ci to pracy?

- Owszem, nawet znacznie.

- Więc na przyszłość będę jeszcze więcej uważać, by nie popełnić błędu. Dla pewności sama zajmę się korektą, gdzie będzie to potrzebne.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

- Wystarczy, jeżeli mi nadal będziesz powierzał tę pracę. Ale teraz muszę iść. Nadeszły moje suknie, przeznaczone na wyjazd do rezydencji i toaleta dworska na ceremonię przedstawienia mnie księżęcej parze. Pokojówka czeka już na mnie.

- Nie będę cię więc zatrzymywał.

* * *

Dagmara przymierzała nowe suknie i dworską z wielkim, wspaniałym trenem, w którym musiała uczyć się dworskiego ukłonu oraz ćwiczyć w chodzeniu, by tren układał się w przepisowe fałdy. Śmiała się sama z siebie, gdy z gracją kroczyła po wielkiej sali przyjęć w Taxemburgu, ćwicząc się w ukłonach i chodzie.

Ginter zastał ją przy tej czynności. Stał u wejścia i nie zdradzając swej obecności, przyglądał się jej przez chwilę. Nie wiedząc, że jest obserwowana ćwiczyła się dalej w ukłonach przed pustymi krzesłami, mającymi wyobrazić panującą parę. Pomyślał, że w tym dostojnym stroju, wygląda jak młoda królowa. Kiedy ponownie wykonała nienaganny ukłon, zbliżył się do niej.

- Brawo! Dagmaro! Najsurowszy krytyk na księżęcym dworze nie mógłby ci nic zarzucić - rzekł z uśmiechem.

Dagmara zarumieniona, zwróciła się do niego.

- Ach, to takie niedorzeczne! Wszystkie te ceremonie wydają mi się śmieszne! Lecz trzeba je opanować. Inaczej można się narazić na śmieszność. A nie chcę, aby hrabina Taxemburg dała komuś powód do śmiechu.

- Nie zniosłabyś tego? - zapytał z lekkim szyderstwem.

Zwróciła się doń całą postacią, a długi, ciężki tren w harmonijnych fałdach owinał jej smukłą postać. Wyglądała ślicznie w tej dumnej, wdzięcznej pozie. Patrzyła na niego poważnie i głęboko.

- Tak, byłoby to dla mnie trudne do zniesienia, gdyż śmieszność spadłaby na ciebie. A nie chcę, byś się wstydził swojej żony, Ginterze.

- O, Dagmaro, coś podobnego, nie może się zdarzyć - odparł Ginter, nieco zmieszany własnymi słowami, składając pocałunek na jej rękę.

Uśmiechnęła się lekko:

- Niedawno czytałam w jakiejś powieści, że pewna młoda osoba popełniła ze strachu kilka niedorzeczności, gdy ją przedstawiano królewskiej parze i mąż jej, mocno tym wzburzony, czuł się jak pod pręgierzem. Najchętniej byłby się wyparł swej żony - zażartowała Dagmara.

- W takim razie mąż ten był nikczemnym pajacem i raczej on zasługiwał, by żona wyparła się go - oświadczył Ginter.

Dagmara ujęła ciężki tren w rękę:

- Wybacz, muszę się przebrać, ta suknia jest bardzo niewygodna - rzekła.

Uprzejmie podał jej ramię.

- Pozwolisz, że cię odprowadzę.

* * *

Towarzyszył jej do progów jej apartamentu i pożegnał pocałowaniem ręki.

Dagmara siedziała po południu w swym ulubionym przybytku, dużym ośmiokątnym pokoju południowego skrzydła. Tam przebywała najchętniej. Przez wielkie trzy okna światło wpływało rześcicie. Obok jednego z nich stało biurko. Miała pewność, że w tym pokoju nikt jej nie przeszkodzi.

Ginter nie wchodził tu nigdy. W jej apartamencie zjawiał się tylko na popołudniową herbatę, którą według jej zarządzenia podawano w saloniku. Poza tym spotykali się jedynie w środkowej części zamku.

Więc też Dagmara nie obawiała się niczego, gdy - jak nieraz bywało - wyciągnęła z biurka zieloną szkatułkę z listami Gintera z więzienia.

Chciała je znowu odczytać.

Z rumieńcem na twarzy przeglądała listy, błyszczącymi oczyma, tak zatopiona w ich treści, że drgnęła przestraszona, gdy się drzwi otwarły.

Hrabia Ginter stał na progu. Ujrzał jak żona zerwała się na jego widok i z przerażeniem wrzuciła plik listów do szkatułki.

Zawahał się chwilę, zanim się zbliżył do niej.

- Wybacz, że cię przeszkadzam, Dagmaro; chcę z tobą pomówić, a twoja pokojowa

powiedziała mi, że cię tu zastanę.

Zdolność panowania nad sobą, tak właściwa Dagmarze, pozwoliła jej niezwłocznie odzyskać równowagę. Postawiła na stół szkatułkę i powiedziała tak spokojnie, jak tylko była w stanie:

- Wcale mi nie przeszkadzasz. Cóż cię tu sprowadza?

Mimo to jednak Ginter spostrzegł lekkie drzenie jej głosu i pomyślał, że niewątpliwie zastał ją na czytaniu listów, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia.

- Czy owe listy skreśliła kochana ręka? Co mogła ukrywać przed nim? Musiały posiadać dla niej wielką wartość, skoro dla ich przechowania miała specjalną szkatułkę. Z obojętnymi listami nie czyni się tego myślał Ginter.

Ginter zmuszał się do spokoju, lecz mimo woli serce jego przejmował dotkliwy ból, jakby trapiła go myśl, że ona ukrywa coś przed nim.

- Chciałem cię tylko poprosić, abys mi powiedziała, ile życzysz sobie pokoi w hotelu rezydencji, gdyż chcę je zamówić. Telegrafuję zaraz - powiedział.

Wskazała mu krzesło:

- Myślę, że wystarczy mi trzy pokoje: sypialnia, gabinet i salon.

Ginter usiadł i spojrzał mimo woli na biurko, jakby jeszcze teraz mógł dojrzeć coś z tych listów. Lecz ani jednego nie zostawiła na wierzchu.

- A więc zamówię tyle. Twój ojciec proponował, byśmy na czas zimowy wynajęli w rezydencji małą willę, zamiast zamieszkiwać w hotelu. Jak sądzisz?

Spojrzała w zamyśleniu przed siebie.

- Zapewne ojciec jest zdania, że jeśli co roku mamy spędzać zimę w rezydencji, byłoby wygodniej i lepiej posiadać stałe mieszkanie.

- Był tego zdania. Ale pozostawił nam wolną rękę. W hotelu byłoby nieco ciasno. Lecz z drugiej strony odpada troska o drugie gospodarstwo.

- Tym razem postanowiliśmy zamieszkać w hotelu. Gdybyśmy na miejscu znaleźli coś stosownego, zawsze byłby jeszcze czas zmienić decyzję. Na razie trzeba zobaczyć, jak się ułoży nasz pobyt, czy będziemy musieli przyjmować gości i czy to byłoby możliwe w hotelu.

- Słusznie, możemy ostatecznie zdecydować się w rezydencji, a w każdym razie zamówię teraz pokoje. Już listownie poruszyłem tę sprawę. Czy masz specjalne życzenia?

- Nie, dziękuję ci.

Objął wzrokiem rozległy krajobraz za jej biurkiem.

- Masz tu śliczny widok na południe.

- O tak, właściwie zewsząd jest ładny, lecz chyba stąd najpiękniejszy. Gdy siedzę tu,

przy biurku, odczuwam prawdziwą rozkosz.

- Spędzasz pewnie wiele czasu przy biurku?

- Tak, szczególnie odkąd prócz załatwiania swojej prywatnej korespondencji przepisywałam tu na maszynie twój rękopis.

Spojrzał na nią.

- Czy to nie dziwne, Dagmaro, że nigdy jeszcze nie widziałem twego pisma, oprócz podpisu, który niekiedy wypadło ci skreślić własnoręcznie?

Dagmara odwróciła się, by ukryć nagły rumieniec.

- Ach, wiesz, mam bardzo nieczytelne pismo.

- Więc dlatego posługujesz się maszyną?

Skwapliwie skinęła głową:

- Tak, tak, naturalnie, że dlatego.

- W prywatnej korespondencji także?

- Owszem, i w prywatnej korespondencji.

Uśmiech przemknął mu przez usta.

- Nareszcie odkryłem, dlaczego listy do mnie były pisywane w ten sposób. Szczerze mówiąc, trochę mnie to dziwiło.

Dagmara zwróciła się do niego całą twarzą, z takim opanowaniem, że nawet zdobyła się na uśmiech.

- Uczyniłam to tylko dlatego, by ci oszczędzić ślęczenia nad odcyfrowaniem moich nieczytelnych liter.

Ujął jej rękę i podniósł ją do ust:

- To jest przeproszenie, Dagmaro.

Zarumieniła się.

- Przeproszenie - za co?

- Za posądzenie, Dagmaro, że w ten sposób chcesz rozmyślnie nadać swym listom ton urzędowy i sztywny.

Potrząsnęła energicznie głową:

- O, z pewnością nie miałam podobnego zamiaru. Powinam była cię uprzedzić, z jakiego powodu to robię. Wybacz, że zapomniałam o tym. Ja... jestem tak przyzwyczajona do pisania na maszynie, że zdaje mi się to już rzeczą zupełnie naturalną.

- Z całą pewnością nie przyszło mi na myśl, że możesz to sobie fałszywie wytłumaczyć; wierz mi.

Ginter uściśnął delikatnie jej rękę i zwolnił ze swej dłoni.

- Wierzę ci. Wiem, iż jesteś zbyt dumna i szczerą, bym mógł powątpiewać w twoją prawdomówność. Nie wątpię w nią nigdy.

Dagmara spojrzała mu w oczy z dziwnie poważnym wyrazem.

- Niekiedy zdarzają się okoliczności, które wbrew naszej woli zmuszają nas do nieprawdy, Ginterze. Nie wierzę, aby istniał człowiek, który by nigdy w życiu nie rozminął się z prawdą.

- I ja w to nie wierzę. Lecz jedynie konieczność może usprawiedliwić zejście z drogi prawdy.

Skinęła głową.

- I ja jestem tego zdania.

Ginter wstał i odetchnął ciężko. Jeśli owe listy, znajdujące się tam, w biurku, pochodziły naprawdę od obcego mu człowieka, to mimo jej zmieszania, były niewinnej treści, lub pochodziły z czasów, gdy nie miał do niej praw.

Nie przypuszczał nic innego. Chociaż raz już zdradziła go kobieta, wierzył w dumną prawdomówność Dagmary. Ona go nie zdradzi, gdyż ją poprosił, by była wobec niego szczerą. W ten sposób bronił się od dręczących go uczuć. Lecz gdy ją opuścił i zasiadł przed biurkiem, myśli jego wróciły mimo woli do zielonej szkatułki. I znowu wzbierał w nim niepokój. Lecz nagle przyszły mu na myśl listy od Bezimiennej, które przechowywał u siebie. Uśmiechnął się i odetchnął z ulgą:

- Gdyby to mnie zastała Dagmara przy odczytywaniu tych listów, ten fakt byłby ją tak samo zastanowił, jak mnie tamten, przed chwilą. Może te listy były po prostu naiwną pamiątką z pensjonarskich czasów, której nie miała ochoty pokazać. Jestem wariatem, stwarzając sobie niepotrzebne troski.

Zadał sobie pytanie, czy Dagmara byłaby równie zaniepokojona tymi listami, jak on tamtymi, gdyby go nagle zastała w podobnej sytuacji. Ale potrząsnął głową.

- Nie, wszak ona mnie nie kocha, byłoby jej obojętne z kim koresponduje.

Skoro zdał sobie sprawę z tego, co pomyślał, był tym zaskoczony. Przecież on nie kochał swej żony. Wobec tego owe listy powinny mu być obojętne. Dlaczegoż więc przejmował się nimi tak bardzo?

Dała mu słowo, że jego honor stawia bardzo wysoko i uszanuje nazwisko. Chociaż jedna kobieta zdradziła go już tak niecznie, Dagmary nie posądzałyby o to. Przekonał się już nieraz o jej prawdomówności. Jak skrupulatna była na tym punkcie miał dowód we własnych jej słowach, że zdarzają się czasem wyjątkowe okoliczności, które wbrew naszej woli sprowadzają nas z drogi prawdy i tylko wtedy można usprawiedliwić nieszczerłość. Gdyby

kochała innego, nie miałyby potrzeby ukrywać się z tym przed nim. Wobec tego i on nie miał powodu do obaw, że były to listy miłosne od nieznanego mu mężczyzny. Czemuż niepokoiło go tak bardzo samo przypuszczenie, że chodzi o takie listy? Czy jego spokojna równowaga w stosunku do Dagmary nie uległa już poważnemu zakłóceniu? Czy nie za wiele poświęca myśli żonie, o wiele więcej, niż spokój jego serca wymagał?

Zerwał się i podszedł do okna. Nagle przypomniał sobie o telegramie do hotelu. Napisał go prędko i zarządził wysłanie.

* * *

Potem zmusił się do paru ważnych zajęć. I powoli odzyskał spokój.

Gdy mąż opuścił Dagmarę, przycisnęła rękę do bijącego serca; drżała jeszcze ze strachu. Gdyby Ginter zastał ją nad listami! Nie śmiała dopuścić tej myśli. Postanowiła na przyszłość odczytywać je tylko przy zamkniętych drzwiach.

- Co uczyniłby Ginter zobaczywszy u mnie te listy? Czy zaraz doszedłby do wniosku, że go Kocham? A gdyby się tego domyślił, co potem?

Wzdrygnęła się.

Owego dnia nie wyjęła już drogich listów ze schowka. Zaczęła list do Kasi von Roschwitz, malując jej zimowy obraz Taxemburga.

Skoro go skończyła, przyszła jej ochota wybrać się znowu na wieś. Tym bardziej, że i tak miała zamiar odwiedzić młodą kobietę, leżącą po połogu, matkę jej ulubieńca z konopiastą czupryną, którego na Boże Narodzenie przy drzewku trzymała na rękach. Owa kobieta urodziła właśnie drugiego blondynka.

Spojrzała na zegarek. Dziś było na tę wyprawę za późno, słońce miało się ku zachodowi, zanim dojechałaby na wieś, byłoby zupełnie ciemno, a dzieciarnia siedziałaby już po domach.

Więc odłożyła na jutro spełnienie tego zamiaru.

ROZDZIAŁ XVI

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, gdy mąż jej wyjechał autem w różnych sprawach do miasta, ubrała się na tę przejażdżkę. Kazała zaprząć do sanek i poleciła gospodyni spakować kosz z pożywnymi wiktuałami dla młodej rekonwalescentki oraz paczkę cukierków

dla dzieci. Przed odjazdem przekonała się, czy kosz jest dostatecznie zaopatrzone, a paczka słodczy dość duża. Przegląd wypadł dobrze. Lokaj otulił futrem jej nogi, postawił kosz na koźle i zasiadł na swoim miejscu.

Chyżo zjechały sanie z góry zamkowej i sunęły drogą wzdłuż na wpół zamarzej rzeki, ku miłej dla oka wiosce. Niedaleko od niej rzeka rozlewała się szeroko na zakręcie, tworząc duże jezioro. Tutaj prąd był mniej wartki, jezioro zamarzło silnie i dzieciarnia wiejska zabawiała się chętnie na mocnym lodzie tej części rzeki. Dziewczyny i chłopcy ślizgali się na łyżwach, jeździli saneczkami, inni po prostu na podkutych gwoździach bucikach sunęli po gładkiej, lodowej przestrzeni.

Dagmara z uśmiechem patrzyła na rozbrykane dzieci. Dzień był wolny od nauki i wszystkie zdrowe dzieciaki wyległy tłumnie na lód.

Zaledwie dostrzegły nadjeżdżające sanki, popędziły do brzegu.

- Pani hrabino, chodź do nas na lód - zawołał malec, ledwie od ziemi odrosły, a inny zawtórowali mu z zapalem. Dagmara, roześmiana, przesłała im ręką powitanie.

- Nie teraz, z powrotem, jeśli będziecie grzeczni - odkrzyknęła.

- Jesteśmy grzeczni, bardzo grzeczni - wołały dzieci jedno przez drugie.

Dagmara pożegnała je skinieniem ręki i pojechała dalej. Najweselszy z chłopców pobiegł co sił w nogach i uczepił się z tyłu sanek.

Dagmara odwróciła się:

- Ej, upadniesz, uważaj!

Zaledwie wyrzekła te słowa, malec leżał jak długi, potoczył się parę kroków i gramolił ze śniegu. Dagmara chciała zatrzymać sanie, aby zobaczyć, czy nie poniósł jakiejś większej szkody. Lecz malec stał już pewnie na grubych nożętach i nieco zawstydzony, nadrabiając miną, użył oberwanego rękawa zamiast chustki do nosa.

W parę minut potem Dagmara była już u pacjentki. Usiadła na chwilę przy jej łóżku, porozmawiała z nią i pogłaskała swego ulubieńca, małe, płowe pacholę. Obdarowała pacjentkę i wyraziła podziw dla noworodka, który z zapalem wpychał drobne piąstki do buzi. Wzięła go do rąk, jak kukłę w powijakach i nie mogła się napatrzeć na malucha.

W niespełną godzinę mknęły znów sanki drogą. Wstąpiła jeszcze na pocztę, by nadać parę listów, po czym nastąpił powrót. Zatrzymała się nad rzeką. Wysiadła z paczką słodczy w ręce.

Zaledwie ujrzały ją dzieci, rzuciły się hurmem ku niej.

- Czy cukierki są, proszę pani hrabiny? - wołały.

- Czekajcie chwilę, urwisy. Które z was najgrzeczniejsze?

Powstał wielki harmider, gdyż każde przyznawało się do pierwszeństwa.

Chłopczyk, który przedtem czepiał się sań i upadł, krzyczał teraz najgłośniej.

Roześmiana Dagmara pociągnęła go za ucho.

- Nie wolno ci robić takich figłów, jak przedtem, bo nigdy nie dostaniesz cukierków.

- Chciałem pojechać z panią, pani hrabino - odparł malec bezczelnie.

Zatkała mu buzię cukierkiem.

- No, masz tymczasem tylko jeden. Bardzo cię bolało?

Chłopak potarł dłonią potłuczoną część ciała.

- Tak sobie, troszeczkę.

Inni głośnym krzykiem dopominali się o swą porcję. Dagmara zatkała sobie uszy. Nie zauważyła, że w tej chwili drogą nadjechał samochód i zatrzymał się przy saniach.

Ginter wysiadł z pojazdu. Ujrzał swoją żonę i stał przez chwilę wpatrzony we wdzięczny obrazek. Jak ślicznie i młodo wyglądała Dagmara wśród gromady dzieci.

- Pani hrabino i mnie cukierka, i mnie! - dochodziły go głosy na różne tony.

- Uważajcie, najpierw mali, potem starsi. I najpierw dziewczęta, potem chłopcy. Ty, Jurku, staniesz za siostrzyczką, taki duży chłopak, a pcha się naprzód! Jeśli tak będzie dalej, to znaczy, że nie ma tu grzecznych dzieci. A teraz cicho! Każdy dostanie swoją część.

Rozdzielała słodycze, śmiejąc się serdecznie, gdy malcy rozdziawiali buzie, niby wyjęte z wody karpie.

Skoro wszystko zostało rozdzielone, Dagmara rzekła:

- A teraz weźcie się za ręce, zrobimy olbrzymiego węża. Jurku, tyś największy ze wszystkich, a więc będziesz głową, ja zaś uczepię się z tyłu. Teraz rozwinąć węża - ale trzymajcie się mocno.

Z krzykiem radości spełniono jej rozkazy. Była tak zajęta, że nie zauważyła Gintera, który zbliżał się powoli.

- Uważać, ja-a-zda - zakomenderowała.

Większe dzieci na łyżwach nabrały rozpędu, za nimi sunęły inne. Wszystkie pokrzykiwały z uciechy. Wąż wił się wzdłuż jeziora. Na końcu ruszyła i Dagmara. Lecz mała dziewczynka uczepona jej płaszczą, nie miała dość siły. W połowie drogi puściła Dagmarę, która nie mogąc wstrzymać rozpędu, ześlizgnęła się po lodzie i tracąc równowagę byłaby z pewnością upadła, gdyby nagle nie zjawiała się przy niej męska postać, która chwyciła ją w ramiona, ratując od upadku.

- Pani hrabino, i dla mnie cukierka! - zawołał Ginter rozbawiony, obejmując ją silnym uściskiem. Przez chwilę spoczywała na jego sercu, spoglądając z nieukrywaną czułością.

- To ty jesteś, wcale cię nie spostrzegłam - powiedziała bez tchu.

- Przyglądałem się dłuższą chwilę, jak karmiłaś drobiazg wiejski. Pani hrabino i ja chcę łakoci! Nie masz już nic dla mnie? - zapytał ze śmiechem.

Pod jej ciepłym spojrzeniem wezbrała w nim radość. Tak dziwnie promiennie i jasno patrzyły na niego jej oczy! Ale Dagmara opanowała się szybko.

- Nie, nic już nie mam dla ciebie, Ginterze - powiedziała z uśmiechem.

- W takim razie, wezmę sobie sam! - odparł i nagle pocałował ją w usta.

Naokoło dzieci, które tymczasem przerwały już węża, zauważyły to zajście. Powstała radosna wrzawa.

- Pan hrabia pocałował panią hrabinę! - krzyknął co siły w płucach jeden z małych blondynów.

Dagmara zarumieniła się po uszy.

- Ginterze, co sobie dzieci pomyśla! - wyszeptwała zmieszana.

Hrabia oddychał ciężko i patrzył na nią płomiennymi oczyma.

- Pomyśla, że jesteśmy szczęśliwym małżeństwem. Czy sądzisz, że widzą po raz pierwszy, jak się dwoje ludzi całuje? I ja chciałem otrzymać trochę słodyczy! Dla wszystkich byłaś hojna, tylko ja musiałem zrabować swoją część!

Dzieci nadbiegły i zwolniły Dagmarę od odpowiedzi.

- Pani hrabino, jeszcze raz zróbmy węża!

Hrabia Ginter wyzwolił żonę.

- Odsuńcie się, nienasycone urwisy. Pani hrabina nie bawi się już z wami. Puściliście ją! Gdybym jej nie pochwycił upadłaby.

- To Lora winna, Lora panią puściła! - wołały dzieci.

- Hm... jeśli tak, to Lora powinna dostać jednego cukierka dodatkowo - zażartował Ginter, patrząc na Dagmarę roześmianymi oczami.

W tym wesołym nastroju wydawał się jej dziwnie pociągający. Szkoda, że zawsze był taki poważny! Z tym rozigraniem było mu tak ładnie! Nagle uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie wyglądał tak ponuro, jak w ostatnich czasach.

- Nie ma już cukierków, pozjadaliśmy wszystko - zawołał mały berbec.

- Więc innym razem Lora dostanie o jednego więcej! A teraz puście panią hrabinę, bo jej nóżki zmarzną w tych cienkich trzewiczkach i rozchoruje się.

Uwolnił Dagmarę z oblężenia malców i poprowadził do sań.

- Czy przyjmiesz mnie do sań? W takim razie kazałbym szoferowi pojechać naprzód autem - zapytał.

- Jak chcesz - odrzekła Dagmara.

- Nie, jak ty chcesz, Dagmaro.

Spojrzał na nią spokojnym, lecz zdecydowanym wzrokiem.

Zarumieniła się lekko, lecz odrzekła ze zwykłym opanowaniem:

- Więc pojedź ze mną, nie będziemy sami.

Rozbłysły mu oczy. Było to w każdym razie zwycięstwo nad jej zimną sztywnością.

- Pani hrabino, pani hrabino, wróć do nas niedługo! - wołały dzieci za nimi.

Dagmara odwróciła się, śląc im ręką pożegnanie, gdy sanki ruszyły z miejsca.

- Zadziwiające, jak umiesz zyskiwać sobie serca dzieci! - zagał Ginter rozmowę.

Dagmara uśmiechnęła się.

- To takie łatwe! Trzeba im tylko okazać trochę uczucia. Są na to bardzo wrażliwe.

Dla dzieci nigdy dosyć uczucia.

Ginter przytaknął z westchnieniem.

- Moje własne, pozbawione ciepła dzieciństwo dowodzi mi, jaką masz słuszość.

Dagmara patrzyła wielkimi oczyma przed siebie.

- Moje również! Od śmierci biednej mamy miałam zawsze uczucie, że wraz z nią straciłam coś niezmiernie cennego i nie do zastąpienia. Ojciec nie miał dla mnie czasu ani zainteresowania, w ogóle zaś ma chłodne usposobienie.

Ginter spojrzał na nią badawczo. Czy może dlatego wydawała się taka obojętna i chłodna, że brakło jej ciepła w dzieciństwie? Lecz czy i jemu w dzieciństwie nie brakło go w jeszcze większym stopniu? Wszakże dlatego obecnie potrzebował go bardziej. Ale ludzie mają rozmaite natury. Widocznie brak miłości tak wymroził jej serce.

- Miłość, wielka miłość powinny ją rozgrzać, wówczas w jej sercu mogłaby się narodzić i rozkwitnąć bujnie - pomyślał zadumany.

I tak jechali dalej w milczeniu. Nagle Ginter rzekł:

- Gdybyś miała dzieci, byłabyś doskonałą matką, Dagmaro. Sądzę, że twoim dzieciom nie brakłoby nigdy miłości. Gdyż w stosunku do dzieci masz w sobie ciepło, którego brak ci zwykle. Dawniej myślałem, że jesteś z natury zimna. Ale teraz zmieniłem zdanie. Sposób, w jaki obcujesz z dziećmi, zdradza, że masz w sobie wielkie skarby uczucia.

Dagmara zacisnęła mocno ręce, ukryte w rękawach. Och, gdyby przeczuwał jaki bezmiar miłości spoczywa w jej sercu i do kogo należy. Z wielką trudnością udało jej się zachować pozorną równowagę. Czowała, że musi zmienić temat, jeżeli chce wytrwać w spokoju.

- Gdybym miała dzieci, musiałyby ciągle, w każdej chwili odczuwać, że są kochane, gdyż dzieci bez miłości, to kwiaty hodowane w cieniu. Ale chciałam cię zapytać - czy

zamówiłeś pokoje dla nas w hotelu?

Czuł, że chce sprowadzić rozmowę na inne tory. Ten temat nie był jej widocznie miły. Nabrał jednak pewności, że nie miała serca zimnego, lecz dziwnie przewrażliwiona nie pozwalała wejrzeć w głąb siebie.

Jaka szkoda, że nie wyszła za człowieka, którego by kochała i który by ją kochał, wówczas jej życie byłoby całkiem inne, pełniejsze.

Stosując się zatem do zmienionego tematu, rozmawiał z nią w dalszym ciągu, oparty o poduszki siedzenia, aby w ten sposób swobodnie móc wpatrywać się w jej profil. Opanował go gorzki żal, że kobieta, którą dawniej tak gorąco kochał, swą zdradą zabiła w nim wszelką zdolność kochania. Lecz czy naprawdę zabiła? Czy pod popiołami nie tliła w jego sercu iskierka, gotowa każdej chwili zapłonąć żywym ogniem? Czy nie nadeszła ta chwila? Jego wzrok spoczywał na obliczu Dagmary, widział miękkie, kasztanowate sploty, spływające spod futrzanej czapeczki, okrągły owal twarzy, wąski nosek, uszko zaróżowione i jedwabne, długie rzęsy. Ginter westchnął ciężko.

ROZDZIAŁ XVII

Po Nowym Roku ożywił się rytm życia rezydencji. Rozpoczęły się przyjęcia na dworze.

Hrabia Ginter Taxenburg, przybyły wraz z małżonką, zamieszkał w najwytworniejszym hotelu.

Na parę dni przed przyjazdem młodej pary, przedstawienie jej zostało włączone w program ceremonii dworskich. Oboje musieli złożyć przedtem różne obowiązkowe wizyty, a przede wszystkim u pierwszej ochmistrzyni dworu.

Dagmara w pewnej mierze złożyła u niej egzamin, czy jest dość obeznana z ceremoniałem dworskim, aby być przyjęta u najwyższego ołtarza. Skrupulatnie, z uprzejmą gotowością stara pani służyła Dagmarze radą i wskazówkami.

Hrabiostwo Taxenburg budziło ogólne zainteresowanie na książęcym dworze. Książę Ludwik zaręczył, że młoda para stanowi doskonały nabytek towarzyski, oczekiwano więc z zaciekawieniem ich przybycia.

Gdy ta chwila nadeszła i Ginter z Dagmarą przyłączyli się do orszaku gości, zgromadzonych w przedpokoju zamkowym, wywarli duże wrażenie. Piękność hrabiny, jej

kosztowna i wytworna toaleta, imponująca postać hrabiego, zwróciły ogólną uwagę. Zjawił się książę Ludwik. Już przedtem mile powitał młodą parę w rezydencji. Gdy teraz ujrzał Dagmarę oczy zabłysły mu radosnym podziwem.

- Nie sądziłem hrabino, że pani będzie w stanie przejść samą siebie w piękności, a jednak się tak stało - rzekł podnosząc jej rękę do ust.

Dagmara spojrzała na niego ze swobodnym uśmiechem.

- Wasza wysokość bardzo łaskaw, że na moją intencję ryzykuje komplementy naprawdę przesadzone - odparła z przekornym uśmiechem. Książę patrzył na nią przez chwilę z zachwytem, potem westchnąwszy, zwrócił się do Gintera.

- Kochany hrabio, jesteś godzien zazdrości, już raz powiedziałem to panu. Będę zbierał dziękczynienia od wszystkich, że udało mi się zwabić państwa na nasz dwór. Dwoje ludzi tak bardzo zajmujących, no - i tak pięknych, to doprawdy rzadkość. Tak, tak, proszę się tylko rozejrzeć. Wiele rozumu i urody nie znajdzie pani tutaj.

- Książę daruje, lecz co do piękności, to nie brak jej na tej sali - zauważyła Dagmara.

Książę uśmiechnął się ironicznie.

- To wszystko pozory, hrabino, te kwiatki, powietrzem dworskim zwarzone, nie znoszą światła dziennego. Natomiast pani nie potrzebuje wcale obawiać się jasnego słońca. Lecz dość już o tym, bo zyskam u pani opinię nudziarza.

- O to nie ma obawy, książę!

Uśmiechnęła się lekko:

- Ach, pani sądzi, że książę w żadnym wypadku nie może być nudny! Lecz i to zawodzi niekiedy, hrabino. Wie pani, jak bardzo cieszę się na myśl o pobycie w Taxemburgu? Kochany hrabio, będą to dla mnie miłe, dobre chwile. Rezerwuję dla siebie ten czas i pilnie go strzegę, by żadne inne plany nie stanęły mi na przeszkodzie. Ale nie przyjeżdżam tylko na dwa, lub na trzy dni. Proszę się przygotować na dłuższą okupację.

- Będzie nam bardzo miło gościć księcia jak najdłużej; żałowaliśmy tylko, że książę nie wybrał się wcześniej - serdecznie i ciepło odrzekł Ginter.

Książę Ludwik spojrzał na niego z uśmiechem.

- Nie, wcześniej nie byłbym śmiały ukazać się w Taxemburgu. Dla tak świeżego małżeństwa każdy gość bywa natrętnym intruzem. To właśnie prawdziwie mnie cieszy, że oboje państwo powitacie mnie chętnie.

- W każdej okoliczności i chwili, wasza wysokość może być o tym przekonany.

- Znam pana jako szczerą naturę, hrabio, więc rad w to wierzę. Lecz, aby naprawdę być pożądanym gościem, muszę sobie zaskarbić łaski pańskiej żony. Z panią domu należy

być zawsze na najlepszej stopie, jeśli gość ma być mile widziany.

- O to księżę nie potrzebuje się starać - odparła Dagmara z uśmiechem.

Księżę Ludwik patrzył na ten uśmiech z podziwem, a jego oczy zdradzały go tak wyraźnie, że hrabia Ginter odczuł pewien niepokój. Zauważył, że księżę wydał się jego żonie bardzo sympatyczny i to poniekąd zakłócało jego równowagę.

Księżę musiał zwrócić się do innych obecnych, z drugiej zaś strony hrabiostwo Taxemburg wmieszali się w otoczenie.

Dagmara czuła ciężar długiego trenu sukni, a brylantowy diadem, dar gwiazdkowy ojca, uciskał jej skroń. Ten gwar po cudownej ciszy Taxemburgu, ten tłum dokoła niej z konwencjonalnym uśmiechem... Dagmara westchnęła w duchu za swym narożnym pokojem, z cudownym widokiem z góry.

Dyskretny gwar, zewsząd ukłony, powitania, zapoznanie się wzajemne, konwersacja, ploteczki, niekiedy dyskretna krytyka - o ile ktoś nie chciał siedzieć na uboczu i nudzić się śmiertelnie. Ogólne zainteresowanie skupiało się jednak na chwili, gdy z przyjściem księżęcej pary rozpocznie się „cercie”. Przede wszystkim miała się odbyć ceremonia przedstawienia pań zgromadzonych w tym celu. Niektóre z nich z zazdrością spoglądały na piękną hrabinę Taxemburg i jej wspaniałą toaletę, szepcząc złośliwie na ucho, że zwie się po prostu Ruthart, więc nie jest „urodzona”, mąż jej zaś, mon Dieu, jest sobie potomkiem z lewej ręki hrabiowskiego rodu Taxemburgów.

- Tego doprawdy za wiele, ludzi z takiej sfery należałoby jednak trzymać z daleka od siebie - zauważyła wielce wyniosła dama z chudymi ramionami i haczykowatym nosem, szczególnie napuszona z powodu szumnie brzmiącego nazwiska.

- Cóż chcesz, moja droga, prąd z góry jest bardzo łaskawy dla żywiołu mieszczańskiego. Przypomnij sobie malarza Hollmanna Wenera i profesora Jurgensa. Ojciec hrabiny Taxemburg, jest jednym z najbogatszych przemysłowców Niemiec, który zamek Taxemburg wyłociał na zewnątrz i wewnątrz.

Rozmowy ucichły nagle, gdyż w mundurze szamerowanym złotem zjawił się szambelan, składając z uśmiechem ukłony.

Szambelan poprowadził panie. Dagmara musiała rozłączyć się z mężem i zaciągnąć do szeregu pań, które według listy miały być przedstawione parze panującej. Snuły się amfiladą sal o ścianach zdobnych w lustra i obrazy; powoli i uroczyście rozwijał się pochód pań świątecznie ubranych. Za każdą pozostawało dość miejsca na tren, układający się w piękne fałdy na lśniącej posadzce. Szeleściły ciężkim jedwabiem, w sztywnych, grubych zwojach, jeśli były z brokatu lub adamaszku, lub spływały w miękkich fałdach, jeśli z lżejszego

jedwabiu.

Idąc panie ukradkowym spojrzeniem badały w dużych lustrach na ścianach, czy żaden szczególnie toalety nie wykracza przeciwko przepisom. Piękniejszego obrazu niż hrabina Taxenburg nie odbiło jednak żadne z owych luster. Wreszcie prowadzący szambelan dał znak otwarcia podwoi, wiodących przed najjaśniejsze oblicza. Wygalowani lokaje cofając się wstrzymali pochód na chwilę. W jasnym rozblasku świeczników brylanty skrzyły się tysiącem iskier. Ukazała się piękna sala, w głębi której na tronie, w otoczeniu dworu, królowała para panujących. Dagmara odczuwała przez chwilę lekkie zmieszanie. Wrażenie tyłu ciekawych oczu, skupionych na jej osobie, było jej wielce niemiłe. Ciężki tren zdawał się przykuwać ją do ziemi, a brylantowy diadem zaciążył bardziej na głowie.

Powoli kroczyła dalej. Obok panujących ujrzała księcia Ludwika, stojącego przy nich z ironicznym uśmiechem. „Jesteśmy zwykłymi ludźmi, nie wyłączając tych na tronie” - powiedział w dzień ślubu jej i Ginterowi. Te same słowa wyczytała teraz w jego ironicznym uśmiechu. Ten książę był naprawdę demokratą. Spokojna, opanowana, z dumną gracją przeciągała Dagmara w szeregu innych pań koło tronu. Wyglądała olśniewająco. W kasztanowatych włosach brylanty diademu lśniły blaskami tęczy, a długi tren toalety dworskiej wił się za nią miękką, jedwabistą smugą. Złożyła przepisowy ukłon przed panującą, która z uśmiechem i pełnym zainteresowania spojrzeniem ukłoniła się pięknej hrabinie; w ten sposób wielka chwila minęła. Książę Ludwik z podziwem spoglądał na Dagmarę. Po skończonej ceremonii przedstawienia pań, najjaśniejsi państwo przeszli do innej sali, w której miał się odbyć „cercie” i gdzie podawano przekąski. Przy tej sposobności dłuższą rozmową wyróżnili hrabiego Gintera z żoną.

Znowu przyszło na myśl Dagmarze:

„Jesteśmy zwykłymi ludźmi, nie wyłączając tych na tronie”.

Jeśli dotychczas ktokolwiek kręcił nosem na hrabiostwo Taxenburg, że on był nieślubnym synem, a jego żona pochodziła z mieszczańskiej rodziny, teraz nikt nie śmiał tego podnosić.

Od owej chwili godność hrabiowska Gintera została oficjalnie uznana i na książęcym dworze. Gdy Dagmara znalazła się potem obok męża - (lokaj przyniósł im przekąski) - piękny, smukły mężczyzna zbliżył się do Dagmary z radosnym błyskiem w oczach.

I twarz Dagmary zdradziła miłe zdziwienie.

- Pan również tutaj, panie Hollmann? Jaka miła niespodzianka - rzekła, wyciągając doń rękę.

Werner Hollmann, znany i bardzo lubiany portrecista, ujął rękę Dagmary i podniósł ją

do ust.

- Panno Dagmaro, co mówię... hrabino, jestem olśniony, oto słońce zabłysło w rezydencji.

Hrabia Ginter z pewnym zdziwieniem przypatrywał się temu powitaniu. Dagmara spostrzegła to i zarumieniła się pod jego spojrzeniem.

- Proszę mnie nie zaliczać do systemu planetarnego, panie Hollmann, pozwoli pan, że go zapoznam z moim mężem - rzekła i przedstawiła obu panów.

Zamienili ukłony.

- Miałem zaszczyt, hrabio, już w Berlinie poznać hrabinę Dagmarę.

- Pan dawniej mieszkał w Berlinie? - zapytał Ginter grzecznie, lecz z mimowolną rezerwą.

Hollmann przytaknął głową.

- Tak jest, hrabio. Lecz bawię tutaj już blisko od roku. Zacząłem od malowania portretów najjaśniejszych państwa, po czym napłynęło wiele zamówień, które zatrzymały mnie tu po dziś dzień. Lecz jestem szczęśliwy, hrabino, że dało mi to okazję powitania pani tutaj.

Dagmara spojrzała z uśmiechem na Hollmanna.

- I mnie bardzo miło spotkać w tym obcym tłumie dawnego znajomego.

- Jak się miewa ojciec pani?

- Dziękuję, bardzo dobrze. Odwiedził nas w czasie Bożego Narodzenia.

Rozmawiali jeszcze chwilę, a Ginter odniósł wrażenie, że powitanie obojga miało specjalnie radosną cechę. Doznał niemiłego uczucia. Skoro niedługo potem jakiś pan powitał Hollmanna i wciągnął go w rozmowę, Ginter zwrócił się z zapytaniem do żony:

- Dawno już znasz pana Hollmanna?

Dagmara spuściła oczy. Diadem znowu boleśnie uciskał jej skronie. Zastanowiła się, jak długo zna Hollmanna. Nie był dla niej nigdy nikim innym, jak dobrym znajomym, którego spotkanie było jej zawsze miłe, umiał bowiem prowadzić wesołą, dowcipną rozmowę.

- O ile pamiętam, poznałam go po moim powrocie z pensji.

- Jesteście w wielkiej przyjaźni?

Podniosła nań oczy i ujrzała bolesny, ponury wyraz twarzy, którego już dawno nie zauważyła u niego. Przestraszyła się i zbladła. Spostrzegł to, a ponieważ nie znał powodu jej przestachu, sądził, że spowodowało go to pytanie.

- W przyjaźni? To za wiele powiedziane. Poznałam go bliżej, gdy swego czasu

malował portret mego ojca.

- Portret twego ojca?

- Tak jest.

- Nie widziałem go nigdy.

- Wisi w sali konferencyjnej jednej z instytucji, którą założył mój ojciec. Został namalowany w tym celu.

Przerwano im w tej chwili, a później nie wrócili już do tego tematu.

Lecz gdy w ciągu przyjęcia Dagmara kilka razy jeszcze rozmawiała z Hollmannem, Ginter spoglądał na nich w zadumie.

Przykra myśl poczęła go niepokoić.

Czy listy, które ukryła przede mną Dagmara, nie pochodziły od tego Hollmanna? Czy myśl o nim zapaliła w jej oczach to tęskne rozmarzenie, które pochwyił raz w hallu?

Zaledwie zdał sobie sprawę z tego przypuszczenia, zawstydził się go.

Nie, przecież powiedziała mi, że nie kocha nikogo innego. Nie chcę wątpić w jej słowa i nie mam do tego prawa - pomyślał.

Lecz cichy niepokój pozostał w jego sercu. W każdym razie Hollmann był mu już niesympatyczny.

ROZDZIAŁ XVIII

Dagmara miała na książęcym dworze wielkie powodzenie. Panowie otaczali ją wielbiącym kołem, panie, olśnione jej pięknymi toaletami, podziwiała wspaniałe klejnoty, które nosiła teraz na oficjalnych przyjęciach jako nieodzowne dla celów reprezentacji.

W towarzystwie młodej pary widywano często księcia Ludwika, co wzmocniło szczególnie ich stanowisko w salonach. Spotykali się często z Wernerem Hollmannem, który skwapliwie szukał okazji rozmowy z Dagmarą. Lecz ona stwierdziła w cichości, że malarz zmienił się na niekorzyść. A może nie zauważyła dawniej, że był zbyt pewny siebie i próżny, a w jego oczach malowała się wyraźna żądza podbojów. Zauważyła również, że stara się jej podobać, że czyni na nim silniejsze niż dawniej wrażenie.

I nie myliła się. Piękność Dagmary, obecnie więcej uduchowiona i pełna wyrazu, rozpała zmysły Wenera Hollmanna. Poza tym sławny malarz należał do owych ludzi, dla których nie istnieją panny, mężatki natomiast mają specjalny urok. I hrabia Ginter miał duże

powodzenie. Panie darzyły go względami, z drugiej zaś strony panowie ubiegali się o względy Dagmary. Panie rozwinęły cały arsenał zalotności, by zwabić Gintera w swe sidła, lecz wszelkie zakusy rozbiły się o jego niewzruszoną obojętność.

Dagmara spostrzegła niebawem, jakie wrażenie mąż jej wywiera na kobietach i skoro którejś z nich udało się zatrzymać go dłużej przy sobie, patrzyła z niepokojem w tę stronę. Ale zawsze mogła stwierdzić z zadowoleniem, że wszelkie usiłowania spływają po nim bez skutku.

Nie miała pojęcia, że i on również z tym samym niepokojem śledzi jej stosunek do otaczających ją mężczyzn. Najbardziej niepokoiło go, gdy zbliżał się do niej Hollmann. I księżę Ludwik wydawał mu się niebezpieczny. Z wrodzonym krytycyzmem zadawał sobie pytanie, z jakiego źródła wypływa ów niepokój, aż wreszcie znalazł odpowiedź: to wygląda na zazdrość.

Zastanowił się nad tym i zaraz odsunął tę myśl od siebie, że jest śmieszna.

Tam, gdzie jest zazdrość, musi istnieć i miłość, a przecież nie kocham mojej żony. Zgaszony ogień nie rozpała się na nowo.

Wmawiał to sobie, nie chciał bowiem wyznać, że żar roztlął się w popiołach i z wolna ogarnął go płomieniem. W wirze towarzyskiego życia, które absorbowало Dagmarę, miłość nie sprawiała jej takiej udreki, jak dawniej. Niewiele pozostawało jej czasu do dumania nad sobą. Bale, festyny, rauty i wieczorki zajmowały każdy dzień. Powstał projekt bazaru dobroczynności pod protektoratem panującej księżnej. Cały dwór był w ruchu, do którego wciągnięto i Dagmarę. Objęła na festynie dział sprzedaży kwiatów. Własnym kosztem kazała postawić kiosk, gdzie za bajońskie sumy sprzedawała kwiaty. Miała ogromne powodzenie. Księżę Ludwik ofiarował jej swą pomoc i zanim otwarto bazar, kwiaty z kiosku zostały rozsprzedane. Wówczas Dagmara sprowadziła nowy zapas kwiatów i znowu rozsprzedała je do ostatniego listeczka. Przy zamknięciu bazaru mogła wręczyć komitetowi sumę bardzo okazałą.

W parę dni potem hrabiostwo Taxemburg wydali wspaniałe przyjęcie jako rewanż dla całego towarzystwa. Odbyło się ono w wielkiej sali hotelu, w którym mieszkali.

Dagmara napisała ojcu, że postanowili nie kupować ani nie wynajmować willi w rezydencji, gdyż na parotygodniowy pobyt znaleźli dobry hotel, gdzie w razie potrzeby mogli urządzić większe i mniejsze przyjęcia. Było to wygodniejsze, niż prowadzenie własnego domu, gdyż życie towarzyskie i jego obowiązki pochłaniały każdą chwilę. Ginter podzielał zdanie żony, miała więc nadzieję, że i ojciec uzna słuszność jej pobudek. Chcąc zaś ugościć kogoś dłużej, można zaprosić do Taxemburgu.

Radca odpowiedział:

- Róbcie jak uważacie za stosowne, ale proszę, aby was nigdzie nie brakło, gdy idzie o reprezentację. Przynależność do elity nakłada obowiązki, tak samo bogactwo.

Toteż hrabiostwo Taxemburg zaprosili do siebie na wieczór towarzystwo. Przyjęcie było wykwintne i wypadło wspaniale. Dagmarze udało się nadać mu oryginalną cechę i nastrój całego wieczoru od początku do końca był bardzo ożywiony.

Była to poniekąd ostatnia zabawa sezonu. Dagmara cieszyła się już na myśl o powrocie do Taxemburgu. Nęciło ją zwłaszcza, że przeżyje tam okres wiosny, budzącej naturę do życia.

Gdy mąż sądził, że porwana wirem życia światowego, lęka się powrotu do cichego zamku, ona tęskniła za Taxemburgiem. Kiedy pewnego wieczoru wracali do hotelu z jednej z ostatnich zabaw, Ginter zapytał ją:

- Jak długo zamierzasz jeszcze bawić tutaj, Dagmaro?

Spojrzała na niego.

- Chciałabym jak najprędzej wrócić do domu, Ginterze - odparła bez namysłu.

Hrabiemu rozbłysły oczy.

- Nie będziesz się nudzić na wsi po tylu świetnych zabawach?

Dagmara potrząsnęła głową:

- Cieszę się, że będę znowu w domu... a zresztą, niedługo będziemy sami. Wkrótce po naszym powrocie przybędzie książę Ludwik. Poza tym ojciec życzy sobie, by Werner Hollmann namalował mój portret. Ty także powinieneś zdecydować się na to, myślę więc, że malarz przyjmie tę propozycję i również zjawi się w Taxemburgu.

Blask oczu Gintera zgasł.

- Nie wspomniałaś, że chcesz mieć portret malowany przez Hollmanna - rzekł szorstkim głosem.

Dagmara nie zauważyła jego niepokoju.

- Dopiero dziś rano otrzymałam od ojca list z tym życzeniem.

- Więc twój ojciec życzy sobie tego?

- Naturalnie, że i ja również. Gdybym chciała mieć swój portret, to tylko malowany przez Hollmanna. Podobają mi się jego portrety.

Ginter zacisnął zęby. Ale odpowiedział z pozornym spokojem:

- Więc proszę, wyznacz dzień naszego powrotu.

- Musimy jeszcze złożyć wizyty pożegnalne, Ginterze. Myślę jednak, że w przyszły poniedziałek będziemy mogli wyjechać.

- Dobrze, zajmę się przygotowaniem do wyjazdu.

Następnego ranka, przy śniadaniu, Dagmara pokazała Ginterowi list ojca, w którym jej pisał, że życzy sobie, by ją Werner Hollmann sportretował.

Galeria portretów rodzinnych hrabiów na Taxemburgu była dotychczas kompletna, pisał radca, więc pragnąłby za następną bytnością zobaczyć w niej swe dzieci. Radził córce, aby pozowała do portretu w dworskiej toalecie, z diademem brylantowym we włosach.

Ginter przeczytał ten list z bardzo nieprzyjemnym uczuciem. Myśl, że Werner Hollmann zabawi całe tygodnie w Taxemburgu, pobudziła znowu jego zazdrość.

Opanował się jednak i zapytał:

- Czy mówiłaś już o tym z Hollmannem?

Dagmara potrząsnęła głową.

- Nie, nie widziałam go jeszcze po otrzymaniu tego listu. Lecz i tak obiecaliśmy mu przecież, że przed wyjazdem będziemy w jego pracowni. Możemy wybrać się tam dzisiaj, by pomówić z nim o namalowaniu naszych portretów. Jak sądzisz?

- Owszem, możemy pójść. Że zaś twój ojciec jest w tym szczęśliwym położeniu, iż może płacić bajońskie sumy, pan Hollmann niewątpliwie przyjmie twoje zamówienie.

Zgryźliwa ironia kryła się w słowach Gintera.

Dagmara spojrzała na niego pytająco:

- Nie lubisz Hollmanna? Przecież to człowiek miły, dowcipny i niewątpliwie genialny.

- Tym gorzej, że zniża swą sztukę do kaprysów mody. Prawdziwy artysta nie powinien wchodzić w takie kompromisy. Poza tym ośmiesza się swą próżnością. Ale wybacz - zdaje się, że jesteś innego zdania.

- Podziwiam jego sztukę.

- No i trzeba przyznać, że jest pięknym mężczyzną.

Ginter irytował się w duchu na siebie, że się uniósł i wydał tak niekorzystny sąd o Hollmannie. Lecz było to ponad jego siły. Znadto dręczyła go zazdrość.

Dagmara nie domyślała się, co się w nim działo. Odpowiedziała swobodnie:

- O tak, jest pięknym mężczyzną i może przyczyniło się to do jego powodzenia.

- I ja tak sądzę. Panie z towarzystwa psują go swym uwielbieniem. To wyrobiło w nim próżność i zbytnią pewność siebie.

Dagmara roześmiała się.

- Po prostu irytuje cię Hollmann.

Ginter przygryzł usta.

- Mimo to zgadzam się, aby malował twój portret.

- Przecież obrazy jego są dobre. Mam więc nadzieję, że opanujesz swoją niechęć do niego i zgodzisz się, aby równocześnie z moim wymalował i twój portret.

- Jeśli twój ojciec pragnie, bym figurował obok ciebie w galerii antenatów na zamku, to naturalnie nie mam nic przeciwko temu.

Gdyby Dagmara przeczuwała cokolwiek z jego istotnych uczuć, z pewnością liczyłaby się bardziej z jego niechęcią do Hollmanna. Ale w nieświadomości swej traktowała ją dość lekko i spokojnie powiedziała do Gintera.

- Możemy więc zaraz dziś przed południem pójść do niego z tą propozycją. Dobrze?

- Owszem, jak sobie życzysz.

W dwie godziny potem Ginter czekał na Dagmarę w przedsiionku hotelowym.

Miała na sobie elegancki granatowy kostium z kołnierzem z niebieskich lisów, zarzuconym na szyję. Piękny kapelusz z rajerem dopełniał wytwornej całości. Mimo męczącego sezonu zabaw, spędzonego w rezydencji, Dagmara wyglądała przedziwnie świeżo i młodo. Ginter nie mógł się dość napatrzeć na nią. Gdy wsunęła rękę pod ramię, które jej podał, przycisnął ją lekko do siebie.

Podniosła na niego oczy.

- Lękałem się, żebyś mi nie umknęła, Dagmaro. Słowa te miały podwójny sens. Pomógł jej wsiąść do powozu. Zapowiedzieli się Hollmannowi telefonicznie. Droga nie była daleka.

Malarz przyjął ich w pięknie urządzonej pracowni; ubrany w aksamitną kurtkę i czapkę oryginalnego kształtu, wyglądał wprawdzie malowniczo, lecz uroda jego nabrała w tym stroju cech zniewieściałych. Zastali u niego kilka osób, dwóch panów i cztery panie, które ze słodkimi minami prawily mu komplementy; malarz przyjmował je z łaskawym uśmiechem.

Wygląda jak rozkapryszona primadonna - pomyślał Ginter.

Skończony portret jakiejś księżnej stał właśnie na sztalugach w korzystnym oświetleniu i Ginter mimo swej niechęci musiał przyznać, że obraz ma znamiona wielkiego talentu. Podziwiał sztukę artysty i wyznał sobie w duchu, że istnieją wszelkie dane, by portret Dagmary, malowany przez Hollmanna, wypadł jak najlepiej.

Dagmara z żywym zainteresowaniem oglądała różne obrazy i szkice, żałując, że Hollmann jako człowiek stał się o tyle mniej sympatycznym, o ile z drugiej strony zyskał jego talent.

Gdy przez chwilę zatrzymała się sama przed portretem księżnej, Hollmann zbliżył się do niej. Utkwił pałające oczy w jej subtelnym profilu.

- Hrabino, piękność pani rozkwitła niebezpiecznie, odkąd widziałem panią po raz ostatni! Nie zdaję sobie sprawy, co teraz przemawia z rysów pani, lecz budzą we mnie pragnienie przelania ich na płótno. Niestety, powiada mi mąż, że państwo wyjeżdżacie w poniedziałek.

Dagmara zwróciła się do niego z uśmiechem. Nie przykładała wielkiej wagi do tych pochlebnych słów, jak w ogóle do wszelkich komplementów.

- W tym wypadku nasz wyjazd nie ma znaczenia. Jeśli naprawdę ma pan ochotę namalować mój portret, to nasze życzenia zgadzają się pod tym względem. Chciałabym bardzo mieć portret pańskiego pędzla.

Werner Hollmann ogarnął Dagmarę zaborczym spojrzeniem.

- Naprawdę, pani hrabino? Pani mnie uszczęśliwia - rzekł głosem stłumionym.

Dagmara skinęła głową ze swobodnym uśmiechem.

- Przyszliśmy do pana właśnie z propozycją, aby pan przyjechał do nas i namalował nas oboje do galerii portretów rodzinnych na zamku.

Oczy Wenera zalsniły pewnością zwycięstwa. Sądził, że propozycję tę zawdzięcza Dagmarze. Wymownym gestem ujął jej rękę i mocno przycisnął do ust.

- Więc moje najgorętsze życzenia miałyby się spełnić? Jakże mam pani dziękować!

Dagmara pozostała nieczuła na urok, który zwykle Hollmann wywierał na serca kobiece.

Spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

- Najlepszym podziękowaniem dla mnie będzie udany portret. Kiedy możemy się pana spodziewać w Taxemburgu?

- W każdej chwili, którą pani wyznaczy, hrabino. Jak pani widzi, ukończyłem właśnie portret księżniczki Izabelli i na razie nie jestem niczym związany. Proszę więc postanowić, kiedy mam się stawić w Taxemburgu, a będę do pani usług. Jakież to dla mnie ponętne zadanie, utrwalić na płótnie urok pani rysów! - I znowu z gorącym oddaniem podniósł jej rękę do ust.

Hrabia Ginter, wciągnięty w rozmowę przez panów, spoglądał ukradkiem na obojga. Nie mógł dojrzeć twarzy Dagmary, lecz zdobywcze spojrzenie malarza i jego pochlebny wyraz, nie uszedł jego uwagi.

W chwili, gdy malarz tak gorąco całował rękę Dagmary, podszedł do nich nagle.

- Wspomniałam właśnie panu Hollmannowi o naszych portretach, Ginterze. Może natychmiast przystąpić do tej pracy, na razie bowiem jest wolny - rzekła Dagmara spokojnie.

- Tak jest, panie hrabio, proszę mną rozporządzać. Cieszę się bardzo, że będę miał

miłe zadanie uwiecznienia obrazu dwóch tak interesujących postaci. Głowa pańska zainteresowała mnie tak samo, jak hrabiny Dagmary - dodał Hollmann.

Mówił z tym samym zapalem, który cechował jego rozmowę z Dagmarą, gdy była sama.

Hrabia Ginter był znowu zły na siebie za swoje wzburzenie. „Doprawdy, jestem zazdrosny o każdego mężczyznę, który zbliży się do mej żony. Co to ma znaczyć?”

Pohamował gniew i odpowiedział uprzejmym tonem:

- Doskonale, panie Hollmann, po naszym powrocie będziemy oczekiwać pana lada dzień w Taxemburgu. Proszę tylko wyznaczyć termin przyjazdu.

Ustalono więc dzień przybycia malarza. Młoda para pozostała jeszcze kilka minut w pracowni Hollmanna. Nadeszła chwila pożegnania. I znowu Werner Hollmann złożył gorący pocałunek na rękę Dagmary. Na ten widok porwała Gintera chęć odepchnięcia go od żony. Ale zaraz stłumił w sobie ten niewczesny poryw.

- Nie jestem przecież szaleńcem! Co to wszystko ma znaczyć? - zapytał się w duchu, zły na siebie.

ROZDZIAŁ XIX

Hrabiostwo Taxemburg wyjechali nazajutrz. Dagmara była podniecona. Po raz pierwszy w życiu odczuwała dziwną tęsknotę za domem. Przeświadczenie, że niedługo znajdzie się u siebie, przepoiło ją rozkosznie ciepłym uczuciem.

Wyjechali z hotelu na stację. Pociąg, który miał zawieźć ich do domu, był już gotowy do odjazdu. Służba zarezerwowała im miejsca w wagonie i poukładała podręczne bagaże.

Ginter z pieczołowitością pomógł żonie wsiąść i poprowadził ją przez zatłoczone wagony do przeznaczonego dla nich przedziału, gdzie ją umieścił wygodnie. Mieli jechać tylko dwie godziny koleją. Pociąg jechał dalej na południe, oni zaś wysiadali na najbliższej stacji, gdzie był dłuższy przystanek. Gdy siedzieli już naprzeciw siebie, różni spóźnieni pasażerowie snuli się jeszcze po korytarzu, szukając wolnego miejsca. Dagmara i Ginter przyglądali się im.

- Z pewnością ktoś dojdzie do naszego przedziału, Ginterze, gdyż pociąg jest przepełniony - rzekła Dagmara.

- Mam nadzieję, że nie, ale jest to możliwe. Ponieważ jednak niedługo będziemy

jechali, można będzie wytrzymać. Może niemilo ci będzie jechać w obcym towarzystwie?

Dagmara potrząsnęła głową.

- Przecież za dwie godziny będziemy już na miejscu.

W tej chwili konduktor ukazał się przed drzwiami, spojrzął na numer wagonu i wszedł do środka.

- Są tu wolne miejsca, prawda?

Ginter w milczeniu wskazał na puste miejsca. Konduktor skinął głową.

- Druga klasa jest przepełniona, a pewne młode małżeństwo chciałoby dopłacić do pierwszej. Zdaje się, że są w podróży poślubnej i źle się czują w tym tłoku.

I konduktor mrugnął domyślnie oczami, jakby chciał powiedzieć:

„W ten sposób spotkają się dwie młode pary w podróży poślubnej”.

Hrabia Ginter wzruszył ramionami, a Dagmara odwróciła się i wyjrzała przez okno. Konduktor cofnął się na korytarz.

- Więc proszę państwa, tu są wolne miejsca - zwrócił się do pasażerów i załatwił sprawę dopłaty z młodzieńcem, który z mocno zaczerwienioną twarzą, skarżył się na przepełnienie w wagonach.

Ów pan, ubrany z wyszukaną starannością modnisią, mimo to wyglądał nieco pospolicie. Mógł uchodzić za komiwojażera, a jego sposób mówienia, głośny i dosadny, odpowiadał także temu typowi.

Ginter i Dagmara spojrzeli na siebie z westchnieniem:

- Nie potrwa to długo, Dagmaro - pocieszył ją Ginter.

Skinęła potakująco głową.

- A nawet może być zabawne. Ciekawam, czy zagniewany pan udobrucha się niedługo?

- Miejmy nadzieję, że młoda żona ukoi jego wzburzenie.

Po tej cichej rozmowie zagniewany mężczyzna wkroczył do przedziału. Zwarł stopy i sprężył się w ukłonie, dbając o sztywny wygląd swej osoby.

- Przepraszam, państwo pozwolą - rzekł, wrzucając na półkę nowiutką walizkę podróżną. Za nim ukazała się w przedziale postać niewieścia. Twarzy nie było jeszcze widać, gdyż zasłaniała ją barczysta figura małżonka.

Wreszcie mąż odsunął się:

- Choć, Lizo, tu w rogu jest jeszcze dość miejsca - przemówił nagle rozsierdzony małżonek słodziutkim głosem.

W tejże chwili Dagmara i Ginter ujrzeli znajomą, aż nazbyt znajomą twarz. Osobą,

która weszła do przedziału, była Liza Rothberg, a raczej Liza Karner, jak się zwała od wczoraj. Oboje z mężem byli w podróży poślubnej.

Dagmara wzdrygnęła się i spojrzała na męża. On również od razu poznał dawną narzeczoną, a twarz jego w jednej chwili poszarzała i spochmurniała. Niespodziewanie wyłoniło się z przeszłości zło, jakie wyrządziła mu ta kobieta. Ściągnęły się mięśnie jego twarzy, a zęby zacisnęły.

Dagmara zdrętwiała. Niepokój, troska o niego, boleśnie ścisnęły jej serce. Jak bardzo musiał go przejąć jej widok! A ona, Dagmara, nie mogła nic uczynić, aby go uspokoić, nie mogła nawet zdradzić się, że wie, kim była Liza Rothberg! Drżąca i blada siedziała na swym miejscu, spoglądając nieznacznie na jego zmienioną twarz. A potem rzuciła ukradkowe spojrzenie na Lizę.

Ta ostatnia spostrzegła Gintera, siedząc już na kanapie wagonu. Zerwała się nagle jakby chciała uciec i znowu bezsilnie opadła na siedzenie.

- Hop, hop, Lizo! - zawołał rozbawiony małżonek, sądząc, że wstrząśnienie wagonu podrzuciło jego żonę.

Rumieńce zniknęły z twarzy Lizy. Wyraźnie zmieszana patrzyła na swego byłego narzeczonego, który ukazywał jej twarde, niewzruszone oblicze, jakby jej nie znał.

Gdy opanował pierwsze wrażenie, żaden rys jego twarzy nie zdradził, że ta kobieta nie była mu obca.

Odwrócił się z czołem zmarszczonym i utkwiał ponury wzrok w oknie wagonu.

Liza spuściła powieki i spod oka spojrzała na Dagmarę.

Oczy ich spotkały się. Spoglądały na siebie wzrokiem nieubłaganych wrogów i znów odwróciły spojrzenia.

Dagmara cieszyła się, iż Ginter nie przypuszcza, że zna Lizę Rothberg. Nie mogłaby bowiem zachować nadal wobec niego pozornej swobody.

Niespokojna spojrzała badawczo na Gintera. Był wciąż bardzo blady, a mięśnie jego twarzy drgały od tajonego wzburzenia.

Więc jeszcze ją kocha i cierpi - pomyślała Dagmara, prawie zdruzgotana bólem i trwogą o męża.

Lecz myliła się bardzo. Istotnie, Ginter był wzburzony - lecz nie z powodu miłości do Lizy, czuł bowiem, że mu zubożniała i nie pojmował jak mógł kochać ją kiedykolwiek - ale, że dla tej zdradzieckiej istoty zgładził ludzkie istnienie.

Zbudziło się w nim dręczące wspomnienie chwili, gdy w jego oczach przyjaciel padł pod ciosem jego ręki.

I tak w ciasnym przedziale siedziały trzy osoby, nękanie jedną udreka, a niezdolne przerwać męczącego spotkania zanim pociąg stanie. Nieświadomy był tylko pan Karner, mąż Liza. Usiadł przy niej, objął ją bez ceremonii ramieniem i zasypywał żartobliwymi czułościami. Starał się przy tym zabawić ją niesmacznymi żartami, narzekając raz po raz na ten nieznośny tłok, który im nie pozwolił dostać oddzielnego przedziału.

- Płacąc za bilety pierwszej klasy, powinno się jednak mieć przedział dla siebie.

Liza Karner siedziała jak na mękach. Starła się ukradkiem dać mężowi znak, aby wobec obcych osób powściągnął swe czułości. Lecz subtelność była słabą stroną pana Kamera. Roześmiał się głośno.

- Daj spokój Lizo, wszakże to również młoda para, wobec nich przecież nie będziemy się krępować - powiedział głosem przyciszonym. Lecz Ginter i Dagmara mimo to usłyszeli.

Ginter ocknął się z odrętwienia i spojrzął na żonę.

Przeraził ją i zasmucił jego ponury wygląd. Lecz nic nie powiedziała. Nie powinien spostrzec, że wie, kto siedzi obok nich.

- Proszę, podaj mi książkę - rzekła po chwili. Podał jej przygotowany tomik. Dagmara wzięła go do ręki i pozornie zagłębiła się w jego treści. Ginter trzymał gazetę przed oczyma. Doszedł ich dosadny szept Kamera:

- Słuchaj, Lizo, ci dwoje nie są tak zakochani, jak my.

Dagmara zacisnęła usta, nie ważąc się spojrzeć na Gintera. Jego zaś na widok nieposkromionych pieszczot, którymi pan Karner obsypywał żonę, przejęło uczucie niesmaku. Był zadowolony, że mógł się zasłonić gazetą, a jego żona była zajęta książką. W ten sposób miał czas zapanować nad sobą.

Godziny dłużyły im się w nieskończoność. Wreszcie pociąg zatrzymał się na stacji i Ginter pomógł żonie wysiąść. Twarz miał niby wykutą z kamienia.

Liza Karner, wyrzawszy nieznacznie przez okno, spoglądała za nimi. Widziała, jak Ginter i Dagmara w otoczeniu służby skierowali się do pięknego samochodu. Lokaj otworzył drzwiczki pojazdu, Ginter usadowił w nim Dagmarę.

Liza Karner westchnęła po cichu.

Te dwie godziny były dla niej prawdziwą pokutą.

Gdy pociąg ruszył, ujrzała za budynkami stacji auto mknące szosą wzdłuż toru kolejowego długą chwilę równo z pociągiem. Po jakimś czasie ukazał się w głębi zamek Taxenburg. Liza Karner widziała samochód skręcający z szosy, by wjechać na leśną drogę, wiodącą wprost do zamku, który malowniczo i dumnie wznosił się na górskiej kopule.

Długo patrzyła na imponujący zamek, aż znikł jej sprzed oczu.

Tam mogłam mieszkać, na górze, jako pani tego zamku, gdybym...

Nie snuła dalej tej myśli. Utknęła na słowie „gdybym”, „... Gdybym dochowała wierności”.

Nie chciała tak dokończyć.

W następnych godzinach pan Karner niewiele miał pociechy z młodej żony. Była w złym humorze i bardzo niezadowolona z losu, który przecież stworzyła sobie sama.

Patrzyła na męża spod oka. Jak pospolity wydawał się jej teraz, w porównaniu z hrabią Taxemburgiem.

Skrupiło się teraz na nim, że nie została hrabiną, chociaż on nic w tym nie zawinił.

Spostrzegła również, że nazwisko Karner brzmi mało arystokratycznie. Ubolewała w duchu nad nieszczęściem, jakie jej los zgotował.

ROZDZIAŁ XX

Przykre wrażenie spotkania Lizy Karner długo gnębiło Gintera, wywołując wspomnienia przeszłości. Wyglądał ponuro i smutno, a Dagmara sądziła, że miłość do byłej narzeczonej wskrzesiła dawny ból.

To przypuszczenie zabiło w niej nadzieję, która nieznacznie i z wolna zaczęła kiełkować w jej sercu, tak jednak nieśmiało, że prawie podświadomie.

Czuła się nieszczęśliwa po tym niefortunnym spotkaniu, które w sercu jej męża rozjątrzyło gojącą się ranę. Obawa, by teraz nie zdradzić się ze swą miłością, owładnęła nią jeszcze silniej. Duma jej buntowała się, że musiała kochać człowieka, któremu była obojętna. Więc teraz, po powrocie do Taxemburgu, zamknęła się bardziej w sobie i była jeszcze bardziej chłodniejsza, niżeli w poprzednich miesiącach.

Ginter zauważył to. Gdy wreszcie otrząsnął się z ponurych wspomnień, które go przygnębiały i mógł całą uwagę zwrócić znowu na żonę, spostrzegł z głębokim zmartwieniem jej chłodną obojętność. Nowa chmura smutku powlokła więc jego czoło, a zazdrość zbudziła się w duszy.

Nie mam szczęścia w miłości - pomyślał.

Ale dopiero po chwili stwierdził, że ta myśl była wyznaniem przed sobą samym miłości do żony. Zawahał się chwilę i chciał wmówić w siebie, że to nedorzecznosc. Lecz zaraz przytaknął energicznie głową:

- Tak... tak... kocham ją... kocham gorąco i tkliwie, i zazdrosny jestem o każdego mężczyznę, którego obdarza uśmiechem. Nie mam szczęścia w miłości. - Pierwsza kobieta, w której się zakochałem, zdradziła mnie, chociaż przede mną udawała miłość, druga jest zbyt dumna, by udawać miłość, której nie odczuwa. Lękam się, bardzo się lękam, czy nie kocha innego.

I oto ponury nastrój zaciążył nad młodą parą. Żyli obok siebie, bardziej sobie obcy niż dawniej, choć serca ich rwały się ku sobie. Jedno obserwowało drugie z tajonym niepokojem. Obcowali ze sobą przy tym z jednakową chłodną uprzejmością.

Dagmara nie przestała wprawdzie tęsknić za Taxemburkiem, lecz mimo to doznawała uczucia, że nie znalazła w nim tego, czego oczekiwała. Nastął czas słony i chmurny, zgodny z ich nastrojami. Nie mogli wyjeżdżać ani wychodzić. Na wieś wybrała się Dagmara raz tylko, a dzieciarnia wiejska powitała ją owacyjnie. Widok uradowanych dzieciaków, głośnie objawy ich uciechy, gdy czepiały się jej sukni, nie chcąc jej puścić od siebie, rozgrzały jej zmrożone serce. Zaprosiła całą zgraję do zamku na czekoladę z ciastkami. Zjawiły się w komplecie i wesołą wrzawą nappełniły dużą salę.

Dagmara brała udział w tym wszystkim, ale z ciężkim sercem. Martwiło ją przygnębienie męża, a nie przeczuwała wcale, że sama jest jego przyczyną. Wtedy czuła tylko pełne zadowolenie, gdy siedząc przy maszynie, przepisywała jego rękopis.

Ginter spojrział na nią badawczo, gdy zażądała dalszego materiału.

- Czy naprawdę chcesz pracować dalej? Nie znudziło cię to? - zapytał.

Dagmara potrząsnęła głową z uśmiechem:

- Wcale mnie to nie nudzi, a nie mam zwyczaju przerywać w połowie pracy. Daj mi tylko nowe arkusze do przepisywania.

Ginter spełnił jej życzenie.

A potem, niespodziewanie, przyjechał na dwa dni niezapowiedziany gość, jej ojciec. Chciał dla pewności mieć ustne sprawozdanie z zabaw dworskich.

Był bardzo zadowolony z opowiadań obojga, że zaś młoda para siliła się przed nim na dobry, wesoły humor, powiedział do Gintera, kiedy zostali sami:

- Cieszę się, że wasze pożycie ułożyło się szczęśliwie. Więc jednak miałem rację. Wyobraź sobie, że Dagmara początkowo broniła się stanowczo przed tym małżeństwem. Stawiała mi opór i musiałem nawet zabrać się do rzeczy dość energicznie. Obawiałem się, że w ostatniej chwili odmówi ci swego słowa, miałem bowiem wrażenie, że się bardzo zacięła. Lecz gdy cię zobaczyła zmiękł jej opór, co zaraz zauważyłem. Bez żadnych sprzeciwów przyjęła twoje oświadczenia. No, a teraz sędzę, że oboje możecie być z siebie zadowoleni.

Te słowa dały Ginterowi wiele do myślenia. Zaczął znowu rozważać, czy Dagmara nie pod przymusem dała mu słowo. Broniła się początkowo. Więc nie nęcił jej tytuł hrabiny Taxenburg, gdyż w takim przypadku, nie broniłaby się. Ale dlaczego przyjęła go tak łatwo?

To było dla niego niejasne. I znowu przypomniał sobie teraz, jaka była zmieszana, gdy zastał ją nad listami z zielonej szkatułki.

Co to były za listy? Czemu tak skwapliwie ukrywała je przed nim?

Czy było coś w przeszłości między nią a Hollmannem i czy te listy pochodziły od niego? Jeśli tak, to czy właśnie myśl o nim wywołała ów wzrok tęskny, marzący, który pochwyił u niej raz w hallu? Zacisnął usta z irytacją. Lecz zaraz odepchnął od siebie to przypuszczenie, jako coś niegodnego. Nie, to nie mogło być prawdą. Dagmara nie mogłaby zapewnić go tak stanowczo i poważnie, że nie kocha innego, gdyby było przeciwnie. Musi w to uwierzyć, aby odzyskać spokój. Ale... oszukano go już raz, gdy wierzył całym sercem. Więc mimo wszystko cień wątpliwości pozostał mu na dnie duszy.

Im bardziej więc zbliżał się dzień, w którym Werner Hollmann miał przybyć na zamek, tym bardziej wzmagał się niepokój Gintera.

Uderzyło Dagmarę, że wydaje się zmęczony i wyczerpany, że jest bez humoru i apetytu. Zatroaskała się tym, wiedząc, że w tym wypadku nic mu pomóc nie może. Ginter zabrał się ostro do pracy, aby zagłuszyć nurtujący go niepokój. Miał teraz wiele zajęć w cieplarniach. Zapowiadały się dobre wyniki z doświadczeń, jakie poczynił, co było dla niego źródłem wielkiego zadowolenia. Przy stole rozmawiał z Dagmarą jedynie o roślinach i o swojej książce. Okazywała mu wiele zainteresowania i często odwiedzała z nim cieplarnie. Przepisując jego rękopis, weszła w krąg jego myśli tak gruntownie i ściśle, że zdziwiła go łatwość, z jaką opanowała trudny materiał książki. Nie wiedział, że miłość była jej mistrzynią.

A potem nadszedł dzień, na który Hollmann zapowiedział przyjazd. Urządzono mu atelier w północnej przybudówce, gdzie mógł swobodnie pracować.

Ginter z przykrością przyjął jego przyjazd, lecz Dagmara odetchnęła. Miała nadzieję, że ta odmiana będzie zbawienna dla Gintera, odrywając jego myśli od przykrych tematów. Werner Hollmann był bowiem miłym towarzyszem, a potem miał przybyć książę Ludwik. Wówczas humor Gintera poprawi się na pewno.

Mogła sądzić, że spełnią się jej przewidywania. Werner Hollmann był tak szczerze uradowany przyjazdem do Taxenburgu, że po części stłumił obawy Gintera. Dagmara była w stosunku do gościa spokojna i naturalna, Hollmann zaś w obecności Gintera miarkował swe zapały.

Ginter odetchnął więc lżej, zzymając się w duchu na siebie za swe niewczesne podejrzenia. Lecz, gdy Dagmara zostawała sama z Hollmannem, gdy w pracowni pozowała mu do portretu, malarz wpadł znów w uwodzicielską manierę, którą zawracał głowy kobietom i mówił do niej tonem, który miał być nieprzewyciężony. Ale dla Dagmary nie był zupełnie niebezpieczny. Wszelkie zdobyczne zakusy umiała odparować lekkim i ciętym dowcipem, co jednak na zapalną naturę malarza działało jak rozniecanie płomienia. W Dagmarze gra ta budziła jedynie większą pewność siebie. To, że sławny malarz, psuty przez najpiękniejsze kobiety, był tak zachwycony jej urodą, stanowiło dla niej dowód, że była atrakcyjna.

Hollmann miał zwyczaj zapadać w głębokie milczenie, gdy się zagłębił w pracy. Mimo, że był lekkomyślny i próżny, sztuka była dla niego rzeczą świętą. Całą duszę wkładał w swe prace, dlatego też były doskonałe. Gdy malarz milczał, milczała Dagmara. Zatapiała się wówczas w tęsknym marzeniu o mężu. I ten miękki wyraz jej rysów utrwalił Hollmann w portrecie. Zjawiał się zawsze, ilekroć artysta potrzebował go, gdyż ukazywał się na twarzy Dagmary zawsze, kiedy malarz milczał. Gdy Hollmann dla wypoczynku odkładał paletę i pędzel, albo gdy wchodził Ginter, Dagmara z przestrachem budziła się z zadumy.

Ginter przychodził często, nie dla towarzystwa malarza, ale pod wpływem zazdrości. Nie było mu wolno przyglądać się portretowi, ani zbliżać się do sztalugi.

- Pokazuję obrazy dopiero po ukończeniu, inaczej bowiem widz odnosi fałszywe wrażenie. Kto widzi obraz w czasie roboty, nie może wyrobić sobie o nim zdania, jest to możliwe dopiero, gdy jest ukończony - mawiał Hollmann.

I stale po skończonym posiedzeniu zasłaniał obraz. Wychodząc zamykał też zawsze pracownię na klucz.

Równocześnie zaczął portret Gintera, pracując kolejno to nad jednym, to nad drugim.

Był bardzo pilny i uśmiechnął się, gdy Dagmara spytała go raz, czy jest usposobiony do pracy.

- Gdy tylko staję przed sztalugą, jestem usposobiony do pracy.

- A przecież powiadają, że artysta musi czekać na natchnienie.

Hollmann spojrzał jej w oczy głęboko.

- Malarz, który w pani obecności czekałby na natchnienie, może zawiesić na kołku swą sztukę. Jeśli mam przed sobą model, który nie budzi mego upodobania i nudzi mnie, to ja wmawiam w siebie, że muszę czekać na natchnienie. Lecz tu, w Taxemburgu, jest mi to niepotrzebne. Dwoje ludzi, których portretuję, cudowne otoczenie, bajeczna atmosfera starego zamku i... fluid, jaki z pani promieniuje na mnie, to doskonałe warunki do spełnienia mego

zadania.

Tyle prawdziwego uniesienia drgało w głosie Hoffmanna, że Dagmara nie mogła wziąć mu za złe tych słów.

Powiedziała więc przekornie:

- O, obesłoby się nawet bez fluidu, mistrzu Hollmannie.

Malarz nie odpowiedział. Nie wiedział, jak daleko może się posunąć wobec Dagmary.

ROZDZIAŁ XXI

Mniej więcej w tydzień po przybyciu Hollmanna zjawił się w Taxemburgu książę Ludwik. Przyjechał bez świty, jedynie z adiutantem baronem Lebachem oraz kamerdynerem.

Wschodnia przybudówka, jeszcze niezamieszkała, odkąd Dagmara przybyła na zamek, została przygotowana dla księcia i jego towarzyszy.

Książę Ludwik był w wesołym, prawie chłopięcym nastroju.

- Cieszyłem się na myśl o pobycie tutaj, jak uczeń, którego czekają wakacje. Przygotujcie się państwo, że będę broił u was, jak uczniakowi przystoi. Panu von Lebachowi stają już włosy na głowie ze zgrozy. Ale jeżeli raz nieco popuszczę sobie cugli, nie wypaple tego - powiedział roześmiany po przywitaniu.

Dagmara, jako pani domu, przyjmowała gości z ujmującym wdziękiem. Nie uległo wątpliwości, że wszyscy czterej panowie, nie wyłączając barona Lebacha, ulegli jej czarowi.

Książę Ludwik był zdziwiony, spotkawszy Wenera Hollmanna w Taxemburgu. Lecz nie psuło mu to nastroju. Słyszając, że Hollmann maluje portret hrabiny, rzekł:

- Zazdroścę panu, szczęśliwce. Pod płaszczykiem sztuki może pan godzinami wpatrywać się w hrabinę i nikt nie może panu nic zarzucić. Jakże żałuję, że nie jestem malarzem!

Powiedział to tak zabawnie, że nawet Ginter musiał się roześmiać. Zorientował się rychło, że ze strony księcia nic mu nie zagraża. Książę nie krył się wprawdzie z uwielbieniem dla Dagmary, zachowywał się wobec niej z rycerską uprzejmością i prawil komplementy, mimo to jednak, w mniemaniu Gintera, nie przekraczał nigdy dozwolonych granic. Nie przeszkadzało to, że Ginter był o Dagmarę zazdrosny, o kogokolwiek chodziło, nawet o barona Lebacha. Każdy, do kogo żona się uśmiechała, na kogo spojrzała życzliwiej, budził w nim to uczucie. Najwięcej jednak niepokoił go Hollmann. Było coś w wyrazie jego oczu, gdy

patrzył na Dagmarę, co nękało Gintera i budziło w nim troskę, choć w słowach nie umiałby wyrazić przyczyny tych uczuć. Nie mógł przeciwdziałać temu, gdyż malarz musiał studiować rysy, by je odtworzyć na płótnie. Gdy wiedział, że Dagmara jest w pracowni sam na sam z malarzem, dręczył go niepokój, nękało zniecierpliwienie i o ile sam nie mógł tam być również, był zadowolony, gdy przynajmniej księżę Ludwik lub pan von Lebach brali udział w posiedzeniu.

Księżę Ludwik interesował się bardzo cieplarniami Gintera. Obaj panowie zachodzili tam często i bawili długo, wiodąc wyczerpujące dyskusje naukowe. W ten sposób odrywał Ginter myśl od gnębiącej go troski, stał się weselszy i żywszy.

Tymczasem wiosna rozwinęła swoje powaby. Wszystko kiełkowało, pięło się do słońca, aż radość było patrzeć. Dagmara co dzień przez godzinę grała w tenisa z panami. Odbywała też w ich towarzystwie długie przejażdżki konne. Była doskonałą amazonką i świetnie siedziała na koniu.

Werner Hollmann brał również udział w tych przejażdżkach, chociaż nie był dobrym jeźdźcem i nie prezentował się dobrze na koniu.

Pewnego dnia całe towarzystwo przejeżdżało przez wieś. Znaleźli się nad dużą łąką, na której bawiły się wiejskie dzieci. Zaledwie ujrzały Dagmarę, powstała wielka wrzawa.

- Pani hrabino, czy dostaniemy dziś cukierki? - zapytało jedno z nich śmiało.

Hrabina podjechała do grupy dzieci i roześmiała się do nich:

- Dzisiaj nie, nie mam ich przy sobie. Ale jutro przyjadę tu o tej porze i wtenczas będą cukierki.

Przyrzeczenie zadowoliło dzieci, pewne, że hrabina dotrzyma słowa.

- Nie pobawisz się troszkę z nami, pani hrabino? - spytało małe, miłe dziewczątko.

- Nie dzisiaj, Basiu, kiedy indziej.

Panowie przysłuchiwali się tej rozmowie.

- Musimy być obecni, gdy pani hrabina będzie rozdzielać słodycze, może i nam się coś dostanie.

Spojrzenia Dagmary i Gintera spotkały się równocześnie i Dagmara zarumieniła się po uszy. Oboje przypomnieli sobie, jak tam, nad rzeką, Ginter wziął sobie należną część słodyczy. Oczy Gintera rozbliły przy tym dziwnie, lecz czoło zasepiła mu chmura.

Dagmara, siląc się na swobodę, zwróciła się do panów:

- Nie wiem, czy te słodycze miałyby powodzenie u księcia, są to bowiem najpospolitsze cukierki.

- Gdy hrabina rozdziela je swymi rączkami, zmieniają się w ambrozję - wtrącił

Hollmann, kierując swego wierzchowca w stronę Dagmary.

Ale Ginter uprzedził go szybko. Wjechał koniem między Hollmanna i Dagmarę.

Z drugiej strony Dagmary książe Ludwik cwałował na swym wierzchowcu. Toteż ku zadowoleniu Gintera, Werner Hollmann znalazł się na końcu kawalkady. Utworzył z panem von Lebachem straż tylną. Dagmara jechała między mężem i księciem, który z ożywieniem rozmawiał z piękną panią, zapewniając znowu, że czuje się w Taxemburgu znakomicie.

ROZDZIAŁ XXII

Tygodnie mijały szybko, wiosna była już w pełni krasy, a przed oczyma Dagmary królestwo jej roztaczało co dzień nowe powaby. Z okien wieżowego pokoju, gdzie tak chętnie przebywała, wzrok jej rozmiłowany w pięknie, zaznawał nieustannej rozkoszy.

Mąż jej chwilowo nie miał czasu pracować nad swą książką. Tyle ważnych spraw spoczywało obecnie na jego barkach, że dalszy ciąg pracy nad książką odłożył do następnej zimy. Dagmara nadażała z przepisywaniem, więc teraz nie miał już dla niej dalszej roboty. Codziennie za to chodziła z nim i księciem Ludwikiem do cieplarni, gdzie jedne po drugich rozwijały się kwiaty tropikalne. Były to dla Gintera błogie, miłe chwile. Cieszył się zainteresowaniem, jakie Dagmara okazywała jego doświadczeniom. Książe Ludwik czuł się tak dobrze w towarzystwie młodej pary o wysokiej kulturze duchowej, że po skończonym urlopie przedłużył jeszcze swój pobyt. Chciał bezwarunkowo doczekać się zakwitnięcia jednej z roślin, której kwiat miał być cudownie piękny i lada dzień rozwinąć się z pąka. Ginter kazał fotografować zupełnie rozkwitłe kwiaty oraz różne fazy ich rozwoju, gdyż potrzebował tych zdjęć do swego dzieła. W tym celu sprowadził młodego fotografa, ponieważ administrowanie majątkiem żony dawało mu tyle zajęcia, że na fotografowanie nie miał już czasu. Zanadto sumiennie i poważnie traktował zawsze swe obowiązki, by je teraz zaniedbać. W tym okresie ważnych robót w polu był w ruchu od wczesnego rana.

Dość ciężko było mu objeżdżać całymi godzinami pola, gdy goście bawili przy Dagmarze.

Werner Hollmann pracował bardzo pilnie. Portret Dagmary malował najczęściej wówczas, gdy mąż jej był poza domem. Robił wszystko co możliwe, by zdobyć serce Dagmary, która dotychczas nie traktowała poważnie tych umizgów, zbywając lekkimi żartami mniej czy bardziej wyraźnie znaczone hołdy. Ale im dłużej bawił malarz w Taxemburgu, im

bardziej wpatrywał się w szczegóły piękności pani zamku, tym silniej rozpalał się w nim płomień namiętności.

Artysta, tak bardzo dotychczas psuty przez wszystkie kobiety, nie chciał po prostu wierzyć, by jego zdobywcze wysiłki miały pozostać płonne. Sądził, że żarty Dagmary to zwykle sztuczki zalotności kobiecej, zmierzające do tego, by go tym pewniej ujarzmić. Jej pozorna niewzruszoność pobudzała go coraz silniej i coraz śmielsze były jego zdobywcze manewry.

Szybko odkrył chłodny, konwencjonalny stosunek młodej pary, dlatego też zwycięstwo nad opornym sercem hrabiny wydawało mu się możliwe. Za dobrze bowiem znał kobiety, by nie poznać wkrótce, że Dagmara nie jest bynajmniej tak chłodna, jak się pozornie wydaje, zwłaszcza wobec męża. Zdawało mu się niewątpliwie, że dawno już dopiąłby celu, gdyby księżę Ludwik ze swym adiutantem nie stali mu na drodze. Obaj panowie bawili często w pracowni, kiedy Dagmara pozowała i zabawiali ją rozmową, gdy malarz nie był zajęty malowaniem jej głowy. Ponieważ wówczas wymagał absolutnego spokoju i radzi nieradzi panowie musieli opuszczać pracownię. Dagmara była zadowolona z obecności swoich gości, gdyż Hollmann coraz wyraźniej i natarczywiej zabiegał o jej względy. Z niecierpliwością wyglądała już końca tych pozowań.

Księżę Ludwik okazywał jej również bardzo żywą sympatię, lecz między jego hołdami a umizgami Hollmanna istniała wielka różnica. Księżę okazywał jej cześć i gorące uwielbienie, pamiętając jednak zawsze, że była cudzą żoną. Natomiast Hollmann zdawał się zapominać o tym często i wobec niego musiała Dagmara ciągle mieć się na baczności.

Hrabia Ginter ufał księciu bezwzględnie, tym bardziej, że któregoś dnia powiedział mu w zaufaniu, iż z Taxemburga wybiera się do jednego z zaprzyjaźnionych dworów, gdzie go swatają z pewną księżniczką.

Natomiast Hollmann wydawał się Ginterowi coraz niebezpieczniejszy. Niezawodnym instynktem zazdrości odgadł, że Hollmann uwikłał się w namiętność do Dagmary. Nie mógł wybadać, jak Dagmara reaguje na to. Świadomość, że spędza z nim długie godziny, wystarczała, by jego niepokój zamienił się w udrękę. Jedyłą jego pociechą była obecność księcia, który przeważnie dotrzymywał towarzystwa Dagmarze, gdy Ginter był w polu.

Od dawna już młody hrabia uświadomił sobie, że kocha żonę. Pomyślał, że odetchnie lżej dopiero, gdy malarz odjedzie. Miał uczucie, że wówczas wielkie niebezpieczeństwo, grożące jego miłości, zostanie szczęśliwie zażegnane. Dlatego pragnął gorąco, by Hollmann jak najprędzej skończył oba portrety.

Księżę Ludwik wyjechał; mimo najszczerzej chęci nie mógł pozostać dłużej. Miał

odwiedzić znajomy dwór według ułożonego programu. Z westchnieniem pogodził się z losem. Przy pożegnaniu z właścicielami zamku powiedział serdecznie:

- Mam nadzieję, że nie po raz ostatni gościłem u łaskawych państwa; w najmielszej pamięci zachowam piękne dni, które spędziłem tu w pogodnej swojskiej atmosferze.

Ucałował ręce Dagmary i serdecznie uściśnął dłoń Gintera.

- Mamy oboje nadzieję i szczerze pragniemy, by wasza wysokość jak najrychlej zaszczycił i uradował nas znowu swymi odwiedzinami.

Księżę Ludwik westchnął.

- Gdy tylko uda mi się znaleźć odpowiedni moment. Niestety w najbliższej przyszłości nie mam na to widoków. Ale może nieco później trafi się okazja i znajdzie wolna chwila. W każdym razie mam niepłoną nadzieję, że na przyszłą zimę zobaczą państwa w rezydencji. Obiecuję mi to pani, hrabino?

Dagmara spojrzała mu serdecznie w oczy, w których malował się prawdziwy żal pożegnania.

- Niezawodnie zobaczymy się znowu, na szerokim świecie, księżę - powiedziała.

Raz jeszcze ucałował jej rękę. Po czym zwrócił się do malarza.

- Żegnam pana, mistrzu. Mam nadzieję, że będzie mi dane podziwiać portrety hrabiostwa w galerii portretów rodzinnych w Taxemburgu. Zazdrośnie strzegł pan ich przed moim wzrokiem, lecz wobec pańskiego mistrzostwa nie ulega wątpliwości, że będą doskonałe. W każdym razie zobaczę pana w rezydencji.

Hollmann złożył głęboki ukłon.

- Ufam, że będę miał ten zaszczyt.

- Długo jeszcze zabawi pan w Taxemburgu?

- Będzie mi jeszcze potrzeba trzech do czterech tygodni, by ukończyć swą pracę.

- W takim razie ma pan jeszcze przed sobą szereg dni godnych zazdrości. A zatem, do widzenia w rezydencji.

Hollmann ukłonił się księciu głęboko, po czym pożegnał się z panem von Lebachem, księżę zaś raz jeszcze uściśnął dłoń pana domu i ucałował rękę pani.

Ze smutnym, zrezygnowanym uśmiechem spojrzał w piękną twarz Dagmary. Po czym wsiadł do samochodu i odjechał wraz z adiutantem.

Ginter i Dagmara stali w bramie zamkowej, patrząc na odjeżdżający samochód. Dagmara zwróciła się do męża.

- Czy nie zauważyłeś, że księżę miał oczy dziwnie zrezygnowane i smutne?

Ginter skinął głową.

- Tak, ciężko mu było odjeżdżać. Rzadko trafia mu się przeżyć kilka dni swobodnie, bez etykiety, jak tutaj. Poza tym, powiem ci w zaufaniu, że jedzie teraz poznać pannę, z którą go swatają. Jego zaręczyny z księżniczką Elżbietą są rzeczą zdecydowaną. Myślę zaś, że serce jego skłania się raczej ku innej.

Przy tych słowach Ginter spojrział bystro na żonę.

Ona jednak wytrzymała jego wzrok swobodnie.

- Sądziś, że kryje w sercu nieszczęśliwą miłość?

Ginter nie spuszczał z niej oka.

- Tak, sądzę. Nic nie zauważyłaś?

Dagmara potrząsnęła głową:

- Nie, nic. A zresztą jak mogłam zauważyć? Czy znasz tę osobę?

- Tak, znam ją.

- Czy i ja znam ją również?

- Z pewnością, ty również.

- Powiedz mi jej nazwisko. Kto jest tą wybranką?

Hrabia spojrział na nią poważnie. Czy naprawdę niczego się nie domyślała? Czy nie spostrzegła, że książę Ludwik żywił dla niej ciche, tłumione uczucie?

- Naprawdę, nie domyślasz się, Dagmaro?

Zdumiona potrząsnęła głową.

Ginter ujął ją za ramię i spojrział jej prosto w oczy.

- Ty nią jesteś, Dagmaro.

Dagmara wzdrygnęła się:

- Ginterze!

Hrabia skinął potakująco głową.

Dagmara odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się.

- Mało brakowało, a byłbyś mnie przestraszył. Lecz jesteś w błędzie, Ginterze. Książę lubi mnie bardzo i prawil mi komplementy, nic więcej. Gdyby mnie kochał, sama spostrzegłabym to najpierw.

Ginter westchnął.

- Czy sądziś, że nie można ukryć miłości?

Twarz Dagmary zapłonęła rumieńcem i patrząc poza niego, odpowiedziała szybko:

- Oczywiście, można ukryć miłość... Ale widzisz... Ja przypuszczam, że gdyby mnie ktoś pokochał, odczuwałabym to z pewnością. Nie, nie, jestem pewna, że się mylisz.

Hrabia roześmiał się z jej zdecydowania.

- W każdym razie księżę Ludwik to człowiek, który potrafi walczyć z uczuciem, nie mającym przyszłości.

- Mam nadzieję i wierzę, że w każdym razie będzie szczęśliwy w pożyciu z księżniczką Elżbietą. Zasluguje na to, jest dobrym, szlachetnym człowiekiem.

- Tak, to bezsprzeczna prawda.

Po tej rozmowie rozstali się w hallu, by przejść do swych pokojów.

Werner Hollmann wziął się znowu do pracy. Po pół godzinie oczekiwał Gintera w pracowni, by dalej malować jego portret.

ROZDZIAŁ XXIII

Minęło kilka tygodni.

Dagmara skończyła partię tenisa z Hollmannem. Mąż jej był od wczesnego ranka w polu.

Gdy wchodzili do sieni zamkowej oznajmił im służący, że hrabia Ginter właśnie powrócił.

Dagmara kazała podać śniadanie za godzinę. Pożegnała Hollmanna i poszła się przebrać do siebie. Zmieniła zgrabny kostium tenisowy na suknię z miękkiego, niebieskiego jedwabiu, w której było jej bardzo do twarzy. Gdy była gotowa, przeszła do wschodniego skrzydła odwiedzić męża w pracowni. Z poranną pocztą otrzymała od ojca list, o którego treści chciała z mężem pomówić, zanim przy śniadaniu zasiądą z Hollmannem.

Weszła do pracowni Gintera, spodziewając się, że go tam zastanie. W pokoju nie było nikogo. Ale szuflada biurka była wysunięta, a gdy otworzyła drzwi, przeciąg powietrza z okna porwał ćwiartkę papieru. Padła pod jej stopy. Dagmara schyliła się, by ją podnieść i w tej samej chwili własne pismo na ćwiartce zwróciło jej uwagę.

Przestraszyła się zrazu, w jaki sposób dostał się list pisany jej charakterem pisma do biurka w pracowni Gintera? Ale zaraz uśmiechnęła się ze swego przestachu, gdyż jasno i wyraźnie widniał na liście podpis: „Bezimienna”.

Mimo to serce tłukło się niespokojnie w jej piersi. Jeżeli Ginter przechowuje ciągle te listy od Bezimiennej, widocznie miały dla niego jakąś wartość. W chwili, gdy się podniosła, trzymając list w ręku, w drzwiach zjawił się Ginter.

Zdziwiony spojrział na żonę, której nie spodziewał się tutaj i spostrzegł w jej ręku

ćwiartkę papieru, podniesioną z podłogi. Zarumieniona podała mu ją.

- Przeciąg był, gdy otworzyłam drzwi i porwał tę kartkę - rzekła.

Ginter wziął list z jej ręki i złożył do paczki, leżącej na wierzchu w szufladzie. Potrzebując czegoś, przeszukiwał dziś biurko. Wpadły mu przy tym w ręce te listy i odczytał jeden z nich. W tej chwili odwołano go w jakiejś sprawie, a gdy powrócił, znalazł list w rękach Dagmary.

Ale nie ukrył tych listów przed jej wzrokiem, lecz pozostawił na biurku.

- Czemuż zawdzięczam rzadko zdarzającą się sposobność widzenia cię u siebie?

- Chciałam ci pokazać list ojca i omówić z tobą pewne rzeczy, zanim zasiądziemy do śniadania. Dlatego przyszłam do ciebie.

Uprzejmie przysunął jej krzesło.

- Usiądź, proszę. Czy dobrze bawiłaś się podczas mojej nieobecności? Widziałem cię wracającą z Hollmannem z kortu tenisowego.

- Tak, zagraliśmy kilka partii. Ale Werner Hollmann nie jest tak dobrym partnerem, jak księżę Ludwik i pan von Lebach.

- No, ostatecznie rakieta to nie paleta. W każdym razie jeśli Hollmann nie jest dobrym partnerem tenisowym, jest za to bardzo miły w rozmowie.

- Owszem. Gdy i on wyjedzie, zrobi się u nas cicho i pusto. Ale wracam do listu ojca. Może przeczytasz go, by wiedzieć, o co chodzi.

Hrabia Ginter wziął list i przeczytał go. Ojciec Dagmary pisał w sprawie rozmaitych życzeń, które przedłożyła mu Dagmara. Chciała wybudować nową szkołę dla wsi, a dawną zamienić na przytułek dla bezdomnych starców.

Ojciec zgadzał się na spełnienie jej życzeń, chciał jednak zmienić to i owo w jej planach. Omówili wszystko i Ginter rzekł znowu:

- Jesteś dobrą i miłosierną panią dla ludzi z twojej wsi.

Dagmara spojrzała na męża pogodnie.

- Na kogo Bóg nakłada poważne obowiązki, temu daje i rozum.

I znowu przeszła do bieżących spraw.

Siedzieli naprzeciw siebie, jakby prócz tych spraw codziennych nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia.

Ukończywszy rozmowę udali się razem na śniadanie. Podano je w małej jadalni. Tam spotkali się z Hollmannem. Jak zawsze był on nienagannie ubrany, z elegancją modnisią, używał doskonałych perfum, lecz w wielkiej ilości. Smukłą jego postać uwydatniało korzystnie dobrze leżące ubranie. Cała powierzchowność zdradzała staranną pielęgnację ciała.

Rozmowa toczyła się na pozór swobodnie, lecz między Ginterem a Hollmannem krążyły wrogie prądy, o których istnieniu Dagmara nic nie wiedziała.

Nie miała pojęcia jak bardzo mąż jej musiał panować nad sobą, by znosić malarza, choćby tylko przy stole. Podczas posiłku zapytał go Hollmann:

- Czy po śniadaniu mógłby pan pozować mi godzinę, hrabio?

Ginter oczekiwał gorączkowo wyjazdu Hollmanna po ukończonej pracy i nie chciał ze swej strony spowodować opóźnienia.

- Naturalnie, jestem do dyspozycji, skoro mnie pan potrzebuje - powiedział.

Po śniadaniu więc obaj panowie przeszli do pracowni. Rozmawiali znowu o obojętnych sprawach, a gdy Hollmann zajął się pracą, nastąpiła cisza. Przy niej malarz zapomniał o wszystkim... i o tym, że zazdrościł swemu modelowi pięknej żony. Malował z zacięłą gorliwością, a Ginter zmuszał się do spokoju, aby siedzieć nieruchomo i nie przerywać pracy malarzowi.

W niespełną godzinę Hollmann odłożył paletę, pędzel i wstał.

- A więc, panie hrabio, to byłoby ostatnie posiedzenie, miałem już tylko kilka pociągnięć, dla rozjaśnienia obrazu. Portret pański jest skończony, zaś portret hrabiny ukończę w ciągu tygodnia.

Hrabia Ginter podniósł się i rozprostował ciało. Siedzenie w przymusowym bezruchu było ciężkim zadaniem dla tego człowieka czynu.

- Czy mogę zobaczyć? - zapytał.

Hollmann poprawił sztalugę, aby na portret padło korzystne światło.

- Portret jest skończony, panie hrabio, można już teraz obejrzeć go dokładnie. Jeśli pan pozwoli, każę poprosić panią hrabinę, byście państwo wspólnie wydali o nim sąd.

Hrabia Ginter zgodził się.

- Owszem, proszę pana.

Hollmann zadzwonił i wydał polecenie służącemu.

Tymczasem hrabia Ginter stanął przed portretem i musiał przyznać, że był arcydziełem. Jakby własne odbicie patrzyło nań ze zwierciadła.

Wypowiedział to sumiennie. Mimo tajonej niechęci do Hollmanna, nie mógł mu odmówić sprawiedliwej oceny.

Gdy Dagmara zobaczyła portret, oczy jej rozbłysły. Długo stała przed nim w milczeniu. Była do głębi wzruszona. Jak cudownie oddał Hollmann chmurny, bolesny wyraz oczu, ostre rysy wokół ust ze znamieniem energii. W radosnym podnieceniu zwróciła się do malarza, podając mu rękę impulsywnym ruchem.

- Mistrzu! Nie mam słów, by wyrazić panu, jak bardzo podziwiam jego sztukę. Stworzył pan wspaniałe arcydzieło!

Werner Hollmann uśmiechnął się. Wiele próżności i buty malowało się w tym uśmiechu. Wpił w nią oczy, w których tliły się niespokojne iskierki.

- Jest pani zadowolona? - zapytał miękko.

Dagmara skinęła głową, zapominając w tej chwili o wszystkim, co zwykle raziło ją w malarzu.

- Moim zdaniem ten portret jest nadzwyczajnie udany, prawda Ginterze?

Hrabia Ginter, błędnie tłumacząc sobie zachwyty Dagmary zapłonął wzmożoną zazdrością. Nie domyślał się wcale, że radość tę budził w Dagmarze dobry portret męża, portret, w który będzie teraz mogła wpatrywać się do woli i bez skrępowania.

Ale mimo udręki zazdrości, należało uczciwie dać świadectwo prawdzie.

- Już przed chwilą mówiłem panu Hollmannowi, że stworzył arcydzieło. Mam nadzieję, że twój portret wypadnie równie dobrze, szczerze tego pragnę.

- I o tym przekona się pan niebawem, hrabio. Jeszcze kilka dni cierpliwości - rzekł Hollmann.

Nie zdradził się, że portret właściwie był już ukończony. Zataił to, nie chcąc opuszczać Taxemburgu, zanim osiągnie swój cel - zdobycie pięknej hrabiny. Dni, które mu pozostały, wolne już od pracy, chciał wykorzystać dla siebie.

- Musimy zaraz przeznaczyć miejsce dla portretu w galerii, Ginterze - rzekła żywo Dagmara, spojrzawszy raz jeszcze na obraz.

Udali się do sali w środkowej części zamku, gdzie znajdowała się galeria portretów rodzinnych. Wyszukali odpowiednie miejsce.

Tego samego popołudnia Dagmara miała długie posiedzenie w pracowni. Nie przeczuwała, że Hollmann dla pozorów tylko trzymał w ręku pędzel i paletę. Korzystając skwapliwie ze swych praw malarza, wpatrywał się bezustannie w model, gawędząc wbrew swemu zwyczajowi.

- Czy rozmowa nie przeszkadza dziś panu? - zapytała Dagmara.

- Nie, pani hrabino, pracuję już tylko nad suknią. Mogę więc pozwolić sobie na przyjemność pogawędki z panią.

- Jeśli wolno mi przeszkodzić, to miałabym prośbę do pana.

- Proszę tylko rozkazać, hrabino.

- A więc proszę ustawić portret mego męża w ten sposób, bym mogła na niego patrzeć, podczas gdy pan maluje.

Z głębokim westchnieniem odłożył Hollmann paletę i pędzel, by spełnić jej życzenie. Powiedział jednak z tłumionym wzburzeniem:

- Właściwie nie powinienem był tego zrobić. Żądać takiej rzeczy ode mnie, to jednak za wiele.

Dagmara spojrzała na niego zdziwiona.

- Jak to pan rozumie?

- Moim zdaniem, mąż pani zanadto jest przez los faworyzowany, by jeszcze oczy pani spoczywały na jego portrecie.

Dagmara spojrzała na niego surowo.

- Nie rozumiem pana.

- Czy portret będzie dobrze ustawiony? - zapytał malarz zamiast odpowiedzi.

- Dziękuję, dobrze.

Zrozumiała doskonale znaczenie jego słów i okazywała mu twarz nieprzystępną i chłodną.

Hollmann doprawdy przekraczał nieraz dozwolone granice, była więc zadowolona, że niedługo odjedzie. Choć podziwiała jego genialny artyzm i podobał się jej jako miły, wesoły towarzysz, raził ją bardzo sposób, w jaki się do niej zalecał. Byłaby mu dała zapewne energiczną odprawę, gdyby nie myśl, że trzeba unikać rozgłosu, a także, iż wkrótce odjedzie. Dzisiaj, gdy wzrok jego z wyrazem gorącego pożądanego spoczywał bezustannie na niej, odczuwała po raz pierwszy, że Hollmann jest pod wpływem nieposkromionej namiętności.

Mogło to ją nawet zaniepokoić, gdyby nie była tak bardzo pewna siebie. Niebezpieczeństwo nie istniało dla niej, skoro całym sercem należała do męża. Hollmann zaś rychło wróci do rozsądku, gdy mu zniknie z oczu. O jego pragnieniach i nadziejach nie miała najmniejszego pojęcia. Nie domyślała się również zazdrości męża. W przeciwnym razie nie byłaby tak spokojna. Nie wiedziała bowiem, iż Ginter kocha ją. Sądziła, że serce jego należy wciąż do dawnej narzeczonej.

Ze smutkiem stwierdziła, że na wszystkich mężczyznach, z którymi los zetknął ją teraz, wywierała głębsze wrażenie, tylko nie na nim, na mężu którego kochała.

Patrzyła w jego mistrzowsko odtworzone oblicze. Najchętniej byłaby powiesiła ten portret w swoim pokoju, by go mieć ciągle przed oczami.

Więc chociaż Hollmann irytował ją nieraz, nie mogła zapomnieć, że wymalował ten portret i to tak wymalował, iż serce jej rosło, ilekroć nań spojrzała.

W jej oczach zabłysł znowu tęskny, rozmarzony wyraz, który tak rozpromieniał Hollmanna. Przestał rozmawiać i pochłaniał ją gorącym wzrokiem. Westchnął głośno.

Dagmara podniosła oczy i przelęknęła się jego namiętnego, palącego spojrzenia.

Zerwała się jak do ucieczki, przejęta niepokojem. Ale na jej szczęście w tej samej chwili wszedł Ginter.

Została więc. Była jednak zmieszana i skępowana, a Hollmann również nie od razu zdobył się na swobodną rozmowę z Ginterem, który zauważył zaraz nienaturalność obojga i serce ścisnęło mu się boleśnie. Zazdrość jego zdobyła nowe uzasadnienie i tylko z wielkim trudem udało mu się utrzymać pozorny spokój.

Dagmara pierwsza odzyskała równowagę.

- Jeszcze raz obejrzałam dokładnie twój portret, Ginterze. Im dłużej na niego patrzę, tym więcej odkrywam w nim zalet. Mam nadzieję, że mój portret uda się panu Hollmannowi równie dobrze - rzekła, siląc się na swobodny ton.

Ginter przenikliwym wzrokiem spojrzał na malarza.

- Za kilka dni przekonamy się o tym, prawda, mistrzu?

Artysta odłożył pędzel i paletę.

- Tak, jeszcze tylko kilka dni cierpliwości. Na dziś dziękuję pani hrabino. Posiedzenie skończone.

- Więc pójdę się przebrać, do widzenia - rzekła Dagmara.

Obaj panowie odprowadzili ją wzrokiem. Tren toalety dworskiej wspaniale sunący za nią, wydłużał jej sylwetkę. Gdy znikła im z oczu odwrócili się obaj rozpoczynając obojętną rozmowę. Unikali przy tym swego wzroku.

Po chwili hrabia Ginter opuścił pracownię.

Werner Hollmann pozostał sam. Stał przed portretem młodej hrabiny, wpatrując się w niego płomiennymi oczyma, jakby w ten sposób mógł zahipnotyzować oryginał.

Fakt, że Dagmara tak bardzo drożyła się ze swą osobą, czynił ją dla niego tym bardziej pożądaną i cenną. Należał do ludzi, którzy nie umieją odmówić sobie niczego. W jego namiętności była spora doza uporu.

ROZDZIAŁ XXIV

Było to w dwa dni później.

Wstał cudowny wiosenny poranek, słońce grzało jak w lecie, powietrze pachniało, przesycone słońcem i wonią kwiatów. Dagmara kazała podać śniadanie na tarasie

zarkowym. Stała przy balustradzie, patrząc błyszczącymi oczami na dolinę poniżej góry zamkowej.

Jak piękna, jak cudownie piękna była jej ojczyzna!

Upojona tym widokiem Dagmara, rozpostarła ramiona. W tej właśnie chwili postać Wernera Hollmanna wyłoniła się obok niej.

- Prześliczna, porywająca - wyszeptał stłumionym głosem, wpatrując się rozgorzałym wzrokiem w jej smukłą, wdzięczną postać.

Dagmara przełękła się i opuściła ramiona.

- Ach, to pan, mistrzu Hollmann!

Malarz oddychał ciężko, podniecony.

- Tak, pani hrabino, to ja. Pragnąłbym raz jeszcze namalować panią. Z tymi wyciągniętymi ramionami. A potem pragnąłbym wmówić w siebie, że te ramiona wyciągały się do mnie. Wygląda pani dziś jak wcielenie wiosny, ta jasna suknia wdzięczniej otula pani postać, niż tren dworskiej toalety. Piękniejszego diademu, niż te cudowne sploty, nie ma dla główki kobiecej. Chciałbym rozpleść te włosy, aby jak złote fale spłynęły po pani ramionach, po tych rozkosznych, a jednak królewskich ramionach.

Ciemny rumieniec wystąpił na twarz Dagmary pod wpływem tych śmiałych słów. Tego było za wiele. Podniosła dumnie głowę. Obrażał ją jego palący wzrok.

- Panie Hollmann, jako artysta ma pan prawo do daleko posuniętej fantazji. Nie ma pan jednak przed sobą pierwszej lepszej modelki i proszę zmienić ton, jeśli nie mam zapomnieć, że pan jest gościem w naszym domu - rzekła dobitnie i zimno. Nigdy jeszcze nie odezwała się do niego w ten sposób. Twarz malarza pobladła, a oczy rozgorzały.

- Wybacz pani, hrabino, język wypowiedział zdradziecko to, co serce czuło - wyszeptał.

W tej chwili Dagmara zobaczyła męża na tarasie, nie chciała więc dłużej mówić o tej sprawie. Hrabia Ginter był w sportowym ubraniu, gdyż zaraz po śniadaniu miał zamiar wyjechać konno.

Dagmara opanowała się i pozostała przy Hollmannie, w obawie, że inaczej mąż mógłby się domyśleć, iż malarz posunął się za daleko, co musiałoby doprowadzić do niemiłych wyjaśnień. Miała jeszcze nadzieję, że sama zdoła utrzymać Hollmanna we właściwych granicach. Zresztą wyjazd jego był już niedaleki.

Mimo to obawiała się dzisiaj zostać z nim sama. Wydawał się jej bardzo podniecony. Umówili się na partię tenisa, ale teraz Dagmarze plan ten wydał się zbyt ryzykowny.

Ginter ucałował dłoń żony i powitał Hollmanna. Zasedli do stołu, a lokaj wniósł

półmiski.

Dagmara zastanawiała się, w jaki sposób ująć Hollmannowi bez zwrócenia uwagi. Wreszcie wpadła na dobry pomysł.

Rzekła z westchnieniem ulgi:

- Śliczny dziś dzień, Ginterze, chętnie towarzyszyłabym ci konno w pola, gdybyś chciał zabrać mnie ze sobą.

Każdego poranka Ginter z ciężkim sercem myślał, że znowu zostawia żonę z Hollmannem. Więc na te słowa serce zabiło mu mocniej.

- Naturalnie, cieszyłbym się bardzo z twego towarzystwa - odpowiedział.

- Ale musiałbyś poczekać, aż się przebiorę.

Ginter zaśmiał się tak wesoło, jak mu się teraz rzadko zdarzało.

- Wiem, że umiesz przebierać się szybko i chętnie zaczekam na ciebie.

Dagmara z pozorną swobodą zwróciła się do Hollmanna:

- W takim razie, panie Hollmann, muszę oczywiście zrezygnować z partii tenisa z panem.

Malarz zbladł. Ale zaraz skłonił się i odrzekł:

- Jak pani rozkaże, hrabino. Wykorzystam więc poranek na pracę nad pani portretem - odparł sztucznie opanowany, patrząc na nią z błagalną skruchą, czym ją nieco przeblągał. Wszakże był to artysta, którego nie można mierzyć miarą innych śmiertelników. Fantazja poniosła go za daleko, ale po dzisiejszej odprawie będzie powściągliwszy.

Po śniadaniu Dagmara udała się do swego pokoju. Pokojówka przygotowała jej strój tenisowy, ale hrabina wydała inne rozkazy.

- Podaj mi amazonkę, prędko, Jenny, śpieszę się - powiedziała.

Jenny pomogła jej zmienić suknię, a włosy splotła mocno, by się nie rozsypały przy jeździe. W kilka minut Dagmara była gotowa i zeszła na dół.

Ginter oczekiwał ją przy koniach i patrzył na nią rozjaśnionymi oczami.

Pomógł jej dosiąść konia, ułożył fałdy amazonki i wsunął w strzemiona jej wąskie nóżki, w wysokich butach. Potem sam wskoczył na wierzchowca i pomknęli szybko, nie zważając na Hollmanna, który z okien pracowni śledził ich płomiennym wzrokiem.

Kiedy zjeżdżali z góry zamkowej w ten jasny, wiosenny poranek, radość wezbrała w Dagmarze. I Ginter był w dobrym nastroju. Fakt, że Dagmara zamiast grać w tenisa z Hollmannem, sama zaproponowała mu konną przejażdżkę, ucieszył go jak dar niespodziewany. Znowu starał się wmówić w siebie, że obawa o Hollmanna była tylko wytworem jego wyobraźni, pobudzonej przez zazdrość. Możliwe, nawet prawdopodobne, że

malarz odczuwał dla Dagmary coś więcej, niż zwykle uwielbienie, lecz czyż koniecznie miało stąd wypłynąć, że w Dagmarze budził jakieś żywsze uczucie? Nie, gdyby Dagmara miała dla niego więcej niż zwykłą sympatię, nie byłaby dzisiaj odjechała z własnej woli.

Tak sobie myślał. Jechali przez las, oboje w świetnych humorach. Od stóp góry zamkowej ruszyli żwawszym tempem, a w końcu pomknęli obok siebie jak wicher. Roześmiani wstrzymali konie za lasem, gdzie ludzie pracowali w polu.

Podjeżdżali do każdej grupy, a Dagmara cieszyła się, że Ginter jest wesoły. Zauważyła, że umie sobie radzić z ludźmi, którzy z zaufaniem wznosili głowy ku niemu. I ona zwracała się do nich z dobrym słowem, wypytując o rzeczy związane z ich pracą. Swoim łagodnym obejściem umiała rozwiązywać ciężkie zazwyczaj języki. Poza tym młoda hrabina zjednała sobie ich serca dobrocią, jaką okazywała ich dzieciom. Cenili to w niej bardzo.

Gdy Ginter załatwił swoje sprawy, zabrali się do odjazdu. Powoli jechali obok siebie, zwlekając z powrotem.

Rozmawiali ze sobą żywo i Ginter rzucił jakby mimochodem.

- Zostawiłaś pana Hollmanna jego losowi, będzie mu się czas dłużył.

Dagmara wzruszyła ramionami.

- Prawda, że z mojej strony było prawie niegrzecznie odwoływać umówioną partię tenisa. Ale ten śliczny poranek tak odpowiedni do konnej przejażdżki, był zbyt silną pokusą. Taki dalszy spacer w piękną pogodę, to cudowna rzecz. Gdybym wiedziała, że ci nie będę zawadzać, towarzyszyłabym ci częściej.

Ginter rozpromienił się. Ale Dagmara nie zauważyła tego, zajęta swoim wierzchowcem, który czymś przestraszony, odskoczył w bok nerwowo.

- Cieszyłbym się bardzo, Dagmaro.

- Ale musisz mi powiedzieć otwarcie, jeżeli bym ci kiedyś przeszkadzała.

- Na pewno nigdy mi nie przeszkodzisz. I naprawdę ogromnie się cieszę na myśl o twoim towarzystwie. Taka długa, samotna jazda bywa niekiedy nudna. Ale czy nie będzie cię męczyć siedzenie przez tyle godzin na koniu?

- Wątpię, mogę w każdym razie spróbować.

Ginter spojrzał na nią badawczo.

- A pan Hollmann? W takim razie byłby pozbawiony tenisa?

Dagmara zmieszana się, gdyż przypomniała sobie śmiałość Hollmanna dziś rano. Ginter zauważył to i zaniepokoił się znowu. Dagmarze przyszło na myśl, że mąż jej nie powinien spostrzec, iż unika towarzystwa Hollmanna. Odpowiedziała więc szybko:

- Hollmann odjeżdża wkrótce. Póki jeszcze będzie u nas, mogę się wyrzec konnej

jazdy. Ale potem chętnie będę ci towarzyszyła.

Blask jego oczu zgasł. Jej zmieszanie obudziło w nim znowu dręczącą zazdrość. Co znaczyło to zmieszanie? Dlaczego odwołała dzisiejszą partię tenisa? Czyż nie szło jej o to tylko, by uśpić jego zazdrość? Czy ją spostrzegła? Może się tego przelekła?

Zrobiło mu się gorąco.

Jeżeli obawiała się jego zazdrości, to chyba istniał do niej powód.

Czerwone plamy zawirowały mu przed oczyma. Ściągnął cugle tak mocno, że koń stanął dęba.

To go oprzytomniło. Dokąd go prowadzi ta nedorzeczna zazdrość? Dagmara nie dała mu do niej powodu i winien trzymać się jej słów, że jego nazwisko uważa za powierzone jej dobro, które zawsze cenić będzie wysoko. Gdyby naprawdę miał powód do zazdrości, przyszłaby do niego i powiedziała mu wprost, że kocha Hollmanna. Ułatwił jej takie wyznanie i wiedziała dobrze, że gdyby jej serce naprawdę zwróciło się do Hollmanna, może się to stać bez winy i grzechu. Zapewne, takie wyznanie jest ciężkie dla kobiety. Ale Dagmara to dumny, szczery charakter. Nie poniżyłaby się do zdrady i ukrywania. Może jednak sama jest jeszcze niepewna, czy kocha Hollmanna. A jeśli to jego już kocha od lat całych, jeśli od niego były owe listy, które przed nim ukryła, to jeszcze teraz zdobędzie się na odwagę, przyjdzie do niego, Gintera, i powie: „Wprowadziłam cię w błąd, chciałam zwalczyć uczucie, które zataiłam przed tobą. Lecz ono odżyło, odkąd zobaczyłam człowieka, do którego należy me serce”.

I tak nękał się przypuszczeniami własnej wyobraźni. W ciszy i zadumie wrócili oboje z przejażdżki do domu.

ROZDZIAŁ XXV

Tymczasem Hollmann puścił wodze rozognionym myślom. To powiadał sobie, że lepiej zaraz wyjechać, aby uciec od ogarniającej go namiętności, to znowu żądza domagała się: „Nie, nie odjedziesz bez ucałowania tych pięknych słodkich ust, musisz ją wziąć w ramiona, choćby tylko raz”.

Głos rozsądku przemawiał: „Jest niemożliwie cnotliwa, piękna kobieta nie powinna być tak cnotliwa, tym bardziej, jeśli posiada zimnokrwistego męża. W małżeństwie o tak chłodnej temperaturze uczuć, najcnotliwsza żona musi w końcu stać się pastwą innego. A do

kroćset, tym innym będę ja”!

Namiętne pragnienia lekkoducha unosiły się nad nią, jak dzikie, spłoszone ptaki.

Nie wziął sobie do serca jej dzisiejszej odprawy. Próżność nie pozwoliła mu przypuścić, że mogła naprawdę oburzyć się na niego. Może zamierzała tylko podsycić ogień w jego piersi? Kobiety to urodzone komediantki, mistrzynie w udawaniu. Znał je dobrze. Czyż drobne, zalotne sztuczki miałyby go odstraszyć? Nie, będzie miał nadal swój cel przed oczyma, nie opuści Taxemburgu, zanim nie ucałuje ponętnych ust Dagmary.

A jednak zdobędę cię słodka, miła hrabino. Musisz ugasić żar, który rozpałałaś.

Niespokojnie wałęsał się po pracowni, dopóki z dołu nie doszedł go stuk kopyt. Zbliżył się do okna i ujrzał młodą parę. Spozrzegłszy poważne miny obojga, pomyślał z zadowoleniem: „Znudziła się słodkiej, lubej kobietce ta małżeńska przejażdżka. To dobrze. Nie umknie mi tak łatwo”.

Spojrzał na zegarek. Nadeszła właśnie pora przebrania się do obiadu. Werner Hollmann uczynił to dziś, jak zawsze z drobiazgową starannością. Nie należał do artystów podkreślających rozmyślnie nonszalancję w manierach i ubraniu. Był stale wymuskany. Przy stole, siedząc naprzeciw hrabiny, opanował się w miarę możliwości i ze swym niezrównanym humorem, był znowu miłym towarzyszem. Jednego był pewien - hrabina nie wspomniała mężowi o jego śmiałym zachowaniu.

To umocniło go w nadziei ostatecznego zwycięstwa. Był bardzo pewny siebie.

Stosował tymczasem taktykę wstrzemięźliwości. Zamierzał pobić Dagmarę jej własną bronią, zrezygnował więc z popołudniowego pozwania do portretu.

- Mam jeszcze wykończyć szczegóły przy sukni pani hrabiny, nie będę zatem trudził pani dzisiaj.

Dagmarę ucieszyło to bardzo. Sądziła, że Hollmann, skruszony po swoim dzisiejszym nietakcie, pragnie ją przebłagać. Wobec tego traktowała go z dawną uprzejmością, a nawet po obiedzie własnoręcznie podała mu czarną kawę.

Hollmann udał się potem znów do swej pracowni, lecz nie żeby zabrać się do pracy - gdyż portret był skończony - tylko, by rzucić się na kanapę, palić jednego za drugim papierosa i wciąż rozmyślać o usidleniu Dagmary.

Hrabia Ginter poszedł do siebie a Dagmara była sama w swoim narożnym pokoju. Siedziała przy oknie, pogrążona w głębokim smutku. Zadała sobie pytanie, czy całe życie będzie wegetowała przy mężu jako niekochana żona. Spragnione serce rwało się do niego. Czyliż jej miłość była tak słabym, bez przyciągającej mocy uczuciem, że nie zdoła wywołać wzajemności? Wszak nie była brzydka i bez wdzięku. Dlaczego u innych mężczyzn budziła

żywsze uczucia, u tych, którzy byli jej obojętni, a ich miłość natrętna? Dlaczego właśnie ten, którego kochała, musiał żyć obok niej obojętnie, z sercem udreńczonym miłością do innej, miłością bolesną i zdradzoną?

Czegóż nie dałaby za jego uczucie! Nie było rzeczy, której by nie poświęciła radośnie za cenę tej miłości. Ciasno było jej w tym pokoju. Zateęskniła za przestrzenią, w nadziei, że tam ciężar jej duszy stanie się lżejszy. Włożyła kapelusz z szerokim rondem i wyszła do parku, który ciągnął się dokoła zamku, opadając tarasami w dół. Nie przypuszczała, że mąż jej siedzi przy oknie, towarzysząc jej wzrokiem.

Rozmarzone oczy Gintera szły za smukłą postacią w bieli. Pociągała go nieodparcie, jakkolwiek się bronił. Hollmann był zajęty w pracowni, gdyby więc teraz poszedł za Dagmarą, mógłby się znaleźć z nią sam na sam. A tęsknił już za tym, choć taka rozmowa we dwoje, zawsze przynosiła mu zawód. Nagle zdecydował się, wyszedł prędko z pokoju i jakby od niechcienia począł wałęsać się po parku, wybierając kierunek, w którym poszła Dagmara. Rozglądał się dokoła, aż wreszcie zamajaczyła mu biała suknia i ruszył za nią ostrożnie, cichaczem. Widział, że zatopiona w myślach, kroczy powoli przed siebie. Niekiedy zatrzymywała się, spoglądając machinalnie w dal. Aż wreszcie wyczerpana osunęła się na ławkę.

Chciał niby przypadkiem skierować się w tę stronę, gdy nagle ujrzał, że Dagmara zarzuciła ręce na poręcz ławki i ukryła w nich twarz. Cała jej postać drgała w tłumionym łkaniu. Stał jak urzeczony i rozszerzonymi z przerażenia oczyma patrzył na płaczącą kobietę. Tylko rozpacz mogła szukać sobie ujścia w ten sposób. Czyżby Dagmara była zrozpaczona?

Ona, która jak sądził, niezdolna była do silnego, głębokiego uczucia, płakała teraz, szarpana gwałtownym bólem.

Gintera niespokojne myśli plątały mu się po głowie.

Czyżby jednak została jego żoną pod przymusem? Może już od dawna kochała Hollmanna i tylko nie ważyła się wyznać mu tego? Czy ciążyły jej narzucone więzy?

Jak wryty stał tak przez chwilę, ze wzrokiem wlepionym w łkającą żonę. Dopiero, gdy Dagmara, odjąwszy ręce od twarzy, zaczęła ocierać łzy, wciąż jeszcze płynące spod powiek, ocknął się z odrętwienia i cicho usunął się w zarośla.

Nie pokazując się jej na oczy, powrócił do swego pokoju.

Tam padł na krzesło i pogrążył się w długiej zadumie.

Co miał teraz uczynić? Udać, że nie wie, iż żona żyje przy nim dławiona tajoną zgryzotą? Zapytać, czemu płakała i jaki ból ją trapi? Ale czy Dagmara odpowie mu szczerze?

Czyż nie prosił jej kilka razy, aby zawsze, z całym zaufaniem, zwróciła się do niego, jak do najlepszego przyjaciela? Wszak mogła być przekonana, że służyłby jej pomocą i radą, gdyby otwarcie zwróciła się do niego z wyznaniem, że kocha innego? Dlaczego teraz nie przyszła do niego z tym bólem?

Był pewien, że tylko nieszczęśliwa miłość była przyczyną tych łez. Inne zmartwienia, mogące wyciskać łzy z oczu, nie istniały dla niej. Czy należało narzucać się jej zaufaniu, gdy nie okazała mu go dobrowolnie? Co zrobić?

Czekać, czekać w udręce, aż wreszcie sama do niego przyjdzie, czy też zwrócić się do niej z zapytaniem?

Nie mógł się zdecydować.

Nabierał jednak coraz głębszego przekonania, że to Hollmann był powodem jej łez. Może jego rychły wyjazd zasmucał ją tak bardzo?

- Ale jakie w tym wszystkim było stanowisko Hollmanna?

Ginter stał niespokojny przy oknie i w napięciu czekał na powrót Dagmary z parku.

Jakby fizycznie chory, czuł ciężar wszystkich członków. Po pewnym czasie zobaczył, że się zbliżała. Szła wolnym, znużonym krokiem, a głęboki smutek malował się w jej rysach.

Widocznie przemogła się, będąc już blisko zamku, gdyż wypogodziła twarz i szybszym, elastyczniejszym krokiem minęła bramę.

„Czuje się nieszczęśliwa, a ja nie wiem co ją gnębi” - myślał ciągle.

W godzinę później siedział przy podwieczorku naprzeciw niej i Hollmanna. Opanowana, spokojna, gawędziła swobodnie z panami. Nie znać było po niej, że przed godziną gorzko płakała w parku. Jedynie oczy miały jeszcze zdradliwy, wilgotny połysk. Widocznie usunęła starannie ślady łez.

Gdyby Ginter nie widział jej w parku, nie zauważyłby teraz, że tak niedawno płakała. Przyszło mu na myśl, że może już nieraz potajemnie wylewała łzy. Głęboka, gorąca tkliwość wezbrała mu w sercu. Uświadomił sobie, iż kocha ją tak serdecznie, że każdą ofiarę gotów jest ponieść dla jej szczęścia. Czy każdą? Tak, każdą. Gdyby dla jej dobra było to potrzebne, gotów był zwrócić jej wolność, jakkolwiek nad wyraz ciężkie byłoby dla niego to rozstanie. Teraz dopiero poznał, jak bardzo stała mu się droga. Spojrzał na nią, głęboko zatroskany.

Uśmiechała się już. Ale ten śmiech bolał go.

Hollmann zachowywał się bardzo powściągliwie, usiłując wzbudzić w Dagmarze współczucie. Po części dopiął celu.

Widocznie chce mnie przebłagać za swój nietakt. Wybaczę mu chyba. Może nie byłby się ośmielił przemawiać do mnie w ten sposób, gdyby nie spostrzegł obojętności mego męża

dla mnie. Jest pewnie dobrym obserwatorem i zauważył słusznie, że w naszym małżeństwie brak tego, co najcenniejsze. Ale teraz, gdy dałam mu tak energiczną odprawę, nie poważy się znowu przekroczyć dozwolonej granicy. Nie będę się dłużej gniewać na niego. Niechaj te ostatnie dni przejdą już dla niego pogodnie.

ROZDZIAŁ XXVI

Następnego dnia Dagmara grała znowu w tenisa z Hollmannem. Z jednej strony uczyniła to, aby dać Hollmannowi dowód przebaczenia, z drugiej zaś, by Ginter nie zauważył, że w stosunku do Hollmanna stosuje pewną rezerwę. Udała się więc z nim na kort tenisowy.

Kilka razy Dagmara ze śmiechem zwróciła mu uwagę na popełnione błędy, aż wreszcie z rezygnacją opuściła rakieta, mówiąc:

- Gra pan dziś okropnie, panie Hollmann. Skończmy lepiej tę partię i przejdźmy się po parku.

Malarz zgodził się natychmiast.

- Niech mi pani wybaczy, jestem dzisiaj źle usposobiony - rzekł, podając jej biały, miękki płaszcz, który zwykła wkładać po grze.

Dagmara włożyła ręce do głębokich kieszeni płaszcza i podczas gdy służący zbierał piłki i doprowadzał kort do porządku, przechadzała się z Hollmannem po starannie utrzymanych ścieżkach.

- Szkoda, że jest pan dziś źle usposobiony, mistrzu - powiedziała.

- To dlatego, że zasłużyłem na niełaskę pani, niezmiernie mi przykro... - odpowiedział Hollmann.

Dagmara chciała przywrócić dobry nastrój.

- Więcej się to nie powtórzy - rzekła z uśmiechem przebaczenia.

Uśmiech ten wydał się malarzowi ponętny i obiecujący. Wyciągnął z niego fałszywe, a korzystne dla siebie wnioski. Westchnął głęboko.

- Nie mogę tego przyrzekać, hrabino, zapomina pani, że jestem artystą. Piękno czaruje mnie, ogarnia mnie zachwyt i przestaję wówczas liczyć się ze słowami. Tak stało się wczoraj rano. Gorzko odpokutowałem ten hołd, złożony pani urodzie.

Dagmara uśmiechnęła się.

- Moim zdaniem byłam bardzo pobłażliwa, właśnie ze względu na to, że mam do

czynienia z artystą.

Hollmann patrzył na nią błagalnie.

- Proszę się na mnie nie gniewać, jeśli się znów zapomnę. Czemuż przybyłem tutaj!

Dagmara chciała mu ułatwić sprawę.

- Taxemburg pójdzie wkrótce w niepamięć. Artyści zapalają się łatwo, lecz łatwo zapominają.

Oczy zabłyśły malarzowi triumfująco. Ach, więc jednak miał słuszność! Pragnęła tylko usidlić go silniej, zanim się uzna za zwyciężoną. Był teraz pewny siebie.

- Pani hrabino, nigdy, ale to nigdy nie zapomnę Taxemburgu i jego uroczej właścicielki - rzekł z westchnieniem, ukrywając zadowolenie.

Dagmara zwróciła się doń z uśmiechem.

- Niechże pan nie będzie taki chmurny, nie trzeba dobrowolnie zatruwać sobie ostatnich dni pobytu. Chcę zachować o panu miłe wspomnienie.

Malarz westchnął ponownie.

- Pomyśli pani o mnie czasami?

- Z pewnością, za każdym razem, gdy spojrzę na portret, malowany przez pana.

- Czy pani wie, że rozstanie się z nim będzie mnie wiele kosztowało?

- O, mogę sobie wyobrazić, że rozstanie się ze swym dziełem niełatwo przychodzi artyście.

Westchnął znowu.

- Nie chce mnie pani zrozumieć, ale jednak rozumie pani.

Nie chciała dłużej poruszać tego tematu, lecz rozmawiała z nim łaskawie i uprzejmie. Zauważyła, że się uwikłał w nieszczęśliwą miłość do niej. Było jej to przykre i przyjaznym, spokojnym obejściem pragnęła go z niej wyleczyć. Nie przeczuwała, że Hollmann tłumaczy sobie jej dobroć inaczej i marzy o zwycięstwie.

Zepsuty powodzeniem u kobiet, nie wątpił, że i tu zwycięstwo jest pewne. Najchętniej byłby od razu porwał ją w ramiona i okrył pocałunkami. Żar jego wzbierał coraz gwałtowniej.

Dotychczas bawił się tylko miłostkami, gdyż kobieta była dla niego łatwą zdobyczą. I teraz uczucie jego nie było właściwie poważne, lecz brał je na razie za prawdziwą miłość. Chciał osiągnąć cel, do którego dążył, niepowodzenie było bowiem dla niego rzeczą nie do zniesienia.

Zamilkł na chwilę, idąc obok niej i myślał wzburzony: „Gdybym po prostu porwał ją teraz w ramiona, nie tracąc czasu na słowa, gdybym te słodkie usta obsypał gorącymi pocałunkami i spowił ją swoim żarem, jej opór musiałby prysnąć. Nie zna miłości i

namiętności, jej zimny mąż nie wprowadził jej w te światy. Coś dziewiczego w jej naturze broni się instynktownie przed moim gwałtownym żarem. Lecz jestem pewien zwycięstwa, gdy tylko znajdę się z nią sam na sam w pracowni, przygarnę ją do siebie i pocałunkami stłumię jej skrupuły. Co to jest miłość, ode mnie się nauczy. Jej mąż, to nudny pedant, który roślinom w cieplarni więcej okazuje uwagi, niż swojej słodkiej żonie, a przecież na sam jej widok burzy się krew w żyłach. Nie oprze mi się, pragnę jej i musi być moja”.

I tak coraz silniej podsycił swe pożądanie.

Dagmara odczuła instynktownie, że znowu jest podniecony, rozmyślnie więc skróciła wspólną przechadzkę i z parku skierowała się na otwarty plac przed zamkiem.

W tej chwili ujrzała męża, zmierzającego ku nim. Przyśpieszyła kroku i odetchnęła z ulgą.

Niepokój zawiódł Gintera do parku, gdzie, jak wiedział, żona spacerowała z Hollmannem.

- Partia już skończona? - zapytał, siląc się na spokój. - Właśnie wybierałem się na kort.

Dagmara czując się już bezpieczna, z uśmiechem spojrzała na Hollmanna.

- Tak, skończyliśmy wcześniej. Pan Hollmann przeszedł dziś sam siebie. Grał po prostu haniebnie.

Hollmann opanował się szybko.

- Moim zdaniem, do tenisa bardziej potrzebny jest właściwy nastrój niż do malowania. Dzisiaj wybijałem tylko rakietą dziury w powietrzu. To zaś ściągnęło na mnie gromy pani hrabiny.

- A teraz muszę się starać ułagodzić jej gniew - powiedział pół żartem, pół serio.

- Trzeba się bardzo starać - odparła Dagmara tym samym tonem.

Wciąż czuwająca zazdrość zaostrzyła wrażliwość słuchową Gintera. Rozróżnił w ich słowach jakiś ton dwuznaczny, na podstawie którego mógł wnosić o ich cichym porozumieniu. I znowu przeszył mu serce ostry, gorzki ból. Powoli weszli we troje w bramę zamkową.

Hollmann triumfował w duchu. Dagmara najlżejszą aluzją nie zdradziła przed mężem jego śmiałego nietaktu. Wyciągnął stąd wnioski na swą korzyść. Coraz mocniej wierzył, że hrabina prowadzi przebiegłą grę, by tym silniej przykuć go do siebie. Idąc obok jej męża, powiadał sobie w duchu:

„Muszę teraz postawić wszystko na jedną kartę. Nie ma już czasu do stracenia. Tylko śmiałym postępkami mogę osiągnąć swój cel, a chcę i muszę go osiągnąć. Byłbym niedołągą, gdybym zwlekał dłużej. Nie chcę, nie mogę wyjechać z Taxemburgu, zanim nie dopnę celu”.

Żadne z trojga nie spostrzegło, że idą obok siebie w milczeniu, tak zatopieni byli wszyscy w swych myślach.

ROZDZIAŁ XXVII

Dagmara usunęła się do siebie. Kazała pokojówce podać sobie lekkie okrycie i wyciągnęła się na kanapce. Ogarnęła ją dziwna niemoc. Coraz trudniej było jej udawać wobec męża chłód i obojętność. Ciągłe opanowanie, tęsknota za jego miłością kosztowały ją tak wiele, że z przykrością myślała o dalszym takim życiu.

Leżała z przymkniętymi oczyma, podłożywszy ramiona pod głowę. Oddech miała ciężki i szybki. Trudniej, niżli przypuszczała dawniej, było jej żyć obok niego z tą cichą, głęboką miłością, bez nadziei odwzajemnienia. Była tak zamyślona, że nie zauważyła męża, nadchodzącego do niej przez szereg pokoi. Szukał jej. Puszyste dywany tłumiły jego kroki. Uchylił kotary i ujrzał ją. Stał znieruchomiał, wpatrzony w śliczną zjawę. Jakaż ona była piękna i urocza! Miękki jedwab otulał ściśle młode jej kształty, a małe nóżki w czarnych jedwabnych pończoszkach i zgrabnych pantofelkach wysuwały się zza rąbka sukni. Luźne rękawy opadły, obnażając ramiona.

Najchętniej uklęknąłby obok jej wezglowia, prosząc: „Wybaw mnie z tej udręki, powiedz, co cię trapi. Chcę ci pomóc, chociażby z własną krzywdą”.

Dagmara nie przeczuwała jego obecności. Zatopiona w myślach westchnęła cicho i nagle wyciągnęła ramiona jak do uścisku. A potem przytuliła je do siebie, jak biedne, zmarznęte dziecko. Trwała tak przez chwilę. Wreszcie odwróciła się na bok i ukryła twarz w dłoniach. Ginter cofnął się do przyległego pokoju i opuścił kotarę. Z twarzą zmienioną patrzył tępo przed siebie. Teraz wiedział na pewno, że ona kocha innego. Aż zbyt wyraźnie świadczył o tym jej gest. Należało przeto pohamować własne uczucie i pomóc Dagmarze, chociażby wbrew jej woli. To, co zobaczył, pobudziło go do decyzji. Musi z nią szczerze pomówić, zdobyć jej zaufanie. Nie teraz, dopóki Hollmann bawi w zamku. Dopiero po jego odjeździe, gdy pozostanie sam z Dagmarą, wówczas się z nią rozmówi.

Oddalił się po cichu i w dalszych pokojach spotkał pokojówkę Dagmary. Aby nie zwrócić jej uwagi, zapytał, czy nie wie gdzie się hrabina znajduje, gdyż chciałby z nią pomówić.

Pokojówka odeszła i zameldowała hrabinie, co jej polecono.

Dagmara podniosła się szybko. Zaraz potem wszedł Ginter.

Swobodnie podeszła do niego.

- Proszę, usiądź Ginterze, cóż cię tu sprowadza?

Usiadł i spojrzał na nią.

- Troska o ciebie, Dagmaro - odpowiedział.

- Troska o mnie? Jak mam to rozumieć?

Zamyślił się przez chwilę, szukając odpowiednich słów.

- W ostatnich czasach wydajesz się smutna i przybita, zauważyłem, że przybladłaś. Wczoraj dostrzegłem nawet ślady łez w twych oczach. Nie, nie odpowiadaj mi zaraz, nie chcę wymuszać twego zaufania, lecz pragnę przypomnieć ci raz jeszcze, co przedtem ci powiedziałem: Postępuj ze mną szczerze, nie ukrywaj, jeśli z jakiegoś powodu ciąży ci życie ze mną, wszak obiecałaś mi szczerść. Nie zapominaj o tym.

Dagmara zmieszała się widocznie. Serce jej waliło jak młot. Z dziwną dobrocią patrzył Ginter w jej oczy. Ach, jak chętnie schroniłaby się w jego ramiona, powiedziała co ją dręczy! Ale fałszywa duma zamknęła jej usta, tłumiąc szczerze wyznanie.

Opanowała wzruszenie.

- Obiecałam ci i gdyby naprawdę coś odtrąciło mnie od ciebie, dotrzymałabym obietnicy. Ale dotychczas nic podobnego nie zaszło. Jesteś tak delikatnym, pełnym subtelnym względów mężem, jakiego trudno spotkać!

Ginter czuł, że Dagmara nie jest szczerą i rzekł:

- Ale w takim małżeństwie jak nasze, nie możesz czuć się w całej pełni szczęśliwa. Co dzień widzę to jaśniej. Póki uważałem cię za zimną, bierną naturę, wydawało mi się to możliwe. Ale nie jesteś taką. Wiem, że potrafisz czuć silnie i głęboko i że jesteś inna, niż się wydajesz z pozoru. Nie oszukasz mnie co do twej wewnętrznej istoty, choć chcesz to uczynić. Jest w tobie coś, co pozwala mi poznać, że nie jesteś szczęśliwa, a nawet zadowolona. Czy się mylę? Powiedz mi to szczerze!

Dagmara drżała wzruszona jego ciepłym, usilnym naleganiem. Ale powiedziała sobie, że teraz musi być silna. Ginter nie powinien się domyśleć, co się dzieje w jej duszy, inaczej spłonie ze wstydu. Nic jej pomóc nie może - nie może nakazać sercu, by się do niej zwróciło, choć ma najlepsze chęci.

Skupiła więc całą siłę i uśmiechnęła się.

- Mylisz się, Ginterze, sądząc, że jestem niezadowolona z losu. Naturalnie, nie ma człowieka bez pragnień, może więc i ja mam niezaspokojone pragnienia. Ale z tym trzeba się pogodzić. Nie mówmy więcej o tym.

Ginter przestał więc nalegać. Przeciągnął ręką po włosach. Myślał, że Dagmara wstydzi się przyznać do niedozwolonych uczuć. Widocznie chciała je stłumić, zwalczyć niezaspokojone pragnienia. Lecz nie potrafił tego. Czuł, że zmagala się ze sobą, że się nie chciała poddać. Budziła w nim bezmierną litość. Postanowił sobie, że dzisiaj nie będzie nalegał dłużej. Gdy Hollmann opuści Taxenburg, wówczas on, Ginter, wymusi na niej wyznanie, że kocha tamtego, nakłoni ją do szczerości. Nie liczył się z tym wcale, ile sam wycierpi przy tym.

Jedno go tylko trapiło: chociaż Hollmann był genialnym artystą, nie uważał go za prawy charakter. Nie wiedział, czy Dagmara będzie z nim szczęśliwa. Ale jeśli ona widzi w tym związku swoje szczęście, nie może zagrażać jej drogi do niego.

- Jak chcesz, Dagmaro - rzekł wreszcie. - Ale nie zapominaj, co jeszcze przed naszym ślubem mówiłem ci na ten temat, a także, iż zdrada kobiety przywiodła mnie do zgładzenia ludzkiego życia; do dzisiejszego dnia nie przebolełem tego. Nie chcę być znowu zdradzony. Przyjdź do mnie z własnej woli i powiedz mi szczerze, jeśli ciąży ci życie ze mną, a ja podam ci pomocną dłoń. Ale musisz być szczerą.

Ujął jej rękę, podniósł do ust i spojrzał przy tym na nią wzrokiem, który ją do głębi wzruszył. Wyszedł szybko, nie czekając na odpowiedź. Dagmara stała zaś jak urzeczona, z ręką przyciśniętą do serca, spoglądając jeszcze za nim. Potem przymknęła oczy, starając się wywołać w pamięci jego ostatnie spojrzenie. Zadrżała, jak w gorączce i wyciągnęła ręce przed siebie, jakby go chciała zatrzymać.

Czemu tak spojrzał na nią? Co było w jego oczach? Ból, zgrzyzota, rozpacz, tak, było w nich wszystko. Lecz oprócz tego, jeszcze coś innego... coś innego... Boże wielki! Czy postradała zmysły? Czy gorące pragnienie stworzyło nieprawdopodobne majaki?

Padła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

- Dlaczego odszedł od niej po takim spojrzeniu? Czemu ją pozostawił z tymi wątpliwościami? Czy było to tylko złudzenie jej wyobraźni, czy też naprawdę w jego spojrzeniu malowało się ciepłe, serdeczne uczucie?

Zerwała się nagle. Nie, nie należy dopuszczać takiej nadziei, bo gdyby ją zawiodła, zbyt gorzki byłby to zawód. On nie mógł jej kochać. Przecież niedawno widziała, jak na widok Lizy Rothberg spochmurniał i posmutniał, a potem był całe tygodnie przygnębiony.

Nie, nie miłość malowała się w tym wzroku; dobroć, troska, może nawet współczucie, ale nie miłość. Własna jej tęsknota stworzyła tę złudę, nic więcej. Tylko spokoju - tylko nie wywołać złudzeń, które się potem rozwieją!

Zmusiła się do równowagi, wmówiła w siebie pomyłkę i usiłowała myśleć o czymś

innym. Ale mimo woli miała wciąż przed oczyma to spojrzenie, które wstrząsnęło nią silnie. Tymczasem nadeszła chwila przebrania się do obiadu. Zjawiała się pokojowa, aby ją zapytać, jaką ma przygotować suknię. Dagmara odpowiedziała machinalnie i równie machinalnie zmieniła toaletę, po czym zeszła do jadalni.

Werner Hollmann i Ginter weszli tam jednocześnie z nią. Ginter był blady, ale jak zwykle spokojny. Rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie. Gdy spostrzegła, że ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, i ona opanowała wzburzenie. Usiedli przy okrągłym, nakrytym już stole i Ginter rozpoczął rozmowę. Silił się na ten sam ton. Ale oboje nie bardzo wiedzieli co mówią. I Hollmann, chociaż roztargniony, brał udział w ożywionej rozmowie, sypiąc dowcipami. Doskonale potrawy odnoszono nie tknięte. Nikt nie zważał na nie. A już najmniej Dagmara. Myśli jej były zajęte czymś innym.

Gdy po posiłku podano czarną kawę, Hollmann zwrócił się do Dagmary:

- Pani hrabino, czy mogę prosić panią jeszcze o jedno posiedzenie po południu? Mam nadzieję, że już po raz ostatni muszę panią trudzić. Do jutra portret będzie gotowy.

W obecnym nastroju Dagmara nie była skłonna do wysłuchania prośby Hollmanna. Pomyślała jednak, że dobrze byłoby, aby skończył pracę i mógł nareszcie wyjechać. Zgodziła się więc.

Zaraz po obiedzie z pomocą pokojowej ubrała się w strój dworski i wpięła diadem we włosy.

Potem udała się do pracowni. Znowu, jak dawniej na uroczystościach dworskich, diadem ugniatał jej czoło. W ogóle czuła się niedobrze, lecz chciała się przemóc.

Hollmann wyszedł naprzeciw niej i podniósł jej rękę do ust.

- Królowa raczyła odwiedzić swego wasala - rzekł z emfazą.

Dagmara zamiast odpowiedzi potrząsnęła głową i przybrała wskazaną pozę.

Hollmann stanął przed sztalugą. Odczuł tłumione wzburzenie Dagmary i wziął je na swój rachunek. Wpił palące oczy w jej bladą, słodką twarzyczkę. Zauważył, że jest zatopiona w myślach. Od czasu do czasu zbliżał się do niej, poprawiał fałdy sukni, zmieniał pozę.

Pod pozorem pracy nad portretem nie spuszczał z jej twarzy wzroku, pełnego magnetycznej siły. Czekał, aż sugestia zacznie działać, by przypuścić atak. Chwilowo nie zanosilo się na to.

Na domiar złego zaledwie w dziesięć minut po przyjściu Dagmary do pracowni, ukazał się tam Ginter.

- Nie przeszkadzam panu? - zapytał.

Hollmann życzył mu w duchu, by poszedł gdzie pieprz rośnie, a twarz Dagmary

zaróżowiła się znowu. Usta jej zadrgały, a czoło zmarszczyło się.

„Nadejście pana małżonka równie mało jak mnie zachwyciło naszą słodką hrabinę. Mam nadzieję, że nie zabawi długo” - pomyślał Hollmann. Czekало go drugie rozczarowanie. Ginter usiadł na krześle i rzekł od niechcienia:

- Powiedział pan, że portret mojej żony będzie dziś gotów. Chciałbym trafić na tę chwilę. Dlatego przyszedłem.

Nie powiedział całej prawdy. Niepokój, troska o Dagmarę przywiodły go tutaj. Powiedział sobie, że nie może zostawić jej sam na sam z Hollmannem, wzburzoną po ich rozmowie, w walce ze swym uczuciem. Dopóki raz jeszcze nie pomówi z nią otwarcie, miał obowiązek chronić ją przed nią samą, by się nie zaplątała w fałszywą sytuację. Zamierzał więc pozostać do końca posiedzenia. Hollmann zagryzał usta i zajął się sztalugą. Dagmara czuła, że znowu burzą się jej nerwy. Musiała mieć wzrok utkwiony w punkt, który oznaczył jej Hollmann i nie mogła widzieć męża. On za to mógł patrzeć na nią do woli.

W ten sposób była Dagmara wystawiona na ogień spojrzeń dwóch mężczyzn, spojrzeń, chłonących jej postać. Hollmann zdawał sobie sprawę, że Ginter nie ruszy się z miejsca, zanim portret nie będzie ukończony. Toteż skrócił posiedzenie. W niespełna pół godziny odszedł od sztalugi, odłożył paletę, pędzel i rzekł z westchnieniem ulgi:

- Stokrotne dzięki, hrabino, skończyłem.

Dagmara ucieszona ze zwolnienia, zmieniła przymusową pozę.

Jednocześnie wstał Ginter.

Hollmann odwrócił ku nim sztalugę i rzekł z zapraszającym gestem:

- A teraz proszę państwa osądzić.

Małżonkowie zbliżyli się do obrazu. Dagmara patrzała zdumiona. Hollmann przeszedł sam siebie, portret był znakomicie udany.

Hrabia Ginter stał jak wryty, nie spuszczać wzroku z portretu. Stała przed nim Dagmara, jaką widywał w snach. Chłodny, zdawkowy wyraz zniknął z jej oblicza. Pięknie wykrojone usta złożyły się w lekki uśmiech, a oczy patrzyły spod łuku ciemnych brwi, pełne życia, błyszczące i rozmarzone.

Ginter do głębi wzruszony, podziwiał śliczną kobiecą główkę i głucha, paląca zazdrość wzięła górę nad uznaniem dla sztuki malarza.

W jaki sposób mógł Hollmann tak namalować Dagmarę. Musiała mu się taką okazać. Dla niego był ten słodki uśmiech, ten błysk rozmarzonych oczu. Kobieta kochająca, kochająca całym jestestwem, patrzała nań z portretu. Genialny pędzel malarza zdradził tajemnicę.

Jak śmiertcionośny piorun razila duszę Gintera pewnością, że Hollmann kocha Dagmarę i ona jest mu wzajemna. Wszelka wątpliwość zniknęła. Ginter miał uczucie, jakby mu niecny rabuś zabrał coś najcenniejszego. To, co wspaniałomyślnie chciał sam ofiarować, aby uchronić Dagmarę od grzechu i winy, zostało mu odebrane.

Z tym uśmiechem, tymi rozmarzonymi oczyma patrzyła Dagmara na Hollmanna, inaczej nie mógłby jej tak namalować. Cisza zaległa pracownię. Trzy osoby stały bez ruchu przed portretem Dagmary.

Spoglądała z obrazu jak żywa, jakby gotowa lada chwila przemówić. Odsłonięte były klasycznie piękne ramiona; jedną rękę wsparła o poręcz fotela, drugą lekko ujęła tren sukni. Wszystko było oddane z przedziwną naturalnością, diadem w kasztanowatych ze złotym odcieniem włosach, miękkie fałdy jedwabiu, wspaniała linia postaci i twarz uduchowiona, piękna, z tęsknie jaśniejącymi oczyma. Gorączkowy dreszcz przeszedł Gintera. To wszystko było wolno dotykać oczyma malarzowi. Całymi godzinami mógł się napawać tym widokiem. Tak na niego patrzyła, tak się do niego uśmiechała!

Wbił paznokcie w dłonie, zacisnął mocno zęby. Wzdrygał się nerwowo, gdy Dagmara, stojąca obok niego rzekła:

- Nasze milczenie dowodzi panu, mistrzu, jak silne wrażenie wywarło pańskie dzieło. Ale pochlebił mi pan. W rzeczywistości nie jestem taka ładna.

Hollmann zatopił palący wzrok w jej oczach.

- Tak panią odtworzyłem, jak panią widziałem.

Hrabia Ginter najchętniej rzuciłby się na Hollmanna i powalił go na ziemię. Był zdruzgotany, słowa malarza dźwięczały mu w uszach niby gorzka ironia. Portret wyjawiał mu to, co tylko przypuszczał, czego się obawiał: że Dagmara kocha. A kochać mogła chyba tylko Hollmanna. W gardle mu zaschło. Czuł, że wypada powiedzieć coś uprzejmego o portrecie, ale głos uwiązł mu w gardle. Z trudem udało mu się przemóc. Wreszcie, po długiej chwili rzekł chrapliwie:

- Oddał pan z mistrzostwem to, co pan miał przed oczyma. A teraz, gdy już zobaczyłem portret, muszę wybrać się w pola.

Z tymi słowami pożegnał się szybko i wyszedł, jakby w ucieczce przed sobą. Nie mógł pozostać tu dłużej, aby nie stracić równowagi.

Jak szalony wbiegł do swego pokoju, przebrał się do przejażdżki i kazał sobie przyprowadzić konia. Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, ściany groziły mu uduszeniem. Stłumić krzyk udreki i rozpacz. Dopiero teraz przekonał się w całej pełni, jak bardzo kocha Dagmarę. Krew uderzyła mu do głowy, czerwone płatki latały przed oczyma. Zadusiłby

Hollmanna z gniewu, z wściekłej zazdrości. Byle precz stąd, daleko, w pędzie znaleźć trochę ukojenia! Ciągłe brzmiało mu w mózgu: Czy Dagmara już cię zdradziła? Czy nie ma już uczciwych kobiet? Czy wszystkie muszą kłamać, oszukiwać, nawet najlepsze? A przecież ułatwiłem jej wszystko, by pozostała uczciwą!

Przebiegł hall zamkowy i wskoczył na konia. Ale gdy koń ruszył z miejsca galopem, błyskawicą przemknęła mu przez głowę myśl, pod wpływem której nagle ściągnął cugle.

Czyż ma opuszczać dom, gdy ona została przed portretem sama z Hollmannem? Jeżeli do tej godziny wytrwała w stałości i wierze, jeżeli mimo wszystko nie zdradziła go jeszcze, czy godziło się teraz pozostawić ją samą na pastwę niecnego uwodziciela? To pewne, że Hollmann był uwodzicielem. Czyż więc Ginter nie miał obowiązku chronić jej i wspierać? Zeskoczył z konia, rzucił cugle stajennemu i pośpieszył do zamku.

Obawa, zazdrość, może chęć przekonania się na własne oczy o prawdzie, przynaglała jego kroki. W tejże chwili poczuł w kieszeni kurtki rewolwer, który brał zawsze ze sobą, wyjeżdżając z zamku, gdyż kłusownicy grasowali po lasach.

„Zostaw go, wyjmij z kieszeni” - pomyślał i pośpieszył dalej.

Ale kurczowo zacisnął dłoń na rękojeści broni...

„Jak psa go zabiję, jeśli nie uszanował jej czci” - pomyślał udręczony. I po miękkich dywanach, przez krużganek wiszącego mostku, dążył cichym, szybkim krokiem do północnej przybudówki, gdzie mieściła się pracownia.

ROZDZIAŁ XXVIII

Gdy Ginter opuścił pracownię, Dagmara z niepokojem patrzyła za nim przez chwilę. Wciąż jeszcze była pod wrażeniem rozmowy, jaką z nim miała i jego niewytłumaczonego spojrzenia. Była tak pogrążona w myślach, że nie zważała na Hollmanna, który stał za nią i wprost pochłaniał ją wzrokiem. Nie widziała tych spojrzeń gorących i pożądliwych.

Usiadła na krześle obok portretu i wpatrywała się w niego bez słowa.

Wydawała się sobie obca, gdyż nie знаła u siebie tego słodkiego, rozmarzonego wyrazu.

Aby odwrócić myśli, poczęła studiować szczegóły obrazu i zwróciła się do Hollmanna:

- W zdumiewający sposób potrafił pan oddać każdy szczegół mojej toalety, mistrzu.

Ten haft na trenie, wzór kwiatów na sukni, koronki, diadem, gazowa narzutka, wszystko to jest plastyczne i wierne, nie mówiąc już o mojej osobie.

- Więc jest pani zadowolona, hrabino? - zapytał malarz głosem stłumionym od wewnętrznej burzy.

Dagmara nie zauważyła tego.

- Zadowolona? To za mało powiedziane. Ale zanadto mnie pan upiększył.

- Tak pani sądzi? - zapytał, stając tuż przy niej. Westchnął głęboko. - Więc nie zna pani samej siebie. Nie wie pani, jak niebezpieczna jest pani uroda, jaki czar roztacza pani dokoła, jak niezwykłą siłę posiadają pani oczy... można zmysły stracić.

Spojrzała na niego niespokojnie.

- Panie Hollmann, czy chce mnie pan stąd wypędzić?

Malarz przycisnął rękę do piersi:

- Nie puszczę pani... tak zaraz... tak łatwo... słodka, najmiłsza pani!

Dagmara podniosła dumnie głowę.

- Pan się zapomina...

Nagle padł na kolana i objął ją silnym ramieniem.

- Dagmaro, słodka, uwielbiona Dagmaro, nie broń mi się dłużej, nie wiesz, jak szalenie cię kocham. Ginę z tęsknoty za twymi słodkimi ustami. Zaprześć walki ze sobą, kocham cię i czuję, że ze wzajemnością. Nauczę cię jak słodka, gorąca jest miłość, otulę cię mą namiętnością. Poznasz wreszcie rozkosz prawdziwej namiętności. Poznasz wreszcie rozkosz prawdziwej miłości, której zimnokrwisty mąż nie dał ci zakosztować. Kochana, droga moja, usycham z pragnienia twojej miłości. Całuj mnie... całuj, bodaj mi zginąć, niż wyrzec się twoich ust.

Jak szalenciec tulił Dagmarę do siebie, nie zważając na jej opór. Struchlała, przerażona, broniła się bardzo, odwracała głowę, aby nie dotknął jej ust, usiłowała uwolnić się z uścisku jego ramion. Na próżno. Bliżej, coraz bliżej czuła gorący jego oddech. Bała się wołać o pomoc, by nie doprowadzić do starcia między nim a Ginterem.

Z rozpaczą czuła, że siły jej słabną. Lecz zanim Hollmann mógł dotknąć jej ust, odtrąciła go żelazna dłoń. Przed nim stał Ginter, z twarzą bladą, zmienioną, z siną, nabrzmiałą od gniewu żyłą na czole. Wszedł, gdy Hollmann objął Dagmarę i częściowo słyszał jego namiętne słowa. Że zaś malarz przemawiał do niej po imieniu, sądził, że coś ich łączy, chociaż Dagmara broniła się zaciekle przed jego pocałunkami. Wnosił stąd, że kocha Hollmanna, lecz nie chce dopuścić się winy wobec męża. Przypuszczając, że Hollmann zwalcza jej ostatnie skrupuły, nie domyślał się nawet, iż była to niemal napaść na jego żonę.

Jak wryty patrzył na złączoną uściskiem parę. Ocknął się dopiero, gdy diadem z włosów Dagmary padł z ostrym brzękiem na ziemię. Dосkoczył jednym susem i odtrącił Hollmanna. A teraz stał przed nim, patrząc ze wściekłością na szarą, zmienioną twarz malarza.

- Pajacu, podły pajacu! Dziękuj losom, że już raz zmusiły mnie do zgładzenia ludzkiego życia, inaczej zabiłbym cię jak wściekłego psa! Masz teraz! - zasyczał przez zęby.

Trzcina świsnęła w powietrzu i czerwoną krechę nazaczyła twarz Hollmanna, który zachnął się dziko i rzucił na hrabiego, ten zaś stalowym chwytem ujął go za ramię i odtrącił tak silnie, że się w tył potoczył.

- Precz mi z oczu, bo zastrzelę jak psa! - zawołał, wyjmując błyskawicznym ruchem rewolwer.

Dagmara budząc się z odrętwienia, krzyknęła, chwytając Gintera za rękę, w której trzymał rewolwer.

- Ginterze, nie strzelaj, na Boga, nie strzelaj! - zawołała z rozpaczą.

Hollmann ujrzał broń w ręku Gintera. Obawa o własne życie okazała się silniejsza, aniżeli wszystko inne. Wołał więc wycofać się w popłochu.

Gdy drzwi pracowni zamknęły się za nim, Ginter opuścił bezsilnie ramię. Z niewysłowionym uczuciem spojrzał na Dagmarę.

- Żałuję, że się uniosłem, Dagmaro. Kochasz go, nie chcę twego nieszczęścia. Czemu nie przyszłaś do mnie szczerze, jak cię o to prosiłem? Nie trzymam cię przy sobie siłą, nie chcę stać ci na drodze do szczęścia, choć kocham cię tak gorąco. Tak. Dagmaro, kocham cię, na próżno broniłem się przed twym czarem. I ja zostałem zwyciężony, jak wielu innych. Nie trzymam cię przy sobie, tylko - nie trzeba było kłamać...

Stała przed nim drżąca, niezdolna zebrać myśli, wzruszona do głębi wyznaniem miłości męża, którego od pierwszego wejrzenia pokochała całym sercem. Wszystko wobec tego zbladło. Ale wzruszenia ostatnich dni wyczerpały jej siły. Czowała, że musi podejść do Gintera, zatrzymać go, powiedzieć, że się myli, że Hollmann napadł ją bez żadnego upoważnienia z jej strony, że budzi w niej wstręt swą nieposkromioną naturą. Lecz ani słowo nie przeszło jej przez usta, przez krtań ściśniętą wzruszeniem. W szalonym wirze pracownia zakreśliła jej się przed oczyma, wyciągnęła ramiona do męża i nagle osunęła się przy nim.

Przerażony spojrzał na nią. Głęboki ból malował się w jej rysach.

„Walka, którą toczyła ze sobą, była dla niej za ciężka. Nie chciała mnie zdradzić, ale to, co ją pociągało, było widocznie nieodparte. Nie mogę potępić jej dlatego, że ten niegodziwiec nie uszanował jej czci - walczyła do ostatniej chwili” - powiedział sobie. Z

westchnieniem wziął ją w ramiona i zaniósł do jej pokoju. Zamek był jak wymarły, spokojny, cichy. Służba znajdowała się o tej porze na dole przy podwieczorku.

Ginter z pieczołowitością złożył omdlałą żonę na kanapie i zadzwonił na pokojową.

Póki nie nadeszła, zajął się sam Dagmarą. Gdy się ukazała, rzekł do niej głosem stłumionym:

- Hrabinie zrobiło się słabo, zemdlą, proszę ją otrzeźwić.

Pokojówka z przestachem spojrzała na swą panią; wzięła wodę kolońską i trzeźwiące sole, natarła skronie omdlałej, podsunęła jej sole o mocnej, ostrej woni. Odpięła ciężki tren sukni, rozpuściła grube sploty włosów, natarła zimne nogi, z których zdjęła pantofle. Ginter odpiął perły z jej szyi, nakropił wodą kolońską chusteczkę i zwilżył nią bladą, zeszywniałą twarz. Gdy wreszcie Dagmara zaczerpnęła powietrza, w głębokim oddechu, wyszedł po cichu z pokoju, zostawiając ją pod opieką pokojówki.

Na razie tak było najlepiej; powinni oboje wrócić do równowagi, zanim się rozmówią w tej tak ważnej kwestii. Należało przede wszystkim zwalczyć wyczerpanie Dagmary, które doprowadziło ją do omdlenia, spowodowanego zapewne długimi, wewnętrznymi walkami i silnym wstrząsem. Obawa, aby nie zabił jej ukochanego, była zapewne ostatnim ciosem. Niechaj się uspokoi. I on potrzebował spokoju, by dojść do pozornej równowagi.

ROZDZIAŁ XXIX

Werner Hollmann pakował naprędce rzeczy, przygotowując się do odjazdu. Po przykrej scenie w pracowni dalszy jego pobyt na zamku był niemożliwy. Po jakimś czasie zjawiał się u niego służący z listem od hrabiego Gintera.

Zrozumiałe, że opuści Pan niezwłocznie Taxemburg. Za godzinę stanie do Pańskiej dyspozycji powóz przed bramą skrzydła, które Pan zamieszkuje. Droga przez hall zamkowy jest dla Pana zamknięta. Nie chciałbym bowiem narazić się na niepożądane spotkanie z Panem, gdyż nie mogę zaręczyć, czy powtórnie zdołałbym zapanować nad sobą, ze względu zaś na moją żonę chciałbym uniknąć skandalu.

Hrabia Ginter Taxemburg

Werner Hollmann zgrzytając zębami odczytał bilet Gintera i podarł go na drobne

kawałki.

Jego rola tutaj została odegrana, żalony zaś był jej koniec. Niechaj hrabina jak zechce wypłacie się sama z tej sprawy. W każdym razie rzecz cała mogła wziąć dla niego jeszcze gorszy obrót. Rewolwer i trzcinka hrabiego ostudziły znacznie jego niewczesne zapędy dla pięknej hrabiny.

Do diabła, czerwona pręga, którą trzcinka hrabiego naznaczyła jego twarz, paliła go mimo zimnych kompresów. Mógł być zadowolony, że hrabia ze względu na żonę pragnie uniknąć skandalu. Inaczej niechybnie doszłoby do pojedynku. Zimnokrwisty hrabia zupełnie wyszedł z równowagi. Ani mu się śniło doprowadzać do pojedynku z rozwścieczonym małżonkiem. Geniuszowi, jakim on był, nie wolno wystawiać się na strzał zazdrośnika. Co zaś do hrabiny - jej wina, jeśli znowu stanie się pastwą swego nudnego męża. Czemu tak długo drożyła się ze sobą? Dlatego tylko zaniechał wszelkiej ostrożności. Taki człowiek, jak on, nie potrzebował żebrać tak długo łaski kobiety. Tam, w szerokim świecie, czekały na niego najpiękniejsze kobiety, gotowe w każdej chwili otworzyć mu ramiona. Ba! Takiemu zdobywcy!

Okropność, jak mu dopiekała ta pręga na twarzy! Długie dni miną, zanim będzie mógł pokazać się między ludźmi. Najchętniej byłby w pasji tak samo naznaczył hrabiego. Może jednak zaczął się teraz więcej troszczyć o żonę, a mniej o florę podzwrotnikową. Inaczej hrabina stałaby się ofiarą innego. Słodka kobietka w każdym razie, chociaż dla niego straciła wszelki powab i nic mu nie pozostało, jak cicho wymknąć się z zamku, tylnym wyjściem, które mu hrabia Ginter wskazał. Psiakrew, w każdym razie był to żalony koniec! Ochłodził twarz i dalej przygotowywał się do odjazdu. Nigdy jeszcze nie spakował rzeczy tak szybko. Wrzucał do walizy wszystko, jak popadło. Poleciał służącemu przynieść przybory do malowania z pracowni, której progu nie ważył się już przestąpić, bąkając coś przy tym o upadku na ramę portretową, by upozorować przed nim czerwoną pręgę na twarzy. Służący spojrział na niego ukradkiem. Miał on o tym swoje zdanie. Pokojówka Jenny zdążyła mu szepnąć o omdleniu hrabiny. W pracowni kosztowny diadem leżał na posadzce. Hrabia kazał osiodłać konia i wcale nie wyjechał. A przy tym ten przyspieszony wyjazd malarza, powóz przed tylną bramą - służba ma dobry nos w takich razach. Malarz nie był przez służbę lubiany z powodu swej arogancji. Z drwiącym uśmiechem szedł za nim lokaj z bagażem do tylnego wyjścia, przed którym stał powóz. Hollmann śpieszył się, zasłaniał chustką twarz, naznaczoną pręgą i wtulił się głęboko w poduszki. Lokaj zatrzasnął drzwiczki powozu i cofnął się.

- „Tak mi to pachnie, jakby malarz wyleciał niedobrowolnie” - pomyślał.

Werner Hollmann był zadowolony, gdy koła ruszyły pod nim. Do ostatniej chwili

lękał się o swe cenne życie.

ROZDZIAŁ XXX

W nieopisanym nastroju usunął się Ginter do swych pokoi. Zrezygnował z przejażdżki. Bezsilnie padł na kanapę. Rozpacz targała nim jak burza. Zdradzony! Zdradzony po raz drugi przez kobietę, którą kochał. Liza Rothberg zdradziła go z lekkomyślności swego charakteru. Dagmara dopiero po ciężkich walkach ze sobą. Był kilkakrotnie świadkiem tych walk. Nie była w każdym razie tak winna, jak przedtem Liza Rothberg; nie udawała przynajmniej miłości, której nie czuła. Ale w każdym razie była to zdrada. Gdy już od paru lat sądził, że stał się niezdolny do prawdziwej miłości, oładnęła nim znacznie głębiej i silniej miłość do Dagmary. Spokojnie i chłodno wstępował w ten związek małżeński, tak samo spokojnie i chłodno oddała mu rękę Dagmara. Pod tym względem przynajmniej była uczciwa i szczerą - szczerą do okrucieństwa. Ani sekundy nie pozostawiła go w wątpliwości, że dumna i obojętna, nie żywi dla niego cieplejszych uczuć. Tym niemniej zabolął go gorzki fakt, że oddała serce innemu. Musiał zacisnąć zęby, aby nie załamać się w ciężkiej męce.

Po tym, co zobaczył i usłyszał w pracowni, musiał uwierzyć, że Dagmara i Hollmann kochają się i są w zмовie. Można powiedzieć, że wchodząc cicho do pracowni, nie oczekiwał niczego innego, niż to, co zobaczył: Dagmarę w objęciach Hollmanna. A choć postanowił sobie zimno spojrzeć prawdzie w oczy, nie mógł zapobiec temu, że gniew zawrzał w nim na widok, który uderzył jego oczy, i słowa, które usłyszał. Miał wrażenie, że Hollmann plamił tymi słowami Dagmarę, jak splamił jego honor małżeński, i dlatego uderzył go w twarz trzcina. W samo serce trafiło to widocznie Dagmarę i zemdląła z lęku, by nie zabił Hollmanna.

Czemuż nie postąpiła szczerze wobec niego, czemu skłamała? To go najbardziej bolało, nie zasłużył bowiem na takie postępowanie. Prosił ją zawsze o szczerą. Gdyby przyszła do niego i otwarcie wyznała mu swą miłość, byłby zdolny do wszelkiej ofiary dla jej szczęścia. Nabral przekonania, że ojciec zmusił ją do małżeństwa. Więc też nie może sądzić jej zbyt ostro. Ale mimo to dręczyło go niezmiernie, że te dumne, szczerą oczy skłamały. Doprawdy, nie było to potrzebne. A może z obawy przed ojcem nie chciała prosić o wolność? W ten sposób szukał przed samym sobą usprawiedliwienia Dagmary. Gniew, uraza trafiały tylko Hollmanna. Nadużył podle gościnności, był nędznym, nikczemnym tchórzem, który z

pewnością nie da Dagmarze pełnego szczęścia. Stanowczo, ten człowiek, któremu oddała serce nie był jej godzien. I to bolało Gintera najbardziej, że musi ustąpić przed tak marną kreaturą. W głuchej rozpaczycy trapił się tymi myślami, czekając na wezwanie Dagmary. Gdy przyjdzie do siebie, poprosi go chyba na decydującą rozmowę.

Niezdolny zająć się czymkolwiek ocknął się z ponurej zadumy, gdy ukazał się lokaj, meldując, że Hollmann odjechał.

Skinieniem ręki odprawił służącego i odetchnął z ulgą. „Bogu dzięki, dom się oczyścił” - pomyślał.

ROZDZIAŁ XXXI

Dagmara, ocknąwszy się z omdlenia, ze zdziwieniem spojrzała na pokojówkę. Pierwszy raz wpadła w omdlenie i ogarnęło ją niejasne zdumienie, że coś podobnego mogło się jej przytrafić. Rozejrzała się dokoła.

- W jaki sposób znalazłam się w tym pokoju, Jenny?

- Nie wiem, gdy weszłam tutaj, pani hrabina leżała zemdlona na kanapie. Ale tam, w pracowni podniesiono diadem pani hrabiny, widocznie więc omdlenie musiało tam nastąpić.

Zanim pokojówka skończyła swe objaśnienia, Dagmara odzyskała świadomość tego, co się stało. Zerwała się przestraszona.

- Gdzie pan hrabia?

- Pan hrabia wyszedł przed chwilą z pokoju. Kazał sobie zameldować, gdy pani hrabina przyjdzie do siebie i będzie chciała go zobaczyć.

Drżącymi rękami poprawiła Dagmara wzburzone włosy. Usiłowała uporządkować myśli i doszła do przekonania, że mąż jej mógł sądzić, iż podziela uczucia Hollmanna. Pewność, błoga pewność, że Ginter ją kocha, zagłuszyła zupełnie lęk z tego powodu.

Chciała wstać, lecz z przykrością uczuła, że jest bezsilna i nie może utrzymać się na nogach. Przesunęła ręką po kosztownej tkaninie sukni.

- Prędko, Jenny, daj mi wygodny szlafrok, nie mogę wstać, czuję się jeszcze zbyt osłabiona. Ale muszę pomówić z hrabią. Pomóż mi zdjąć tę suknię.

Jenny natychmiast spełniła jej życzenie. Zdjęła kosztowną toaletę swej pani i ubrała ją w miękką wygodną sukienkę. Ułożywszy Dagmarę wygodnie na kanapie, w pośpiechu uprzątnęła rzeczy.

Tymczasem nawał myśli tłoczył się w głowie Dagmary. Zastanawiała się, co ma powiedzieć mężowi, co mu musi powiedzieć.

Nie potrzebowała dłużej ukrywać miłości do niego, nie wolno jej było tego robić. Musiał teraz wiedzieć, co się kryje w jej sercu. To wyznanie przestało już być upokarzające, gdy Ginter powiedział, że ją kocha. Błogie uczucie, niby ciepła fala, przepływało przez jej żyły. Zemdlała pod wrażeniem tych słów. Zbyt szybko i nagle spadło na nią to wyznanie. Lęk, że Ginter może w uniesieniu zabić Hollmanna i sprowadzić na siebie nowe nieszczęście, chwycił ją za serce, a potem zaraz przejęła ją głęboka radość z powodu tego wyznania. Jak dzwony zaszumiały jego słowa w jej uszach i straciła przytomność.

Chętnie wyszłaby naprzeciw męża, ale kolana jej drżały i odmawiały posłuszeństwa. Kazała się podeprzeć poduszkami, aby usiąść prosto.

Potem rzekła szybko:

- A teraz, Jenny, idź i powiedz panu hrabiemu, że go oczekuję.

Pokojowa zabrała się do odejścia. Nagle nowy pomysł wpadł do głowy Dagmarze.

- Zaczekaj, Jenny.

- Słucham, pani hrabino.

- Idź najpierw do mego gabinetu. Tu masz kluczyki od biurka. Znajdziesz w pierwszej przegródce szkatułkę, którą przyniesiesz mi tutaj.

Podala Jenny pęk kluczy, z których wskazała jeden.

Pokojówka przyniosła zieloną szkatułkę. Dagmara postawiła ją na okrągłym stoliku przy kanapie, na której leżała i wysłała pokojówkę do hrabiego.

Podczas gdy czekała na niego, ogarnęła ją zaduma. Drżała jeszcze wewnętrznie po scenie w pracowni. Widziała dwóch mężczyzn stojących w okropnym wzburzeniu naprzeciw siebie, widziała, jak Ginter uderzył Hollmanna w twarz, a potem wyciągnął rewolwer. Dzięki, ach dzięki Bogu, że zdołała przeszkodzić, by Ginter nie użył broni przeciw Hollmannowi. Wszak do dziś dnia bolał go wynik pojedynku z Hansem von Thorau. Niegodziwą swoją napaścią zasłużył Hollmann na uderzenie trzcina. Nie żałowała go nawet, a jego małoduszna ucieczka wywołała jej wzdarcie.

Niezbyt przejmowała ją myśl, że Ginter posądza ją o miłość do Hollmanna. Sprostuje niebawem to fałszywe mniemanie. Nie obawia się, że jej nie uwierzy, teraz, gdy otwarcie może przyznać się do swej miłości.

Słodki, rozmarzony uśmiech, który Hollmann z takim mistrzostwem oddał na portrecie, zawisł na jej ustach, a w oczach błyszczały wesołe iskierki, gdy muskała dłonią zieloną szkatułkę. W tej chwili weszła Jenny.

- Pan hrabia będzie tu za pięć minut, właśnie przebiera się po konnej jeździe.
Powtórzyłam kamerdynerowi zlecenie pani hrabiny.

- Dobrze, Jenny, nie potrzebuję cię dłużej, możesz mnie zostawić samą.

Jenny poprawiła jeszcze jedwabne okrycie, którym otuliła swą panią i wyszła.

Dagmara nasłuchiwała z biciem serca, przygotowując w myśli słowa, które miała powiedzieć mężowi.

Wreszcie posłyszała kroki i Ginter wszedł do pokoju.

Był blady, mięśnie jego twarzy były ostro napięte, jakby z trudem panował nad wewnętrznym wzburzeniem.

- Kazałaś mnie przywołać, Dagmaro, mam nadzieję, że się dobrze czujesz, by pomówić ze mną otwarcie.

Patrzyła na niego miękkim, niepewnym wyrazem.

- Czuję się zupełnie dobrze, lecz jestem osłabiona, dlatego pozwolisz, że się nie podniosę z kanapy.

- Oczywiście, Dagmaro - odparł hrabia ze sztucznym spokojem.

- Proszę, usiądź koło mnie. Mam ci wiele do powiedzenia - ciągnęła Dagmara.

Ginter uklonił się sztywno i usiadł obok niej na krześle. Uniosła się nieco na łokciach. Oczy jej patrzyły na niego z dziwnym wyrazem:

- Powiedziałeś mi, że nie powinnam była kłamać. Ten zarzut był uzasadniony. Nie byłam wobec niego szczerą.

- Obawiałem się tego - rzekł Ginter stłumionym głosem - dlatego prosiłem cię tak usilnie, abyś niczego nie ukrywała przede mną.

Dagmara potrząsnęła głową.

- Nie, nie, jesteś mimo wszystko w błędzie. Moja nieszczerłość jest zupełnie innego rodzaju, niż przypuszczasz. Ponieważ mam już rozwiązane usta i duma moja nie będzie cierpiała, jeśli powiem prawdę, wyznam ci teraz wszystko. Myliłeś się, sądząc, że kocham Hollmanna. Nigdy go nie kochałam, w ostatnich czasach był nawet wobec mnie natrętny i naraził mi się, pozwalając sobie na ton poufały, który musiałam energicznie ukroić.

Ginter wyprostował się i ponurym wzrokiem badawczo spojrzął na żonę.

- Czemu nie powiedziałaś mi tego, bym cię mógł obronić?

- Z obawy, abyś w uniesieniu nie popełnił czynu, którego byś potem żałował. Byłam pewna siebie, w przekonaniu, że jak dotychczas, tak i nadal potrafię utrzymać w ryzach Hollmanna. Ale zanim powiem więcej, musisz mi przyrzec, że nie wyzwiesz go na pojedynek. Nie o niego, lecz o ciebie mi chodzi, gdy chcę temu przeszkodzić.

Ginter westchnął cicho i spojrzał na nią niepewnie:

- Bądź spokojna, Hollmann już odjechał. Dziękuję ci, Dagmaro, że powstrzymałaś moją rękę, gdy mu groziłem rewolwerem. Inaczej mogło dojść do nieszczęścia. Masz moje słowo - skończyłem z nim.

Dagmara dotknęła dłonią czoła.

- Zasłużył sobie na karę i uderzenie trzcina trafiło go zupełnie słusznie. Nie przeczuwając niczego, siedziałam wpatrzona w portret, gdy zniemacka napadł na mnie w namiętnym szale. Porwał mnie w ramiona i usiłował całować. Nie mogłam się bronić ani wołać o pomoc, gdyż ze względu na ciebie chciałam uniknąć skandalu. Gdybym nie miała rąk tak skrępowanych, byłabym mu wymierzyła policzek. Nie dałam mu nigdy powodu, aby się tak zapomniał. Na szczęście zjawiliś się, zanim mógł wprowadzić w czyn swoje nieczne zamiary.

Ginter ciągle patrzył na nią badawczo i ponuro.

- Nie mam powodu wątpić w twoje słowa. Ale gdy zobaczyłem, jak namalował twój portret, powiedziałem sobie, że zakochany namalował portret swej umiłowanej, która go wzajemnie kocha. Przecież musiałaś być taką, gdy mu pozowałaś, ja zaś nie widziałem cię nigdy z tym słodkim uśmiechem, z rozmarzeniem w oczach. Stałem przed tym portretem do głębi serca wstrząśnięty, że dla innego miałaś ten uśmiech, to spojrzenie. Wybiegłem stamtąd, miotany straszną zazdrością. Nie przypuszczałem nigdy, Dagmaro, że po jednym zawodzie potrafię znowu pokochać, lecz omyliłem się. Kocham cię, choć wiem, że jesteś dla mnie stracona. Bo jeśli nie kochasz Hollmanna, to kochasz innego, za którym tęsknisz skrycie. To jasne.

Dagmara zarumieniła się pod jego bolesnym wzrokiem. Stłumionym głosem odrzekła:

- Tak, Ginterze, już od lat całych kocham tego innego. O nim myślałam z tęsknotą, pozując Hollmannowi. Dlatego zdradził mnie portret.

Ginter zacisnął mocno usta i rzekł twardo:

- Więc czemu zostałaś moją żoną? Czemu nie powiedziałaś mi przynajmniej, że twe serce należy do innego?

Dagmara przycisnęła rękę do oczu.

- Nie mogłam ci tego powiedzieć... właśnie tobie...

- Dlaczego właśnie mnie?

Opuściła rękę...

- Czy pamiętasz, że pewnego dnia zastałaś mnie w wieżowym pokoju nad listami z zielonej szkatułki?

Wskazała na zieloną szkatułkę przed sobą.

Ginter spojrzał na nią bystro.

- Tak, miałaś przed sobą listy, które ukryłaś szybko w szkatułce.

Skinęła głową:

- Nie chciałam, żebyś je zobaczył.

- Więc były to listy od człowieka, którego kochasz?

- Tak.

- Kochasz go od dawna?

- Od wielu lat.

Dyszał ciężko.

- A ojciec nie pozwolił ci wyjść za niego? Ojciec zmusił cię do małżeństwa ze mną?

Przycisnęła rękę do skroni.

- Ach, Ginterze, nie uległabym temu przymusowi, gdyby... gdyby hrabia Taxenburg nie był zarazem doktorem Friesenem.

Ginter był zaskoczony.

- Co to ma znaczyć?

Dagmara uśmiechnęła się tak słodko, że serce mu się ścisnęło.

- Tego, którego kocham, zobaczyłam po raz pierwszy przed laty, był wówczas zaręczony z inną. Pokochałam go od pierwszej chwili, chociaż nie był wolny i choć nie poznałam go wtedy. Do dziś dnia nie wie, że go kocham.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Jak to, nie wie?

- Nie.

- A przecież masz listy od niego.

- Tak, lecz on nie wie, że do mnie pisał te listy.

- Mówisz zagadkami.

Znowu spojrzała na niego tak, że zadrżał i wpatrzył się w nią z niedowierzaniem.

- Trudniej mi jest niż przypuszczasz, wytłumaczyć ci tę zagadkę. Ale tak być musi. Nie wolno mi wahać się dłużej... A więc człowiek, którego kocham, pisał te listy do... Bezimiennej.

Ginter zerwał się i patrzył na nią zdumiony.

- Do Bezimiennej? Co to znaczy?

Dagmara zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.

- Jeszcze się nie domyślasz, Ginterze? Miałam ważny powód, dla którego listy

narzeczeńskie pisałam na maszynie. Nie chciałam byś poznał moje pismo. Patrz, szkatułka otwarta, w niej są twoje listy, które jako najdroższy skarb przechowuję od lat.

Szybkim ruchem otworzył szkatułkę i w osłupieniu patrzył na swe listy.

- Ty, ty jesteś Bezimienną?

- Tak, Ginterze, ja nią jestem.

Podniósł rękę do czoła.

- Nie pojmuję tego. Po co w takim razie to wszystko?

Spojrzała na niego zarumieniona.

- Czy trzeba powiedzieć ci to wyraźnie? Nie rozumiesz, Ginterze, że ciebie i tylko ciebie kocham już od dawna, a te listy podyktowała mi miłość! Tylko kochająca kobieta, gdy ją trapi niepokój, trwoga o ukochanego może pisać w ten sposób. Nigdy nie dowiedziałbyś się, że cię kocham, gdybyś przedtem nie wyznał mi swej miłości. Myślałam przecież, że kochasz Lizę Rothberg raczej Lizę Karner, jak się teraz nazywa.

Ginter opadł na krzesło.

- Wiesz także, że ta kobieta była mą dawną narzeczoną?

- Tak, sądziłam, że mimo wszystko serce twoje należy do niej.

Potrząsnął gwałtownie głową.

- Na Boga, już od dawna przestałem ją kochać, owego zaś dnia, nie umiałem po prostu pojąć, jak mogłem kochać ją dawniej. Cień Hansa von Thorau zjawił się znów przede mną, ożyło wspomnienie pojedynku i przepoiło mnie smutkiem. Ale... Boże mój... Dagmaro, doprawdy nie śmiem wierzyć... czy to sen... czy to naprawdę rzeczywistość, że kochasz mnie, a nie kogoś innego?

Patrzyła na niego z nieukrywaną tkliwością.

- Tylko ciebie jednego - rzekła z rozrzewnieniem.

- Dagmaro, ukochana Dagmaro, to jedno wiem i pojmuję, że mnie kochasz. Wszystko inne jest dla mnie zagadkowe. Jak mogłaś mnie kochać, jeśli nie spotkaliśmy się nigdy? A także, jak mogłaś nie znając mnie, pisać do mnie takie listy?

Podniosła na niego oczy, promieniejące miłością.

- Dlatego, że cię kochałam, mogłam pojąć twą niedolę. A teraz opowiem ci, gdzie cię widziałam i pokochałam.

Otoczona jego ramieniem, opowiadała mu wszystko, co chciał wiedzieć, więc o swych wewnętrznych walkach, obawie o niego i udręce serca.

- W ostatnich czasach cierpiełem niezmiernie z zazdrości. Żadnemu z mężczyzn nie przepuściłbym jednego twego spojrzenia czy uśmiechu. Byłem zazdrosny o księcia Ludwika,

nawet o pana Lenbacha.

Ujęła jego głowę w dłoń, przytuliła jego twarz do swojej:

- Ale teraz przestaniesz być zazdrosny, prawda?

Spojrzał jej w oczy głęboko.

Usta ich łączyły się, i w tym upojeniu świat cały przestał istnieć dla dwojga szczęśliwych.

KONIEC